Młodzi wstrząsną urną • Łomiarz na wolności • Pokolenie zero alko • Wirus ze statku
Miłość w szponach nauki • Częste choroby rzadkie • Apacze nadlatują

POLITYKA.PL

POLITYKA

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. MARIANA TURSKIEGO

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA



Nawrocki utknął

Niefortunne weta, chybione pomysły, konflikty w Pałacu...

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 20 (3564), 13.05–19.05.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ISSN 0032-3500 9 770032 350602 20

Wydanie w sprzedaży do 19.05.2026

eprasa.pl 7f01362802

ZAMACH STANU CZY SANACJA?



W sprzedaży

Wydanie powstało przy współpracy z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 7f01362802



ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

23
Nadchodzi rewolucja młodych?

Temat tygodnia

12 Zbigniew Borek, Paweł Reszka
Łomiarz budzi strach

Polityka

16 Rafał Kalukin
Prezydent w narożniku
20 Michał Danielewski
Młodsze partyjne kadry
23 Michał Fedorowicz
Fenomen Łatwoganga

Społeczeństwo

26 Czym jest nostalgia i jak używają jej politycy – mówi dr **Monika Prusik**
30 Joanna Cieśla
Pokolenie zero procent
33 Paweł Walewski
Wieczne zmagania cierpiących na choroby rzadkie
36 Juliusz Ćwieluch
Jak się lata na Apache'ach

Rynek

40 Cezary Kowanda
Gaszenie e-papierosów
43 O wadach i zaletach waluty euro mówi dr **Jarosław Janecki**, przewodniczący Towarzystwa Ekonomistów Polskich

Świat

58 Jak Pekin ogrywa Waszyngton, opowiada znawca Chin **Samuel Chetwin George**
61 Paulina Wilk INDIE **Największy w dziejach spis ludności**
64 Marek Świerczyński USA **Trudna misja generała Caine'a**
66 Marcin Żyła
Wirus na statku MV Hondius

Nauka/projektpulsar.pl

68 Co wiemy o miłości, zdradza psycholożka dr **Marta Kowal**
71 Agnieszka Krzemińska
Rola kobiet w pradziejach

Historia

74 Łukasz Wójcik **Losy perskiej dynastii Pahlawich**
78 **Laureaci** NAGRÓD HISTORYCZNYCH POLITYKI im. Mariana Turskiego za 2025 r.

Kultura

84 Piotr Sarzyński **Weneckie Biennale Sztuki... i polityki**
87 **Boris Kudlička**, dyrektor naczelny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, o swoich planach
90 Olaf Szewczyk **Sukces polskiej gry „Mouse: P.I. For Hire"**
92 Bartek Chaciński
Kosmiczna muzyka Sun Ra
94 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Moda na socmodernizm**
• **Sodowe baterie**
• **Zamulacz, czyli nudziarz**
• **Spór o air fryera**
• **Jak serwowano śledzia**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **80** Afisz • **95** Witkowski
• **96** Chutnik i Plebanek
• **97** Hartman
• **98** Orliński • **99** Passent
• **100** Mizerski
• **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 7f01362802



Łatwo nie będzie

Jerzy Baczyński

Szybko zleciało: właśnie mija rok od pierwszej tury wyborów prezydenckich. Nostalgicznie przypomnę, że w głosowaniu 18 maja 2025 r. Rafał Trzaskowski wygrał z Karolem Nawrockim 31:29. A jak się skończyło, wiemy: polityczną katastrofą. Podważeniem, jeśli nie przekreśleniem, wyniku wyborów z 2023 r. Można zazdrościć Węgrom, że następca Viktora Orbána dostał pełnię władzy, aby przeprowadzić „dezorbanizację kraju", rozliczyć gang, który – jak powiedział premier Péter Magyar – „splądrował Węgry". Czy się uda, zobaczymy, ale przynajmniej jest szansa – w Polsce proces „depisyzacji" (pamiętne ślubowanie Tuska: rozliczymy, naprawimy krzywdy, pojednamy) został przerwany ledwie po kilkunastu miesiącach.

Już nie wracając do sto razy analizowanych przyczyn klęski '25, Polacy (fakt, że minimalną większością) wybrali konflikt i paraliż państwa, bo taką właśnie prezydenturę, blokującą wszelkie działania rządu „13 grudnia", jawnie zapowiadał Karol Nawrocki. I trzeba przyznać, że słowa dotrzymuje. A mimo to wszystko wygląda dziś inaczej, niż się wtedy wydawało: zarówno sukces, jak i porażka.

PiS stracił niemal połowę poparcia z 2023 r., a obecne notowania partii (nieco ponad 20 proc.) są najniższe, za to formacji Tuska najwyższe od 15 lat, czyli od wyborów 2011 r. Prezydentowi Nawrockiemu, choć wciąż jest najpopularniejszym polskim politykiem, od powyborczej euforii ubyło kilkanaście punktów procentowych – po ledwie 10 miesiącach od objęcia urzędu aprobuje go mniej niż połowa obywateli. W tym czasie prezydent wypróbował już i w znacznym stopniu zużył swoje narzędzia władzy. Rada Gabinetowa, która miała dręczyć „najgorszy rząd III RP", odbyła się tylko raz i zakończyła prestiżową porażką nowego prezydenta; rzadkie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego kompromitowały się sporem o obecność „nieuprawnionego" Sławomira Cenckiewicza; pointą aktywności zagranicznej Karola Nawrockiego była nieszczęsna węgierska podróż z poparciem dla Orbána; z kolei udzielane z automatu weta odbiły bolesnym rykoszetem, zwłaszcza w sprawie programu zbrojeniowego SAFE i afery Zondacrypto. Ostatnie inicjatywy prezydenta: propozycja kuriozalnego referendum „za odrzuceniem zmian klimatycznych" czy – wzorem Andrzeja Dudy – napisania nowej konstytucji, są już tylko (jak pisze Rafał Kalukin w art. na s. 16) „młóceniem powietrza".

Ale nawet jeśli PiS się rozpada, a prezydentura sypie, niewiele z tego wynika dla koalicji rządzącej. Rząd pracuje na jałowym biegu. Ważne politycznie ustawy albo już zostały zawetowane (ułatwienia rozwodów, podniesienie akcyzy na alkohol, ustawa wiatrakowa i inne), albo pod groźbą weta kiszą się w koalicji. Jak przebiega rozliczanie afer PiS, widać na przykładzie Ziobry; jak odbudowa praworządności – pokazuje pat wokół Trybunału Konstytucyjnego, a by-passy, jak w przypadku SAFE, nie zawsze są możliwe. Złośliwe pytanie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz o to, „jakie rząd przeprowadził wielkie reformy?", faktycznie wprawia w konsternację. Ten rząd i ze względu na wewnętrzną koalicyjną konstrukcję i wrogą kohabitację z prezydentem jest skazany na nieefektowne „ścibolenie".

Zresztą nie tylko w Polsce to nie jest czas na ważne reformy, które wymagałyby szerszego społecznego konsensu. W skrajnie spolaryzowanej, agresywnej polityce każda reforma – zawsze związana z ryzykiem, wyważaniem sprzecznych interesów – zostanie emocjonalnie rozjechana. Każda ambicja będzie ukarana natychmiast w sondażach i później przy wyborach. Internetowe algorytmy (a one dziś rządzą komunikacją) nastawione są na konflikt, awanturę, eskalowanie emocji, brutalizację języka. Nie ma dziś w Polsce przestrzeni na rzeczową dyskusję choćby o przyjęciu waluty euro (patrz rozmowa na s. 43), reformie podatkowej, ochrony zdrowia (na której znowu, przy okazji spektakularnej zbiórki Łatwoganga, wszyscy łatwo wieszają psy), prawa rodzinnego i aborcyjnego, energetyki, a już zwłaszcza reformy emerytalnej, bez której cały system musi się wykrzaczyć.

Czy może dziwić, że młode pokolenie – niewciągnięte uczuciowo w trwającą od początku stulecia rywalizację Tusk–Kaczyński – ma na taką politykę odrzut? Streaming u Łatwoganga, z którego ostentacyjnie wypraszano wszelkie „osoby polityczne", był tego jaskrawą demonstracją (więcej na s. 23). Fakt, że w internetowych pokoleniach 18–39 lat dominują dziś obie Konfederacje – z miażdżącą przewagą ponad 40 proc., wobec ledwie kilkunastu na partie duopolu KOPiS – wydaje się prostym skutkiem pogardy dla obecnej polityki. Nie jest tak, że młodzież konfederacka jest „genetycznie" prawicowa, totalnie antysystemowa; w stronę Konfederacji przyciąga tiktokowy styl komunikacji, nieskażenie rządzeniem, memiczny wdzięk i prostota „programu". Ale akcja Łatwoganga pokazuje zdolność mobilizacji tych roczników także w stronę owsiakowego dzielenia wspólnotowej, pozytywnej emocji, wyjścia z informacyjnych baniek, „więzienia algorytmów". To, że już ponad połowa młodych Polaków nie uważa demokracji za najlepszą formę rządów, jest przede wszystkim brutalną recenzją realiów, polskiej politycznej praktyki. Ten elektorat nie będzie łatwy ani dla Karola Nawrockiego, który już zapisał się do starego partyjnego układu, ani dla „obozu demokratycznego", z jego dzisiejszym bezpłciowym, jałowym przekazem i mocno wiekowo zaawansowaną kadrą (co dramatycznie przedstawia Michał Danielewski na s. 20).

Tu może przebiegać rozstrzygający front kampanii 2027 r.: kilka milionów wyborców z najmłodszych roczników – dziś politycznie labilnych, obojętnych lub anarchistycznych – zdecyduje o przyszłym układzie władzy. Po akcji Łatwoganga można się pocieszać, że „dla demokracji" to nie jest żadne stracone pokolenie, ale bardzo nieufne, wręcz chorobliwie nadwrażliwe na nieautentyczność, protekcjonalizm, polityczną gędźbę. Dla polityków to sygnał, że bardziej niż „dla nich i pod nich" trzeba coś robić razem z nimi.

eprasa.pl 7f01362802

Albatros travel

Albatros 40 lat

Festiwal operowy Pucciniego



Zobacz dwie wspaniałe opery Pucciniego podczas słynnego festiwalu w Torre del Lago w połączeniu z wycieczkami do San Gimignano i Lukki.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. **Dz. 2** Zwiedzanie Montecatini Terme i miasta Lukka – miejsca urodzenia Pucciniego. Wieczorem opera Turandot. **Dz. 3** Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji lub Pistoi. Wieczór z operą Tosca. **Dz. 4** Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. **Dz. 5** Bolonia i powrót do domu.

Turandot i Tosca

5 dni
Wylot z Warszawy
16/07 2026

od **4.998,-**





Pełna przygód podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot do Nowego Jorku, USA. **Dz. 2** Nowy Jork, Brooklyn Heights, Wall Street, Ground Zero i Most Brooklyński. **Dz. 3** Nowy Jork, Uptown z Upper West Side, Muzeum Historii Naturalnej, Central Park i Muzeum Guggenheima. **Dz. 4** Nowy Jork, Downtown z Flatiron Building, Greenwich Village, SoHo, Little Italy (Małe Włochy) i Chinatown (Dzielnica Chińska). **Dz. 5** Nowy Jork, Midtown z Empire State Building, Rockefeller Center, Fifth Avenue i rejs do Statuy Wolności i Ellis Island. **Dz. 6** Nowy Jork. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 7** Przylot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy
30/07, 03/09, 15/10, 10/12 2026,
15/04, 29/04, 20/05, 17/06, 15/07, 09/09, 30/09 2027 | od **8.998,-**



Historyczne bogactwa Neapolu, tragedia Pompejów, niespokojny i majestatyczny Wezuwiusz, malownicze wybrzeże Amalfi i wiele innych skarbów regionu Kampanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu i przejazd do hotelu. **Dz. 2** Wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, po południu opcjonalna wycieczka do krateru Wezuwiusza. **Dz. 3** Wizyta w Pompejach. Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 4** Wybrzeże Amalfi oraz greckie świątynie w Paestum. **Dz. 5** Wycieczka do Sorrento. **Dz. 6** Wycieczka na wyspę Capri. **Dz. 7** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Herkulanum. **Dz. 8** Transfer na lotnisko i wylot do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 21/10 2026 | od **5.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL17**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 7f01362802

Koalicja pod napięciem



Po eskalacji związanej z głosowaniem nad wotum nieufności wobec ministry klimatu Pauliny Hennig-Kloski zimna wojna w koalicji przeszła chwilowo w fazę lekkiego odprężenia. Po jednej stronie rządowej żelaznej kurtyny jest Polska 2050, po drugiej reszta koalicyjnego świata i ten stan nie zmieni się już do wyborów. Możliwe, że wyborów wcześniejszych, bo kolejnego zaognienia konfliktu możemy się spodziewać już po wakacjach.

Wkrótce zobaczymy uzupełnienie składu rządu o secesjonistów z klubu Centrum, który uformował się po rozpadzie Polski 2050, choć będzie to zmiana raczej aksamitna, na szczeblu wiceministrów. Co bardziej rozgrzani przedstawiciele formacji Hennig-Kloski fantazjują w rozmowach z mediami o stanowisku minister kultury dla Aleksandry Leo, ale oznaczałoby to kolejny potężny kryzys wewnętrzny w obozie władzy, na który dziś żadna ze stron nie jest gotowa. Tym bardziej że „kalendarz eskalacyjny" jest wszystkim doskonale znany: z otwartą wojną będziemy mieli do czynienia już wczesną jesienią, podczas prac nad przyszłorocznym budżetem. Polska 2050 postawi wtedy wszystkie swoje polityczne żetony na podwyższenie drugiego progu podatkowego ze 120 tys. do 140 tys. zł: to zmiana, którą niosą dziś na sztandarach pod hasłem „4 tys. zł dla klasy średniej". Twarde stanowisko w tej sprawie zapowiedział kilka dni temu w rozmowie z WP Jan Szyszko, bliski współpracownik **Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz**. Propozycja jest nośna, dotyczy ok. 3 mln podatników, w tym części nieoczywistych grup zawodowych, takich jak pielęgniarki i nauczyciele. Szkopuł w tym, że jest również kosztowna, a wygospodarowanie dodatkowych 9 mld zł w napiętym jak struna budżecie może się okazać niemożliwe.

Dla Polski 2050 ten temat może być długo wyczekiwanym pretekstem, aby – posługując się slangiem politycznym – „rzucić szmatą" i wyjść z rządu w roli obrońcy interesów klasy średniej. A ponieważ bez 15 posłów ugrupowania Pełczyńskiej-Nałęcz i Hołowni budżetu uchwalić się nie da, realna stanie się perspektywa wyborów już wiosną 2027 r. Niewykluczony jest jednak wariant kompromisowy, bo podniesienie drugiego progu idealnie nadaje się jako zmiana na kampanię wyborczą. W tym scenariuszu Polska 2050 zaklepuje sobie pozycję trendsettera, cała koalicja propozycję przyjmuje, a premier **Tusk** z wielką pompą ją ogłasza, ale dopiero w przyszłym roku.

Jesteśmy jednak w takiej fazie koalicyjnego pożycia, że najbardziej racjonalny rozwój wypadków jest zarazem najmniej prawdopodobny. Kompletny brak zaufania między zwaśnionymi stronami zwiastuje za kilka miesięcy gwałtowne zderzenie i konflikt, który skończy się rozwodem. (M.DAN)

Polska otwiera unijny sejf

Z najdłuższą listą projektów, największą pulą do wykorzystania i mimo prezydenckiej blokady jako pierwsza z 19 unijnych uczestników Polska podpisała umowę na pożyczki zbrojeniowe z mechanizmu SAFE. Weto Karola Nawrockiego opóźniło ten moment o dwa miesiące, bo Warszawa musiała wdrożyć plan awaryjny, ustawę zastąpić uchwałą rządu i wpuścić środki z SAFE w istniejący Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych – zamiast tworzyć osobny, z szerszymi możliwościami. To, co stracą resorty niemilitarne (16 mld zł), rząd chce im zrekompensować, a MON zapewnia, że ma plany zagospodarowania całej dostępnej kwoty 187 mld zł na zakupy głównie z polskiego przemysłu obronnego i krajów europejskich.

Na pierwszy ogień pójdą systemy antydronowe, a w zasadzie te komponenty „składaka", jakim jest system San, które w rygorach SAFE da się zamówić z Polski czy Norwegii. Jak jednak podkreśla rząd, program SAFE pozwala zaspokoić niespełnione od lat potrzeby lotnictwa (samoloty transportowo-tankujące) i marynarki wojennej (trzy typy okrętów), a nie tylko tradycyjnie dominującej w zakupach – artylerii i wojsk zmechanizowanych. Te i tak zresztą dostaną najwięcej – na wozy bojowe Borsuk, armatohaubice Krab, pojazdy automatycznego minowania Baobab i miliony sztuk amunicji wielkokalibrowej. Ale będzie to walka z czasem, bo na podpisanie umów jednostronnych MON ma czas do końca maja. Później, zgodnie z zasadami SAFE, do zakupów będzie musiał mieć partnerów. Ci już się zgłaszają – najwięcej po polski eksportowy przebój: przenośne pociski przeciwlotnicze Piorun czy równie popularne drony rozpoznawcze FlyEye oraz elementy systemów antydronowych.



Maj będzie więc rekordowym miesiącem dla Agencji Uzbrojenia, a cały 2026 r. zaowocuje największą serią umów do wykonania w zaledwie kilka lat – co zresztą stanowi największe ryzyko programu. Pilnować go ma Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, która jako pełnomocniczka wyrosła na ważną figurę, odpowiedzialną za projekt o wysokim priorytecie politycznym, obronnym i rozwojowym (to także narzędzie odbudowywanej dyplomacji przemysłowej). To ona ma klucz do polskiego SAFE-u, choć są już tacy, którzy widzą się jako jego rozpruwacze. PiS brnie w narrację o brukselskim łańcuchu, niemieckim bucie, oszustwie Tuska i krachu finansów, który ma grozić Polsce w wyniku spłaty pożyczek dwa razy tańszych niż zaciągane przez ich rząd na sprzęt z importu. To, co rząd przyjął jako azymut obrony Europy, opozycja widzi jako kurs ku unijnej przepaści. Chyba tylko wybory w 2027 r. rozsądzą, dokąd chcemy zmierzać. (MŚ)

© MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, MARTIN GROSSMAN/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7f01362802

Strachy z lasu



O niedźwiedziach i o tym, kto i dlaczego nimi straszy, mówi dr Robert Maślak, zoolog z Uniwersytetu Wrocławskiego, ekspert zaangażowany w badania niedźwiedzi.

AGNIESZKA SOWA: **– Po tragicznym ataku niedźwiedzia w Płonnej wybuchła panika. W Morochowie niedźwiedź wystraszył rolnika; władze gminy wnioskują o odstrzał drapieżnika. Samorządowcy z Bieszczad proponują systemową redukcję niedźwiedzi albo ich kastrację. Do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Rzeszowie wpłynęło zawiadomienie o zamiarze trucia niedźwiedzi poprzez wykładanie w lasach zatrutego mięsa. Co się dzieje?**

ROBERT MAŚLAK: – Śmierć kobiety zbierającej poroża to był tragiczny, ale losowy wypadek. W ciągu ostatniego stulecia w Polsce zdarzyły się może trzy śmiertelne ataki; ofiary to zbieracze poroży, którzy dosłownie „weszli" na niedźwiedzia. W Europie mamy kilka wypadków rocznie, najczęściej w Rumunii, gdzie ofiarami są pasterze owiec, którzy próbują misia odgonić. Więc to, co się wydarzyło w Płonnej, nie ma nic wspólnego z tym, że niedźwiedzie zbliżają się do ludzkich osad, przyzwyczają do korzystania ze śmietników i resztek pokarmu. Natomiast w dyskursie publicznym jest to łączone i uważam, że to jest celowy zabieg, który ma na celu korzyści o charakterze czysto politycznym.

Jak na Słowacji?

Tam w czasie ostatnich wyborów, które wygrali Fico i nacjonaliści słowaccy, niedźwiedzie były jednym z najważniejszych tematów. Można straszyć imigrantami, LGBT, gender, można i drapieżnikami. Jak poseł Konfederacji Andrzej Zapałowski, który niemal codziennie publikuje zdjęcia i filmiki wilków, niektóre prawdziwe, inne wygenerowane przez AI.

Ale są i tacy, którzy pewnie chętnie by do nich postrzelali?

To jest splot interesów politycznych oraz interesów takich grup, które chcą polować na niedźwiedzie i wilki, bo to jest w środowisku myśliwskim duży prestiż. Dla części myśliwych byłaby to nie lada gratka, gdyby udało się te gatunki wprowadzić na listy gatunków łownych.

Mamy jednak problem z dzikimi zwierzętami. W Bieszczadach to wilki i niedźwiedzie, w wielu miastach – dziki.

Od 2011 r. leży w ministerstwie plan ochrony niedźwiedzia brunatnego opracowany przez naukowców. Zawiera m.in. wytyczne powołania grupy eksperckiej, decyzyjnej w sytuacjach nagłych i interwencyjnej, wyposażonej w środki odstraszania, która może reagować na miejscu. Tak jak to robi Tatrzański Park Narodowy. Ale ani ten plan nie został wdrożony, ani żadne zmiany dotyczące gospodarki odpadami, które trzeba wprowadzić w gminach, gdzie występują niedźwiedzie. Bo one przychodzą do nas tylko dlatego, że lubią jedzenie, które wyrzucamy. Dodajmy, że przy tym pastwisku w Morochowie była ambona, a pod nią kolby kukurydzy.

Są znane rozwiązania, są na to pieniądze, np. środki unijne, które nie zostały wykorzystane, ale najwyraźniej nie ma woli, by coś zrobić.

REKLAMA

GRAND press PHOTO 2026

XXII OGÓLNOPOLSKI KONKURS FOTOGRAFII REPORTERSKIEJ

WYBIERZ NAJLEPSZE ZDJĘCIE GRAND PRESS PHOTO 2026 I ZAGŁOSUJ

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
28 MAJA 2026 ROKU, GODZ. 19:00
TRANSMISJA NA ANTENIE TVP KULTURA ORAZ W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH FUNDACJI GRAND PRESS I GRAND PRESS PHOTO

SZCZEGÓŁY KONKURSU: WWW.GRANDPRESSPHOTO.PL
BĄDŹ Z NAMI NA FACEBOOKU I INSTAGRAMIE

ORGANIZATOR
GRAND press FOUND.

MECENAS KONKURSU
TOTALIZATOR SPORTOWY | LAT

PARTNER STRATEGICZNY, PARTNER KATEGORII DOCUMENTARY PROJECT
PZU FUNDACJA

PARTNER KATEGORII CULTURE ORAZ KATEGORII SPORT
ORLEN

PARTNER KATEGORII CLIMATE, RESPONSIBILITY
GRUPA LUXMED Jesteśmy częścią Bupa

PARTNER KATEGORII PEOPLE
GDAŃSK

GŁÓWNI PATRONI MEDIALNI
TVP info | TVP KULTURA

PATRONI MEDIALNI
100 LAT POLSKIEGO RADIA | press | POLSKIE RADIO RDC

PARTNERZY GALI
COCOSOUND | F25.

eprasa.pl 7011362802

TYDZIEŃ W POLITYCE

Co czeka stare media



Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House

Sir David Attenborough skończył 100 lat. Jest w doskonałej kondycji intelektualnej. W urodzinowych wywiadach niezmiennie ma moc autorytetu, źródła sprawdzonej wiedzy o świecie. „Świecki święty", „skarb narodowy" – mówią o nim w Anglii. Urodził się w 1926 r.; jako 26-latek dołączył do BBC. Jako stulatek wciąż ma tam swoje miejsce. Udało mu się stworzyć coś bardzo trudnego w obecnych czasach: poważne programy dla masowej publiczności. Czule symbolicznie widać po nim, że czasu nie zatrzymamy. A media, które dały mu moc, przemijają.

BBC ma 104 lata, Polskie Radio – 100 lat, AFP – 190 lat, AP –180 lat, Reuters – 175 lat. CNN kończy 46 lat. Twórca tej pierwszej całodobowej stacji informacyjnej Ted Turner zmarł kilka dni temu. Niewiele rzeczy w XX w. zmieniło amerykańską politykę, dziennikarstwo i ludzi tak dramatycznie, jak wynalezienie wiadomości 24 godz. na dobę. Dla CNN punktem zwrotnym była pierwsza wojna w Zatoce Perskiej, dla naszej rodzimej TVN24 – zamachy 11/09. Dzisiaj cała branża walczy o widzów.

Dla młodych odbiorców wiarygodność nie bierze się z doświadczenia. Attenborough choć przeżył kilka pokoleń, doświadczył tysięcy przygód, będzie miał mniejszy szacunek niż wysoko zasięgowy influencer podróżniczy z YouTube. Kiedyś to bloger straszył dziennikarzy, że zabierze im robotę, dzisiaj twórca (ang. *creator*) sieje postrach, że przejmie widzów. A twórcą może być każdy. Technologia pozwala robić radio i telewizję o globalnym zasięgu. AI też jest potężnym medium. Nadaje każdy, nadaje zewsząd, nadaje cokolwiek. Żyjemy w czasach nadążania. Zdąż albo zgiń.

Kiedy na przełomie wieków zaczynałem pracę w Trójce, świat wyglądał na idealny. Ja miałem tylko 21 lat i spokojnie mogłem tam umrzeć. To był szczyt dziennikarskich marzeń: Kaczkowski, Mann, Kydryński, Beksiński, Niedźwiecki, Wałkuski, Zegarłowicz. Dawali mi szansę patrzeć im na ręce, słuchać i nadążać. Byłem przy nich amatorem. Ale uważnym, odrobiłem lekcję. Dzisiaj juniorów już nikt nie chce, bo ogarnięty senior z technologią jest jak broń atomowa. Dzisiaj każdy z nas musi być kompletny. Nie ma dziennikarstwa prasowego, radiowego, cyfrowego i telewizyjnego. To prehistoria. Muszę umieć pisać, mówić do mikrofonu, umieć filmować, robić zdjęcia, mieć gust graficzny. Do tego umieć sprzedać swoją pracę.

Tego chyba najbardziej boją się moi koledzy. Przyznania, że informacja jest produktem, że żyjemy na bardzo konkurencyjnym rynku. Że Mr Beast, Wojewódzki, Onet, POLITYKA i „New York Times" walczą o to samo złoto, w tym samym momencie: o uwagę ludzi. Dzisiaj najcenniejszą walutą jest czas. Mamy go tyle samo, ale treści jest coraz więcej. To widzowie wymuszają zmiany. W „NYT" (13 mln subskrybentów) to Wordle ratują odpływ czytelników, a nie informacja. Pomaga dywersyfikacja kontentu, budowana na zaufaniu i jakości.

Wiem, że zapowiedź zwolnienia 12 proc. załogi RASP (Onet, „Newsweek", „Forbes", „Fakt") brzmi boleśnie. Przeszedłem to we własnej firmie rok temu. Żeby przetrwać na rynku pracy (niezależnie od talentu), trzeba dziś być tenisistą. Po dobrym forhendzie możemy mieć nieco słabszy bekhend, ale zawsze wracamy na środek pola i czekamy, jaką piłkę poda przeciwnik.

Matury: egzaminujemy, jak możemy

Czy w obecnych warunkach rzetelny centralny egzamin, pozwalający porównać ze sobą wyniki uczniów z różnych szkół i części Polski jest jeszcze wykonalny? To pytanie wraca co roku z coraz większą intensywnością. Tym razem do matur podeszło 345 tys. absolwentów szkół ponadpodstawowych, półtora rocznika. To skutek wprowadzonej w 2014 r. przez rząd Donalda Tuska reformy, na mocy której do szkół miały iść sześciolatki. Połowa ich rocznika poszła wtedy wraz z siedmiolatkami. Maturzyści zaczęli 4 maja, jak zwykle od obowiązkowego pisemnego polskiego na poziomie podstawowym. I jeszcze dobrze nie wczytali się w egzaminacyjne arkusze, a już były one dostępne w sieci. Co oznaczało, że ktoś je sfotografował i raczej nie zrobił tego (wyłącznie) dla wygłupu. Zdjęcia arkuszy mogły pomóc uzyskać podpowiedzi, jak rozwiązać zadania, setkom osób, które też weszły z zakazanymi urządzeniami na maturę. Bo wniesienie telefonu czy innego sprzętu na salę to żadna filozofia. Zdających nikt nie rewiduje, a wpaść można jedynie przy próbie korzystania z urządzenia. W tym roku złapano na tym (i unieważniono egzamin) 50 osób, ale przeważa pogląd, że to niewielki ułamek.



Maturzyści ściągają, bo nigdy nie udało nam się nauczyć młodzieży, że to nieuczciwe (co udało się np. Brytyjczykom), a jednocześnie od wyników matur dużo zależy (rekrutacja na studia) i oczywiście dlatego, że to możliwe (coraz bardziej). Przykre, że przedstawicielki Ministerstwa Edukacji przypisują odpowiedzialność za ujawnianie treści zadań coraz to nowym grupom zdających – a to absolwentom techników, a to osobom przystępującym ponownie do matury po kilku latach, jakoby pod pretekstem(?), że chcą ją poprawić. Za to konkretne pomysły, jak uszczelnić egzaminy, przedstawiane są w formule niezrealizowalnego na razie science fiction („centra egzaminacyjne bez dostępu do internetu", o których mówiła wiceszefowa MEN Katarzyna Lubnauer).

Treść zadań egzaminacyjnych z trzech obowiązkowych przedmiotów (poza polskim – z matematyki i z angielskiego) w przeważających opiniach nie była kontrowersyjna. Na egzaminie z polskiego już po raz czwarty uczniowie pracowali na tekście naszej redakcyjnej koleżanki Agnieszki Krzemińskiej, a także związanego z POLITYKĄ Olafa Szewczyka (niestety, w arkuszu zabrakło wzmianki o afiliacjach publicystów). Maraton maturalny kończy się 30 maja. Na wyniki zdający muszą czekać aż do 8 lipca. (J.CIEŚL)

© MAREK PODMOKŁY/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7f01362802

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!

















Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 7f01362802

Gra w ceny ropy

Trudno nadążyć za kolejnymi propozycjami pokojowymi. Lekko licząc, ósma od początku wojny Stanów Zjednoczonych i Izraela z Iranem przyszła z Teheranu w ostatni weekend. A była ona z kolei odpowiedzią na amerykańskie 14 punktów z poprzedniego wtorku. Ale i tym razem nic z tego nie będzie – prezydent Donald Trump nazwał najnowszą irańską kontrpropozycję „totalnie nieakceptowalną". Przypomnijmy główne punkty sporne. Generalnie Amerykanie chcą od razu załatwić wszystkie sprawy z nuklearną włącznie, a Irańczycy najpierw oczekują miesięcznego zawieszenia broni i odblokowania swoich portów. Waszyngton nie zgadza się na to w obawie, że po wycofaniu amerykańskich wojsk Teheran nie będzie już skłonny do negocjacji.



Propagandowy baner w Teheranie

W sprawie atomu spory są trzy. Po pierwsze, czas zawieszenia irańskiego programu: Amerykanie żądają 20 lat, Irańczycy – 8. Po drugie, co dalej z wysoko wzbogaconym już uranem, możliwym składnikiem bomby atomowej, którego Iran ma 440 kg. Amerykanie się domagają, żeby opuścił on terytorium Iranu, Irańczycy woleliby zachować przynajmniej część. I po trzecie, Waszyngton żąda demontażu instalacji wzbogacania uranu, Teheran nie chce o tym słyszeć.

Gdyby dziś oceniać szanse na porozumienie, to są one marne. Tym bardziej że Irańczycy nadal domagają się odszkodowania za skutki amerykańsko-izraelskich ataków. Muszą więc zaskakiwać kolejne zmiany nastroju Trumpa, który w ciągu dwóch, trzech dni potrafi przejść od „totalnego" odrzucenia irańskich propozycji i gróźb anihilacji do pełnych optymizmu haseł „o niesamowitych postępach" w rozmowach. I pewnie można by to zrzucić na karb osobowości prezydenta USA, gdyby nie fakt, że na tych zwrotach akcji ktoś zarabia miliardy dolarów.

Do takiego wniosku doszła agencja Reutera, która we współpracy z gronem ekspertów i na podstawie raportów CFTC (amerykańskiej instytucji kontrolującej transakcje na giełdach) ocenia, że w wyniku „szybkich" zakupów i tzw. krótkiej sprzedaży na rynku ropy naftowej i jej pochodnych kilkanaście niezidentyfikowanych podmiotów w marcu i kwietniu zarobiło ponad 7 mld dol. Do czterech transz transakcji dochodziło kilka godzin przed kolejnymi deklaracjami Trumpa, m.in. chwilę przed ogłoszeniem rozejmu z Iranem 7 kwietnia czy 21 kwietnia, gdy ten rozejm był przedłużany. Za każdym razem cena ropy spadała krótkoterminowo od 10 do 15 proc., aby potem wrócić do ceny wyjściowej. Był to odruch rynku na uspokajające deklaracje prezydenta USA, które nie miały jednak wiele wspólnego z rzeczywistością w Zatoce Perskiej. Odruch na tyle jednak długi, aby zrealizować zyski.

ŁUKASZ WÓJCIK

Wielka Brytania trumpizuje

Bloodbath, czyli krwawa jatka, masakra – tak wyniki zeszłotygodniowych wyborów lokalnych w Wielkiej Brytanii podsumowuje znana redakcja „Politico". Ma na myśli laburzystowski rząd premiera Keira Starmera. Gdyby rezultaty z kilku tysięcy gmin przełożyć na siatkę wyborów parlamentarnych – tylko 4 z 15 ministrów obecnego rządu zatrzymałoby mandaty w Izbie Gmin, a dotąd marginalna prawicowa Reform UK przejęłaby rządy – z populistą **Nigelem Farage'em** jako premierem. Oczywiście nigdy takie przełożenie dokładnie się nie odwzorowuje, a wybory parlamentarne odbędą się dopiero za trzy lata. W procentach oddanych na partie głosów przewaga partii Farage'a jest wyraźna, ale nie dramatyczna – 26 proc., wobec pozostałych – Partii Pracy, konserwatystów, Liberalnych Demokratów i Zielonych – po ok. 16–18 proc. Większość Farage'a w Izbie Gmin wynikałaby z jednomandatowej ordynacji, w której zwycięzca, choćby jednym głosem, bierze wszystko.



Klęska Partii Pracy wynika z rozczarowania po przejęciu przez nią władzy w 2024 r. – z ogromną wówczas przewagą. Dziś wyborcy są sfrustrowani brakiem odczuwalnej poprawy na wszystkich polach: kosztów życia, płac, ochrony zdrowia, mieszkalnictwa. Nienajlepiej się powodzi krajowi, a sam Starmer nie porywa, nie ma charyzmy przywódczej, nigdy nie brylował w parlamencie ani w mediach. Niemniej mimo tej „krwawej łaźni" laburzyści utrzymają władzę, co najwyżej zmieniając premiera. Farage nie przejmie rządów, ale niewątpliwie wpłynie na poglądy dużej części społeczeństwa. Odpływa do niego klasa robotnicza w dawnych bastionach Labour w północnej i środkowej Anglii. Podoba się jej silna narracja antyimigracyjna, krytyka „oderwanych od życia" londyńskich elit, obrona rzekomo zagrożonej suwerenności narodowej.

Reform UK twierdzi, że sądy międzynarodowe i konwencje ograniczają demokrację, chce odejścia od Europejskiej konwencji praw człowieka i maksymalnego oddalenia Wielkiej Brytanii od struktur UE, choć przecież kraj i tak wyszedł z Unii. Choć Farage opowiada się za silną armią, to wielokrotnie mówił, że ekspansja NATO i UE na wschód sprowokowała Rosję do wojny. Poza tym zwolennikom Farage'a podoba się to, że chętnie pokazuje się on z Donaldem Trumpem, a w praktyce partia jest brytyjskim odpowiednikiem twardej części ruchu MAGA: wypowiada wojnę kulturową „zgniłej Europie", krytykuje politykę *woke* i zgubny liberalizm. Jeśli wybory na Węgrzech były zwycięstwem Europy, to wybory w Wielkiej Brytanii są dla Europy porażką.

MAREK OSTROWSKI

eprasa.pl 7f01362802



Oda w Budapeszcie

Na oczach tysięcy rodaków śledzących ceremonię na telebimach rozstawionych przed gmachem parlamentu 45-letni **Péter Magyar** został zaprzysiężony na nowego premiera Węgier. Zapowiedział walkę z korupcją, przywrócenie rządów prawa i powrót kraju do głównego nurtu polityki w UE. Rozliczenie nadużyć i naprawa ustroju państwa to warunek odzyskania przez Węgry zaufania ze strony Komisji Europejskiej. A co za tym idzie – 16 mld euro środków unijnych niezbędnych, by wydobyć rodzimą gospodarkę z zapaści, w jakiej pogrążyły ją długie rządy byłego premiera Viktora Orbána.

Lider zwycięskiej Partii Szacunku i Wolności Tisza zapowiedział prześwietlenie stanu finansów państwa i audyt największych zamówień publicznych. A także utworzenie dwóch urzędów, które zajmą się przypadkami korupcji na wysokim szczeblu i odzyskaniem skradzionych aktywów. Jeszcze w tym miesiącu ze stanowiskami pożegnają się ludzie dawnego reżimu, w tym prawdopodobnie prezydent kraju i prokurator generalny. Tisza ma 141 posłów w 199-osobowym parlamencie i może samodzielnie uchwalić nową konstytucję. Kluczowymi postaciami w 16-osobowym gabinecie będą: szef kancelarii premiera Bálint Ruff, minister gospodarki István Kapitány i ministra spraw zagranicznych Anita Orbán. Ta trójka będzie współtworzyć wraz z Magyarem nowe oblicze węgierskiej polityki, gospodarki i dyplomacji.

W przyszłą środę 20 maja węgierski premier uda się w pierwszą podróż zagraniczną – do Polski. W Warszawie spotka się z premierem Donaldem Tuskiem, w Gdańsku – z byłym prezydentem Lechem Wałęsą, a w Krakowie – z kard. Grzegorzem Rysiem. Magyar, któremu w kampanii zarzucano, że chodzi na pasku Brukseli, chce pokazać, że prowadzi niezależną politykę, zgodną z tradycjami politycznymi i historycznym znaczeniem swego kraju w regionie. Dlatego po Warszawie odwiedzi Wiedeń, a potem Brukselę i Berlin. Wszędzie będzie szukać poparcia przed trudnymi rozmowami, jakie w najbliższych tygodniach czekają go w KE.

W dniu jego zaprzysiężenia na parlamencie zawisła, po wielu latach, flaga UE. Odegrano „Odę do radości", zaraz po hymnie państwowym wykonanym przez chłopięcy zespół mandolinistów ze wsi Sükösd na południu kraju. Premier obiecał chłopcom, że po wygranych wyborach 12 kwietnia 2026 r. zaprosi ich do Budapesztu. Spośród wszystkich jego obietnic wyborczych ta chyba była najłatwiejsza do spełnienia. AKA

Mała parada

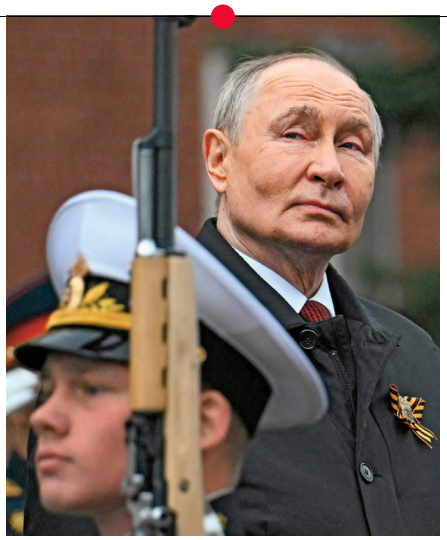

Rzeczywistość nie chce się dostosować do zapewnień **Władimira Putina** o „rychłym zwycięstwie" w Ukrainie. 9 maja, po paradzie upamiętniającej zwycięstwo w drugiej wojnie światowej, czarował swoich propagandzistów, że „sprawa zbliża się do końca". Jak objaśniał, jedynie wymagania pola bitwy sprawiły, że tym razem przez Plac Czerwony nie przejechały kolumny ciężkiego sprzętu, ponoć bardziej potrzebnego na froncie niż w Moskwie. Rzecznik Putina dodawał, że kameralność obchodów i króciutka lista zagranicznych gości wynika jedynie z rocznicowej nieokrągłości.

Parada była błyskawiczna i chodziło raczej o obawy przed ukraińskimi dronami, które z powodzeniem rażą cele w głębi rosyjskiego terytorium. Aby uniknąć wizerunkowego blamażu, a pewnie i z lęku o własne bezpieczeństwo, Putin wyprosił – za pośrednictwem Donalda Trumpa – krótkie zawieszenie broni. A na tę okoliczność Wołodymyr Zełenski, były komik, wydał dekret, w którym zezwolił prezydentowi Rosji na organizację defilady.

Skromna parada obnażyła słabości. Od wielu tygodni nie ma wyraźnych postępów na froncie, choć spowolnienie może być chwilowe i wynikać z przygotowań do letniej ofensywy. Niemniej przy obecnym tempie podboju zajęcie tylko całego Donbasu, co Putin stawia jako warunek zakończenia wojny, potrwa jeszcze ponad 30 lat. Koszty wojny coraz mocniej odczuwają zwykli Rosjanie. Nie słabnie fala oburzenia na trwające od końca marca przerwy w dostępie do internetu i blokowanie nierosyjskich serwisów społecznościowych. Wyłączenia mają m.in. utrudniać sterowanie dronami przez Ukraińców, ale interpretowane są jako atak na prywatną sferę rosyjskich obywateli i odebranie im jednego z nielicznych praw.

Niezadowolenie jest tym większe, że trudniej i drożej się żyje. Nakierowana na obsługę wojny gospodarka jest daleka od krachu, ale w najlepszym razie zużywa przyszły potencjał. W rezultacie słabnie poparcie dla Putina, od początku wojny osunęło się – według oficjalnych optymistycznych danych – z ponad 80 do 65 proc. Równolegle wzrosła liczba internetowych poszukiwań odpowiedzi na pytanie „jak wyjechać z Rosji?". Giennadij Ziuganow, lider Rosyjskiej Partii Komunistycznej, sugeruje, że jeśli nie uda się przełamać trudności, to stagnacja gospodarcza, zmęczenie wojną i zniecierpliwienie cenzurą internetu niebawem (Ziuganow wskazuje na jesień) zagrożą powtórką rewolucji lutowej, która w 1917 r. obaliła w Rosji monarchię. JW

© MAJID SAEEDI/GETTY IMAGES, PETER BYRNE/PA IMAGES/GETTY IMAGES, AKOS STILLER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, ALEXANDER NEMENOV/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7f01362802



Henryk R., zwany Łomiarzem, podczas pierwszego procesu, w którym skazano go na 25 lat więzienia, 1995 r.

Człowiek, który nienawidzi kobiet

ZBIGNIEW BOREK, PAWEŁ RESZKA

Łomiarz, sprawca brutalnych napadów na kobiety, wyszedł na wolność. Karę odsiedział od deski do deski, jest wolnym człowiekiem. Ale budzi strach, bo znów może zaatakować. Czy należy go zamknąć? Czy można ukarać za czyn, którego – jeszcze – nie popełnił?

Spójrzmy na niego. Wiek: z wyglądu 25–30 lat, szczupła budowa ciała, włosy jasny blond, krótko ostrzyżone, czesane z przedziałkiem. Twarz szczupła, nos mały, uszy małe, usta cienkie. Taki rysopis 22 lipca 1993 r. zamieścił na pierwszej stronie „Express Wieczorny". Z portretu pamięciowego patrzył na czytelników nie żaden zbój, lecz grzeczny chłopiec, który każdemu się ukłoni i sąsiadce przyniesie zakupy. O charakterystycznej opadającej

eprasa.pl 7f01362802

wardze, przez co miał być wyszydzany przez rówieśników i nazywany Krzywoustym, w rysopisie nie było ani słowa. Ale i bez tego ten grzeczny chłopiec budził przerażenie: Warszawa w tamtym czasie bardziej bała się jego niż owianych złą sławą mafii z Pruszkowa czy Wołomina. Kobiety unikały samotnych spacerów, zwłaszcza w okolicach śródmiejskich bram i podwórek, gdzie grasował. Media nazwały go Wampirem z bramy, a potem Łomiarzem (choć według biegłych używał nie łomu, ale metalowej rurki lub ciężkiej sprężyny).

1 Pierwszy udokumentowany atak miał miejsce późnym wieczorem 23 marca 1992 r. W bramie przy ulicy Nowowiejskiej bandyta uderzył starszą kobietę w głowę. Kiedy straciła przytomność (odzyskała ją dopiero nazajutrz), zabrał jej torebkę i zniknął. Ten pierwszy napad jest jak pełny „podpis sprawcy", który powtarzał się później: zero rozmowy czy gróźb, atak od tyłu z zaskoczenia, cios w głowę (czasem jeszcze bicie i kopanie), szybki rabunek, ucieczka bez śladów. „Nie było żadnych bezpośrednich świadków, nie było żadnych śladów, dowodów" – mówił na gorąco dziennikarzom Czesław Leicht z komendy w Piasecznie.

Poszukiwania sprawcy prowadziła grupa operacyjna policji pod kryptonimem Amnezja – bo większość ofiar pamiętała niewiele albo nic. Według ustaleń śledczych do jesieni 1993 r. Łomiarz dopuścił się 29 napadów na Placu Zbawiciela i w okolicy, na Puławskiej, w rejonie Madalińskiego, na Marszałkowskiej. Z każdym napadem robił się coraz bardziej zuchwały, ciosy zadawane tępym narzędziem stawały się coraz mocniejsze, a napady częstsze. Apogeum nastąpiło 14 czerwca 1993 r.: w ciągu kilku godzin zaatakował pięć kobiet, dwie zmarły. Jego najmłodsza ofiara miała 22 lata, najstarsza 88. Większość stanowiły kobiety w wieku od 46 do 65 lat. Ogółem zmarło aż pięć, ale Łomiarz nigdy nie został skazany za zabójstwo.

2 Bandyta został schwytany podczas próby kolejnego napadu na ul. Puławskiej 6 września 1993 r. Był to już trzeci atak tego dnia, ofiara jednak zaczęła głośno wzywać pomocy, co spłoszyło Łomiarza. Gdy oddalał się z damską torebką pod pachą, dostrzegł go przechodzień. Poinformował policję. Policjanci zabrali świadka do radiowozu, jeździli po ulicach Warszawy i wypatrywali bandyty. Miał być widziany, gdy między napadami zajadał parówkę i popijał piwem, obserwując policję w akcji. W końcu wpadł.

Napastnikiem okazał się 31-letni Henryk R. Urodził się w 1962 r. w Konstancinie-Jeziornie, 20 km od centrum Warszawy. Dorastał w biednej dzielnicy nazywanej Argentyną. Matka oprócz niego wychowywała samotnie dwie siostry. Jego rzekomo faworyzowała. W szkole wagarował, powtarzał klasy i popełniał drobne przestępstwa. Jako 15-latek trafił do ośrodka wychowawczego. Na kobiety zaczął napadać, gdy wychodził na przepustki z Zakładu Karnego w Łowiczu, gdzie odsiadywał inny wyrok. Zwykle przyjeżdżał pociągiem na Dworzec Śródmieście, szedł pieszo do Dworca Południowego, gdzie wsiadał w autobus do Konstancina. Atakował po drodze, bez wcześniejszych przygotowań czy obserwacji. „Nienawidzę kobiet, to silniejsze ode mnie. Jak widzę kobietę, to myślę: jest do eliminacji" – mówił później policjantom.

3 Sąd wymierzył mu karę 25 lat więzienia za trzy napady. Po apelacji 31 stycznia 1996 r. wyrok zmniejszono do 15 lat, uznając go winnym tylko jednego napadu. W 2000 r. ponownie oczyszczono go z zarzutów dotyczących napadu na dwie kobiety, jednak nadal odbywał karę 15 lat więzienia. Na wolność wyszedł w 2008 r.

Rok później znów zaatakował – tym razem między Piasecznem a Konstancinem. Ofiarą była 52-letnia mieszkanka Piaseczna, która właśnie wypłacała z bankomatu pieniądze. 47-letni już wtedy Henryk R. ją kopnął, a gdy przewróciła się na ziemię, skradł jej pieniądze, dokumenty i wartościowe rzeczy.

Wpadł przez zapis z monitoringu. Henryk R. był agresywny wobec policjantów. Po obezwładnieniu trafił do aresztu. Miał przy sobie wycinki prasowe na swój temat. „Głównym celem nie był motyw rabunkowy, ale satysfakcja. On stał się głośny, pisały o nim gazety, a więc sam się wylansował, był ważną osobą w sytuacji, gdy drogą legalną nie mógł dojść do osiągnięcia jakiegoś statusu" – komentował w mediach prof. Brunon Hołyst, kryminolog. I dodawał: „Był wychowywany na typowego egoistę i cynika, który wychodził z założenia, że wszystko mu się w życiu należy. Tego rodzaju sprawca nigdy nie wkroczy na drogę poprawy. Nie można wykluczyć, że kolejne osoby stracą życie".

Henryk R. został skazany na siedem lat więzienia. Na wolność wyszedł 2 kwietnia 2016 r., a już 30 kwietnia napadł na 71-letnią Alinę S. w Łowiczu. Uderzył ją pięścią w twarz, a gdy upadła, kopnął w głowę i usiłował wyrwać jej torebkę, w której był telefon, parę kromek chleba i portfel z sześcioma złotymi. Po ataku uciekł na dworzec kolejowy, gdzie został zatrzymany przez policję. Miał 1 promil alkoholu w organizmie. Twierdził, że nic nie pamięta, ale napad zarejestrowały kamery monitoringu z pobliskiego sklepu. Za usiłowanie rozboju został skazany na 10 lat odsiadki, choć ofiara doznała niegroźnych obrażeń. Sąd wziął pod uwagę recydywę i zagrożenie, jakie na wolności stanowi Łomiarz.

4 Henryk R. skończył odbywanie kary 28 kwietnia 2026 r. Na wniosek dyrektora Zakładu Karnego w Łowiczu sąd wydał postanowienie o zastosowaniu elektronicznej kontroli miejsca pobytu osadzonego po opuszczeniu przez niego więzienia i poddaniu się terapii przeciwdziałającej zachowaniom agresywnym.

– *Katalog środków zabezpieczających, jakie można zastosować wobec osoby, która opuszcza zakład karny po odbyciu całości kary, zawiera jeszcze tylko terapię uzależnień i pobyt w szpitalu psychiatrycznym, ale Henryk R. nie jest uzależniony ani chory psychicznie* – mówi POLITYCE sędzia Grzegorz Gała, rzecznik ds. karnych Sądu Okręgowego w Łodzi. Na specjalnej konferencji prasowej podkreślał, że biegli, którzy badali skazanego, doszli do wniosku, że „mimo podjętych działań resocjalizacyjnych brakuje mu krytycyzmu wobec popełnionych poprzednio czynów zabronionych, a deficyty osobowościowe wskazują na bardzo wysokie prawdopodobieństwo, że popełni w przyszłości podobny czyn zabroniony". Innymi słowy, trzeba się liczyć z tym, że Łomiarz znów zaatakuje.

5 Henryk R., dziś 64-letni, nigdy nie pracował, pół życia spędził w więzieniu, nie utrzymuje kontaktów z rodziną. Nikt nie wie, dokąd skierował pierwsze kroki na wolności. Tzw. bransoletkę musi nosić 24 godz. na dobę. Bezterminowo, ale za rok sąd może zmienić decyzję po zasięgnięciu opinii biegłych psychologów i psychiatrów o postępach w terapii. „Będziemy ▶

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7f01362802

▶ robić wszystko, żeby ta osoba nie stanowiła zagrożenia" – deklarował minister sprawiedliwości Waldemar Żurek.

– *Po odbyciu kary skazany odzyskuje wolność i nie istnieją instrumenty, które pozwalałyby go na zawsze zamknąć, jeśli wyrok został wykonany zgodnie z prawem, a tzw. Łomiarz odsiedział przecież swój wyrok od deski do deski* – mówi Wojciech Groszyk z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, prokurator z ponad 30-letnim stażem. I dodaje: – *Bransoletka nie zapobiega przestępstwu, bo informuje nas o tym, gdzie przestępca jest, a nie, co akurat robi. Sprawdza się głównie tam, gdzie można precyzyjnie wyznaczyć zakaz zbliżania się do konkretnych osób, np. w sprawach stalkingu. W innych przypadkach jej rola bywa iluzoryczna.*

6 Pierwszą myślą było to, że Łomiarza należy zamknąć w Gostyninie, bo tam przecież jest taki „ośrodek dla bestii". W Gostyninie działa Krajowy Ośrodek Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym. Ale Łomiarza nie da się tam umieścić. Zgodnie z ustawą o postępowaniu wobec osób z zaburzeniami psychicznymi stwarzających zagrożenie dla zdrowia, życia i wolności seksualnej, do KOZZD nie może trafić nikt skazany po 2015 r., a Łomiarz został skazany w 2016 r. Żeby trafił do ośrodka, trzeba by zmienić prawo.

Ustawa o Krajowym Ośrodku była prawem pisanym ad hoc, na kolanie, w odpowiedzi na konkretną społeczno-polityczną potrzebę. Uchwalono ją, bo na wolność miał wyjść Mariusz Trynkiewicz, nazwany Szatanem z Piotrkowa.

Trynkiewicz też był zupełnie zwyczajny. Jedynak. Szczupły, z wąsikiem. Pochodził z przyzwoitej, nieźle sytuowanej rodziny. Był lubianym nauczycielem. Miał 27 lat, gdy zamordował czterech nastoletnich chłopców. Ciekawe jest to, że wcześniej był już skazywany za molestowanie dziecka. Zbrodni dokonał, gdy był na warunkowym zwolnieniu, by opiekować się chorą matką.

„Prawidłowość wykonywania przerwy w karze mają obowiązek zapewnić kurator, policja, sąd penitencjarny. Wystarczyłoby więc, aby co najmniej jeden z podmiotów zobowiązanych do kontroli prawidłowości wykonywania środka w postaci przerwy w karze wypełnił swój obowiązek, sprawdził, czy Mariusz T. mieszka z matką i zajmuje się nią" – pisała prof. Monika Płatek w pracy „Kreowanie »groźnych, niebezpiecznych i złych«" (Archiwum Kryminologii, 2019 r.).

Kara 25 lat więzienia kończyła się Trynkiewiczowi w lutym 2014 r. By nie wyszedł na wolność, w resorcie sprawiedliwości, którym kierował Jarosław Gowin, minister w rządzie Donalda Tuska, trwały gorączkowe prace nad ustawą.

7 Zakładała ona dalszą izolację po odbyciu kary. Powodem miało być „zagrożenie bardzo wysokim prawdopodobieństwem" popełnienia przestępstwa przeciw życiu, zdrowiu bądź wolności seksualnej. Chodziło więc o czyn hipotetyczny, który mógłby dopiero zostać popełniony. Na dodatek ustawa była prawem działającym wstecz. Mimo to Trybunał Konstytucyjny uznał jej zgodność z ustawą zasadniczą.

Zgodnie z nowym prawem pobyt w KOZZD był orzekany przez sąd cywilny na wniosek dyrektora zakładu karnego, w którym osadzony odbywał karę. Trynkiewicz trafił do ośrodka w Gostyninie w kwietniu 2014 r. Był pierwszym pensjonariuszem. W założeniu placówka miała izolować najgroźniejszych przestępców. Obliczano, że znajdzie w nim miejsce maksymalnie 10 osób: mordercy, gwałciciele dzieci itp.



KOZZD w Gostyninie. W 12-letniej historii ośrodka 22 osoby wyszły na wolność, siedem zmarło.

Warunki miały być szpitalno-sanatoryjne. Media obiegały zdjęcia pojedynczych sal, ścian pomalowanych pastelowymi farbami, telewizora, eleganckich mebli, kaplicy, sali terapii zajęciowej. „Kawiarenka, grill, boisko do siatkówki, ping-pong, gry komputerowe" – donosił dziennik „Fakt".

Jednak w ustawie nie zapisano, że dotyczy ona sprawców najcięższych zbrodni. By dostać się do ośrodka, wystarczy siedzieć w kryminale za jakiekolwiek przestępstwa i przynajmniej jeden dzień odbywać karę w systemie terapeutycznym (np. terapia antyalkoholowa). Wystarczy wniosek dyrektora i orzeczenie sądu cywilnego. Do ośrodka trafiali więc skazani za stalking albo ludzie z wyrokami za oszustwo.

Zaczął się szybko zapełniać. Powstawały kolejne oddziały (dziś są cztery). Trynkiewicz zmarł, a w jego pierwszym pokoju stanęły cztery piętrowe prycze, na których są miejsca do spania dla ośmiu pacjentów.

Niektórych przywożono podstępem. – *Wychodziłem po 25-letniej odsiadce. Nikt mi nie pokazał decyzji o umieszczeniu w ośrodku. Na bramie stał podporucznik służby więziennej: „Podwieziemy pana na dworzec". Zatrzasnęli kratkę i prosto na Gostynin. Siedzę tu już dziesiąty rok* – mówi Jan T.

Liczba izolowanych rosła lawinowo – w 2019 r. było ich 65, w 2021 r. – 95, choć zgodnie z rozporządzeniem ministra zdrowia przewidziano tam 60 łóżek. Mimo że nie było miejsc, sądy kierowały kolejnych pacjentów. Na przeludnienie zwracała uwagę NIK, eksperci Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur i obrońcy praw człowieka. Uzyskali tyle, że w Czersku (woj. pomorskie) otwarto filię ośrodka.

Dziś w Gostyninie jest blisko 80 osób, w filii w Czersku – niemal 40. Liczba zmienia się, bo niektórzy pacjenci umierają, inni popełniają przestępstwa i trafiają do więzień.

eprasa.pl 7f01362802



© ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM, DANIEL PACH/FORUM

8 By mieć szanse zwolnienia, trzeba uczestniczyć w terapii, uzyskać od lekarzy i psychologów pozytywną opinię do wyjścia (wydawane są raz na pół roku). Jednak ostateczną decyzję o zwolnieniu podejmuje sąd cywilny. Znane są przypadki pensjonariuszy, którzy mają po kilkanaście pozytywnych wyjściowych opinii, jednak pozostają w ośrodku, ponieważ oceny terapeutów i lekarzy nie są w żaden sposób wiążące dla sądu.

Kilku mieszkańców KOZZD ma poważne problemy zdrowotne. Są i chorzy psychicznie, którzy powinni się znajdować w szpitalu psychiatrycznym. Przypadek jednej z takich osób trafił do raportu Europejskiego Komitetu ds. Zapobiegania Torturom: „Personel wyrażał opinię, że nie powinna być w KOZZD. Najprawdopodobniej cierpi na schizofrenię paranoidalną" – napisano w nim. Raport ukazał się w 2017 r., a ta osoba ciągle przebywa w ośrodku.

W KOZZD są ludzie zniedołężnieli: Zygmunt T. jest po kilku udarach, jeździ na wózku, ma problemy z mową, ledwie porusza rękami. Ma pozytywne opinie wyjściowe, ma też dokąd wrócić (na wolności czeka żona). A mimo to sądy uznają, że istnieje „bardzo wysokie prawdopodobieństwo", że T. popełni ciężkie przestępstwo.

W 12-letniej historii ośrodka 22 osoby wyszły na wolność, siedem zmarło.

9 Życiem pensjonariuszy rządzi wewnętrzny regulamin ośrodka. Lepsze warunki izolacji uzyskują często w wyniku protestów głodowych. Było ich już kilka. Najnowszy – w filii Czersk – właśnie się zaczął. Domagają się m.in. niezależnej weryfikacji zasadności ich pobytu w ośrodku, poszanowania godności, zapewnienia realnej terapii i wyznaczenia miejsca do palenia. W KOZZD nie wolno palić, pić, nie ma przepustek, widzeń intymnych.

Mieszkaniec KOZZD Gostynin Tadeusz Skwarczyński (autor książek i tomików poezji): – *Zgodnie z literą prawa jesteśmy niewinni. Tymczasem siedzimy i żaden z nas nie wie, kiedy i czy w ogóle wyjdzie. Ja odsiedziałem wyrok do ostatniego dnia. Nie starałem się nawet o warunkowe zwolnienie. Uważałem, że kara, którą dostałem, jest słuszna. Jednak już ją odbyłem! Co więc robię w ośrodku?*

– *Nie można karać ludzi w nieskończoność tylko dlatego, że się ich boimy. Państwo prawa musi się opierać na zasadach, nie emocjach* – komentuje dla POLITYKI Monika Płatek, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, ekspertka w zakresie kryminologii i prawa karnego wykonawczego.

10 Jednak społeczeństwo chce, by groźni sprawcy po wyroku „nie znikali z radarów". Jednocześnie nie jest przekonane, że obecny system potrafi to zapewnić. Potwierdzenie tych obaw można znaleźć w raportach NIK, które wykazywały przeciążenie systemu kuratorskiego, niewystarczającą kontrolę nad osobami wysokiego ryzyka i brak spójnego systemu oceny zagrożenia. W praktyce nadzór bywa więc bardziej formalny niż realny.

40 proc. Polek i Polaków uważa, że należy zaostrzyć przepisy prawa karnego i surowiej karać sprawców przestępstw, a 45 proc. chciałoby wprowadzenia kary śmierci do Kodeksu karnego – wynika z badania Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości (2024 r., próba 5 tys. respondentów). Jednocześnie niemal połowa ankietowanych uważa, że policja i inne służby nie radzą sobie ze zwalczaniem przestępczości (sondaż IBRiS z 2025 r., próba 1069 respondentów).

To właśnie w tej luce – między oczekiwaniem surowości a brakiem zaufania do instytucji – rodzi się presja na rozwiązania takie, jak długotrwały nadzór, rejestry, izolacja administracyjna, czy rozszerzanie środków zabezpieczających. Może się to skończyć tym, że ustawa o KOZZD zostanie po raz kolejny znowelizowana i ośrodki, w których uznani za niebezpiecznych siedzą bez wyroku, wejdą do systemu na trwałe.

Wiele zależy od tego, co zrobi lub czego nie zrobi Łomiarz

ZBIGNIEW BOREK, PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl 7f01362802



Pierwsze liczenie

Nowa konstytucja, referendum, własna ustawa o kryptowalutach. Prezydent **Karol Nawrocki** podkręcił tempo, próbując wydostać się z politycznego narożnika. Zdaje się jednak nie rozumieć, że znalazł się tam na własne życzenie, co czyni ostatnie wysiłki dosyć jałowymi.

eprasa.pl 7f01362802

RAFAŁ KALUKIN

Jego poprzednik „cały czas się uczył” i chociaż dwóch kadencji mu nie starczyło na dorośnięcie do roli głowy państwa, przynajmniej kilka razy potrafił stanąć na wysokości zadania. Nieprzypadkowo Andrzejowi Dudzie najbardziej chwaliły się akurat te decyzje, których podjęcie wymagało wyjścia poza rutynę. Widoczne było jego autentyczne zaangażowanie we wsparcie Ukrainy zaraz po rosyjskim ataku, kiedy sparaliżowany Zachód nie wiedział, jak zareagować. Ale do tej samej kategorii należałoby również zaliczyć nieliczne przypadki poskramiania autorytarnych zapędów Jarosława Kaczyńskiego.

O Karolu Nawrockim nie da się powiedzieć tego samego. Obecny prezydent każdym słowem i czynem jak dotąd utwierdza się w swoim dogmatyzmie. Jego szalikowcy są oczywiście zachwyceni takim objawem twardości, ale publiczność bardziej wymagająca sprawia wrażenie coraz bardziej skonsternowanej.

Ostatnie sondaże są tego potwierdzeniem. W comiesięcznym rankingu zaufania CBOS Nawrocki co prawda pozostaje liderem, ale to w przypadku głowy państwa nie jest niczym niezwykłym. Ogólny trend jest niekorzystny. Karolowi Nawrockiemu ufa obecnie 49 proc. Polaków, czyli o 9 pkt proc. mniej niż w pierwszym miesiącu prezydentury. Brak zaufania deklaruje z kolei 38 proc., co oznacza wzrost w analogicznym okresie o 13 pkt proc. Wygląda więc na to, że miesiąc miodowy tej prezydentury już dobiegł końca, silne na początku wrażenie politycznej mocy zdążyło się rozpłynąć i Nawrocki stał się po prostu elementem politycznego pejzażu.

Wiele też mówi profil jego uśrednionego zwolennika. Najlepiej odbierają Nawrockiego osoby z wykształceniem podstawowym (65 proc. zaufania i 24 proc. nieufności), najgorzej – z wyższym (analogicznie: 35 i 54 proc.). Podobnie z dochodami: dystans rośnie w miarę zamożności. Najbardziej popularny jest wśród rolników (76 proc. zaufania), rencistów (72 proc.) oraz robotników wykwalifikowanych i bezrobotnych (po 60 proc.). Najmniej – wśród kadry kierowniczej (53 proc. nieufności), pracujących na własny rachunek (49 proc.) oraz uczniów i studentów (47 proc.).

To wypisz wymaluj modelowy wyborca PiS, ewentualnie Konfederacji Grzegorza Brauna. Wygląda więc na to, że pozujący na ojca narodu Nawrocki po niecałym roku prezydentury trwale już osiadł w schemacie polaryzacji, ciesząc się poparciem jedynie tradycyjnie zorientowanej części społeczeństwa. O wyborców liberalnych nigdy nie zabiegał, niemniej powinien wyciągnąć wnioski z tego, że spada poziom aprobaty dla jego stylu w społecznym środku, który nie oczekuje od głowy państwa konfrontacyjnej polityki ani wyrazistej ideologii, tylko czegoś dokładnie przeciwnego: łagodzenia skrajności, szukania kompromisu.

Pierwszym poważnym problemem wizerunkowym było oczywiście weto ustawy implementującej SAFE. Korzystne jedynie dla PiS, które wcześniej spolaryzowało Polaków w ocenie unijnego instrumentu, ale niekorzystne dla samego Nawrockiego, którego ambicje przewodzenia narodowi wymagają wyjścia poza gorset polaryzacji. Spór o SAFE (czyli tak naprawdę o opcję europejską w polityce zagranicznej) przydarzył mu się zresztą w kiepskim momencie, kiedy w polskim społeczeństwie zaczęła rosnąć obawa przed skutkami rządów Donalda Trumpa.

I znów: odklejony od prawej ściany Nawrocki mógłby uczynić swoje dobre relacje z amerykańskim przywódcą potężnym atutem. Również w polityce międzynarodowej, z czego korzysta prezydent Finlandii Alexander Stubb. Problem w tym, że w swoich relacjach z Trumpem Nawrocki notorycznie myli polską rację stanu z ideologiczną racją prawicy i w efekcie daje się wpuścić w tak wątpliwe sytuacje, jak spotkanie z upadającym już Viktorem Orbánem tuż przed wyborami. Nic dziwnego, że teraz płaci tego cenę.

Po zawetowaniu SAFE wielu Polaków mogło zrewidować swój stosunek do prezydenckiej metody wymuszania na rządzie uległości poprzez weta. Bo jeżeli została zastosowana w sytuacji tak bardzo wątpliwej, pod presją politycznego zaplecza i bez przekonującej alternatywy, to być może również wcześniejsze weta wynikały z identycznej logiki.

A kiedy zaufanie zostało już rozchwiane, dopadły Nawrockiego konsekwencje jego dwóch wcześniejszych blokad nałożonych na ustawę regulującą rynek kryptoaktywów. Towarzysząca im „wolnościowa” argumentacja miała przekonać przede wszystkim zwolenników Konfederacji, ale kiedy z hukiem upadł potentat z tej branży, a w ślad za tym zaczęły wychodzić na jaw jego finansowe powiązania z prawicą, sprawa nabrała zupełnie nowego wymiaru.

Kłopotliwego przede wszystkim właśnie dla prezydenta, który tyle się nagadał o wolności inwestowania, a na koniec okazało się, że po prostu chronił interesy sponsora swojego obozu politycznego (z którego wsparcia sam zresztą w kampanii skorzystał). Nie pomaga też gangsterska otoczka historii o Zondacrypto: domniemane porwanie i morderstwo, nielegalne transfery pieniędzy, powiązania z rosyjską mafią. Akurat Nawrocki szczególnie powinien się takich skojarzeń wystrzegać. Jego niejasna przeszłość i znajomości z kryminalistami co prawda nie stanowiły dotąd poważniejszego problemu, a nawet pomogły zbudować ogólnie korzystny ▶

© MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl 7f01362802

▶ „ludowy" wizerunek. Tyle że odegrał on już swoją rolę jako element pakietu startowego. Wymagania wobec urzędującego prezydenta siłą rzeczy muszą jednak ewoluować.

Tymczasem Nawrocki dosyć rozpaczliwie próbuje się wydostać z pułapki. Najpierw próbował zrzucić odpowiedzialność na rząd, że nie wyłożył kawy na ławę i nie ostrzegł go w porę o powiązaniach, o których pisały już przecież nawet gazety. Następnie złożył własny projekt ustawy regulującej trefną branżę, chociaż teraz to już tylko troska na pokaz. Rząd kolejny raz forsuje własną ustawę, trochę nawet podostrzoną, a dociśnięty do muru prezydent właściwie nie ma pola manewru. Nie byłoby jednak dociskania przez Tuska, gdyby wcześniej sam się nie docisnął.

Widać, że Nawrockiego uwiera wizerunek wetomatu i nawet próbuje mu czasem zaprzeczyć. Robi to jednak dosyć nieporadnie, bo kiedy wbrew naciskowi PiS podpisał niedawno ustawę o Państwowej Inspekcji Pracy, nie omieszkał się zaraz pochwalić w wywiadzie dla Kanału Zero, że zrobił to „wbrew pragmatyce partyjnej". Czyli jednak taka pragmatyka jest mu bliska, chociaż tyle razy zaklinał się wcześniej, że został wybrany jako „kandydat obywatelski" i z partiami nie ma nic wspólnego. Zarazem potwierdził, że wyłamanie się z partyjnej logiki to tylko wyjątek od reguły.

Częściej próbuje po prostu swoje liczne weta znormalizować. W niemal każdym wywiadzie musi się zdziwić, że nikt nie dostrzega podpisanych ustaw, których jest przecież wielokrotnie więcej niż 31 do tej pory zawetowanych. Tak jakby blokowanie wszystkiego po kolei było równie uprawnione jak podpisywanie, bo przecież prezydent ma wolną rękę i może wszystko.

Gdyby jednak przeczytał ze zrozumieniem art. 122 konstytucji, dowiedziałby się, że weto to prerogatywa skrajna, na sytuacje wyjątkowe, i wymagająca głębokiego uzasadnienia. Normą polskiego ustroju jest bowiem to, że władzę wykonawczą sprawuje rząd i z tego jest później rozliczany, podczas gdy rola prezydenta ogranicza się do kontroli.

Podobnych przejawów niezrozumienia ducha konstytucji jest dużo więcej, szczególnie w obszarze nominacji. Na czele z nabrzmiałą sprawą odmowy przyjęcia przysięgi od części sędziów Trybunału Konstytucyjnego, czego Nawrocki też nie potrafi uzasadnić. We wspomnianym wywiadzie dla Kanału Zero plątał się w zeznaniach, w sumie przyznając, że nie miał prawa arbitralnego decydowania o tym, kogo z szóstki wybranych może zaprzysiąc, a komu odmówić. Skończyło się na pokracznym wytłumaczeniu, że w nieokreślonym terminie planował dopuszczenie wszystkich, ale ponieważ „raptusy" się pospieszyły i złożyły bezprawną przysięgę przed Sejmem, to uciekła im szansa. Tylko co mieli zrobić, skoro padli ofiarą nieuzasadnionego politycznego manewru?

Oczywiście w przypadku Trybunału od dawna nic już nie jest oczywiste i być może większość parlamentarna niepotrzebnie powoływała nowych sędziów, gdyż poza pogłębieniem chaosu niewiele z tego mogło wyniknąć. W takim razie powinniśmy się oswoić z myślą, że sądownictwo konstytucyjne zostało w Polsce zawieszone i żadne cząstkowe rozwiązania tego nie zmienią. Do jego odbudowy konieczny będzie dopiero głęboki polityczny reset, co jednak wymagałoby nie tylko zasadniczej zmiany układu sił na scenie, ale też wyciągnięcia przez wszystkie strony konfliktu wniosków z przeszłości.

Konstytucyjny kryzys miał bowiem konkretne przyczyny i konkretnych winowajców, co Nawrockiemu nie potrafi przejść przez gardło bądź też, jako zakładnik logiki swojego obozu, po prostu tego nie rozumie. Z tego powodu nie nadaje się jednak na akuszera jakichkolwiek resetów.

Jego ogłoszona 3 maja inicjatywa ustanowienia nowej konstytucji staje się w tej sytuacji polityczną uzurpacją. Już sama uzasadniająca diagnoza służyła głównie zmyleniu tropów: „Żyjemy w momencie, w którym konflikt polityczny poszedł za daleko, niszczy wspólnotę, niszczy rodziny, przekracza wszelkie możliwe granice. Poszedł za daleko, bo niszczy ustrój i fundamenty państwa polskiego. (...) System polityczny produkuje chaos i kolejne społeczne konflikty".

> Minęło raptem osiem miesięcy prezydentury, a można odnieść wrażenie, że Nawrocki wyczerpał już cały arsenał. Seryjne weta nie złamały rządu i dziś obracają się przeciwko samemu prezydentowi.

Szkopuł w tym, że konflikt sam z siebie nie przekracza granic, podobnie jak bezosobowy „system" nie wywołuje konfliktów. Nawrocki sugeruje istnienie jakiegoś błędnego koła, nie dostrzegając, że wprawili je w ruch konkretni politycy. Zanim nastały rządy PiS, konstytucja może nie grzeszyła funkcjonalnością, ale ogólnie była przestrzegana, gdyż podlegała realnej kontroli konstytucyjnej. Wygodniej jest jednak chować się za stroną bierną, kiedy również samemu ponosi się odpowiedzialność za krytykowany stan rzeczy. Dla wtajemniczonych ezopowy język jest oczywiście czytelny: „system" to Tusk. Ale jak zmierzył parę dni później ośrodek SW Research (na zlecenie „Wprost"), jedynie 23 proc. Polaków obwinia Tuska o eskalowanie konfliktu, podczas gdy Nawrockiego wskazało 31 proc.

Dobrze byłoby więc przeprowadzić rachunek sumienia, zanim postawi się karkołomną tezę, że „Polska jest dzisiaj w momencie konstytucyjnym". W istocie chyba nigdy po 1989 r. nie była bowiem od takiego momentu bardziej oddalona niż teraz. Żeby na serio mówić o „momencie konstytucyjnym", muszą się pojawić wyjątkowe okoliczności.

Najczęściej jest to pochodną absolutnej dominacji jednego obozu politycznego, ewentualnie którejś ze stron ideowego spektrum. Tak było z obecną konstytucją z 1997 r., która została uchwalona pod nieobecność prawej strony w Sejmie, co niestety miało swoje konsekwencje w postaci ograniczonej legitymizacji symbolicznej. Problem w tym, że szeroki kompromis konstytucyjny byłby możliwy wyłącznie w sytuacji ostrego kryzysu wewnętrznego bądź wystąpienia

eprasa.pl 7f01362802

zewnętrznej opresji, kiedy logika partyjnej polityki zostaje zawieszona.

Ale na szczęście daleko nam jeszcze do takiego „momentu konstytucyjnego". Gdyby miał jednak kiedyś nadejść, wówczas to prezydent byłby naturalnie predestynowany do zarządzenia procesem konstytucyjnym. Musiałby się jednak wcześniej uwiarygodnić przed pozostałymi aktorami politycznymi oraz suwerenem jako strażnik interesów wspólnoty, a nie własnego obozu. Tymczasem Nawrocki konsekwentnie robi coś dokładnie przeciwnego.

Przypominając o swoich konstytucyjnych ambicjach, powołał pod tym kątem „radę nowej konstytucji". Nawet całkiem ekumeniczną, przynajmniej jak na Nawrockiego, chociaż z przewagą ludzi z jego obozu. Ale tak naprawdę o wszystkim przesądziła obecność Julii Przyłębskiej. Jeżeli Nawrocki chciał w ten sposób pokazać, że w istocie na żadnym dialogu i kompromisie mu nie zależy, to lepiej nie mógł trafić. Bo też w całej tej hecy z nową konstytucją chodzi wyłącznie o wykreowanie politycznej idei, która ma pomóc prawicy wygrać wybory w 2027 r. Uwznioślić jej cele, pomóc się zintegrować i przede wszystkim sprawić, żeby jej liderzy uznali prezydencki patronat.

Rozpada się wizerunek politycznego boksera wagi superciężkiej. Jeżeli Nawrocki był takim bokserem, jakim jest dzisiaj politykiem, to być może lepiej, że nie próbował robić prawdziwej kariery w ringu.

Nawrocki sam zresztą coś takiego komunikuje, określając horyzont inicjatywy na 2030 r. Najwyraźniej więc oczekuje, że przewidywana prawicowa większość po 2027 r. uchwali mu w prezencie nową konstytucję, tak żeby w drugą kadencję wszedł z nowymi ustrojowymi uprawnieniami jako prawdziwy przywódca państwa.

Tyle że plan jest niedorzeczny. Większość konstytucyjna prawicy w przyszłym Sejmie jest przecież bardzo mało prawdopodobna, a jeszcze trudniej byłoby pogodzić później we wspólnej wizji ustrojowej wszystkie prawicowe nurty: od Mateusza Morawieckiego do Grzegorza Brauna (przypomnijmy – monarchisty i zwolennika intronizacji Chrystusa). I po co właściwie partyjni liderzy mieliby oddawać Nawrockiemu swoje narzędzia władzy? Jarosław Kaczyński jest przecież szczęśliwy, kiedy może kreować na prezydentów marketingowe wydmuszki, zamiast samemu borykać się w wyborach. Jest skądinąd jedynym politykiem PiS w dziejach tej formacji, który wybory prezydenckie przegrał.

Nawrocki nie zamierza być wyłącznie wydmuszką, chociaż jego ambicje wydają się coraz bardziej niewspółmierne do realnych możliwości. Minęło raptem osiem miesięcy prezydentury, a można odnieść wrażenie, że wyczerpał już cały arsenał. Seryjne weta nie złamały rządu i dziś obracają się przeciwko samemu prezydentowi. Na blokowanie prezydenckich projektów w Sejmie właściwie nikt już nie zwraca uwagi.

Jego kolejne ruchy można bez trudu przewidzieć. Hasło „nowej konstytucji" to na prawicy swoisty totem. Brane poważnie jedynie za pierwszych rządów PiS w latach 2005–07, którym towarzyszyła ideowa podbudowa w postaci projektu „Konstytucji IV RP". Ale później tekst popadł w zapomnienie, podobnie jak samo hasło. Od tej pory postulat zmiany konstytucji stał się narzędziem podkreślania swojej istotności przez mających z tym problem kolejnych prawicowych prezydentów. Próbował bez powodzenia Duda, a teraz przejął pałeczkę Nawrocki.

Do tej samej kategorii należy zresztą idea referendum, której również się właśnie uczepił, postulując głosowanie w sprawie Zielonego Ładu. Zrobił to po swojemu, czyli w taki sposób, żeby przekonać tylko fanów, proponując od razu konkretne pytanie ze zmanipulowaną tezą. Czyli dokładnie takie, jakich w referendach nie wolno stawiać. A do tego w swoim wystąpieniu nawet nie dotknął zasadniczej kwestii konsekwencji ewentualnego odrzucenia unijnej polityki klimatycznej. Bo niby jak mielibyśmy wcielić je w życie bez wychodzenia z Unii? Chyba że o to chodzi.

Z Nawrockim jest jednak taki problem, że nigdy nie wiadomo, czy tylko udaje Greka, czy też naprawdę nie rozumie rudymentów. Chwaląc ostatnio szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza za dobrą współpracę, nie omieszkał dodać, że byłaby jeszcze owocniejsza, gdyby ten nie musiał się słuchać Donalda Tuska. Jak zatem traktować strażnika konstytucji, który nie wie, że w ustroju parlamentarno-gabinetowym ministrowie są podwładnymi premierów?

Jeszcze trudniej dojść, co powodowało prezydentem – który już od dawna czyni awanse ministrowi obrony – że skreślił połowę nazwisk z przedstawionej mu listy generalskich nominacji. To chyba jednak pytanie nie tyle już nawet politycznej natury, ile bardziej psychologicznej. Kręgi wojskowe nie przyjęły również ze szczególnym entuzjazmem nowego szefa BBN Bartosza Grodeckiego, byłego dyplomaty i wiceszefa MSWiA za rządów PiS, który jednak nie miał nigdy związków z armią. Po Nawrockim widać słabość do munduru i już nieraz dawał do zrozumienia, że chciałby mieć większą kontrolę nad wojskiem, niż wynika to z konstytucji. Tylko że kolejnymi decyzjami (poczynając od weta dla SAFE) coraz bardziej zniechęca do siebie generalicję.

I tak krok po kroku rozpada się wizerunek politycznego boksera wagi superciężkiej, który lada chwila obejmie schedę po starych mistrzach. Nawrocki lubi podkreślać swoje młodzieńcze doświadczenia z ringu, chociaż nie miał wielkich osiągnięć sportowych. O sukcesie w boksie decydują zazwyczaj siła, technika, kondycja, refleks i odporność psychiczna, ale równie ważna jest kreatywność, która polega na umiejętności wyszukiwania słabych miejsc w gardzie przeciwnika. I jeżeli Nawrocki był takim bokserem, jakim jest dzisiaj politykiem, to być może lepiej, że nie próbował robić prawdziwej kariery w ringu. Jego prezydentura też bowiem coraz częściej przypomina młócenie powietrza.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 7f01362802





Drapieżniki, szaraki i marzyciele

Siwiejący partyjni liderzy powoli dobiegają do politycznej mety, a kolejne pokolenie w drugim szeregu czeka na swój czas. Nowe rodzi się wśród krwawej dintojry, szarej apatii i marzeń o Skandynawii.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Gdyby w Sejmie powołać koalicję ugrupowań, na których czele stoją liderzy działający jeszcze przed 1989 r., liczyłaby ona 363 polityków i polityczek: z PiS, Koalicji Obywatelskiej i Lewicy. Wśród nich znajdziemy ponad 100 osób poniżej 50 lat – to teoretycznie ogromny rezerwuar energii, ambicji oraz kompetencji życiowych i zawodowych zdobywanych już wyłącznie w III RP. Elita młodszych partyjnych kadr. Zbiór postaci, w którym naturalnie powinniśmy szukać następców władających polską polityką patriarchów: prawie 77-letniego Jarosława Kaczyńskiego, 69-letniego Donalda Tuska i 66-letniego Włodzimierza Czarzastego.

To dyskretnie zalatujące ejdżyzmem i nieco małostkowe wypominanie wieku ma swój sens, prowadzi nas bowiem do konstatacji, że pokoleniowa zmiana warty w trzech dużych partiach, organizujących większość życia politycznego po stronie prawej, lewej i w centrum, to kwestia najdalej kilku lat, nie dekad. Tymczasem żadna z nich nie wydaje się na to przygotowana (choć z zupełnie różnych powodów), a z tłumu kłębiącego się w szeregach za plecami liderów trudno wyłuskać niepodważalnych kandydatów i kandydatki do poniesienia partyjnych sztandarów na czele sztafety pokoleń. Są prymuski, cwaniacy, ekspertki, pracusie, załatwiacze, działaczki, performerzy – osoby wprawiające w codzienny ruch polityczną maszynę. Ale z potencjalnymi liderami jest kłopot.

Delfin delfinowi wilkiem

Jarosławowi Kaczyńskiemu trzeba oddać, że w polskiej polityce jest najlepszym łowcą talentów. Trochę w tym zapewne szczęścia, trochę intuicji, ale przede wszystkim efektywnego korzystania z pozycji na scenie politycznej. O ile Platforma Obywatelska musiała, zwłaszcza w większych miastach, konkurować o wartościowe, progresywne kadry z SLD i Razem, a w mniejszych ośrodkach o konserwatywno-liberalne z PSL, o tyle PiS po prawej stronie od momentu pożarcia Ligi Polskich Rodzin w 2007 r. był wyborem praktycznie domyślnym: jeśli miałeś jednoznacznie prawicowe poglądy, brak upodobania do niszowego ekscentryzmu Janusza Korwin-Mikkego i chciałeś na poważnie działać w polityce, szedłeś pod skrzydła partii Kaczyńskiego albo do enklawy gniewnych radykałów, których zbierał wokół siebie Zbigniew Ziobro.

Wyciąganie przez Kaczyńskiego kolejnych nowych królików z kapelusza i robienie z nich a to premierów, a to prezydentów, stało się już anegdotą. Ale ten trop narracyjny to spłaszczenie fenomenu, z którym mamy do czynienia. Nie wolno bowiem przegapić faktu, że wystrzeliwanie młodych polityków na orbitę władzy miało przez lata cechy systemowego działania Prawa i Sprawiedliwości. Zwłaszcza po przejęciu rządów w 2015 r. kolejni polityczni juniorzy dostawali od Kaczyńskiego swoje szanse na łapanie doświadczenia i budowanie pozycji. I zazwyczaj efektywnie z tego korzystali.

Wystarczy spojrzeć na bohaterów dzisiejszych wewnątrzpartyjnych sporów między „maślarzami" i „harcerzami". Janusz Cieszyński miał niespełna

eprasa.pl 7f01362802



30 lat w chwili nominacji na wiceministra zdrowia. Patryk Jaki 30 lat, gdy zostawał wiceministrem sprawiedliwości. Piotr Müller również miał 30 lat w chwili powołania na rzecznika rządu, a Paweł Szefernaker, obecnie oddelegowany do Pałacu Prezydenckiego, 31 lat, gdy szedł na wiceministra spraw wewnętrznych. Tobiasz Bocheński miał 32 lata, gdy odbierał nominację na wojewodę łódzkiego, Paweł Jabłoński 33 lata, gdy obejmował tekę wiceministra spraw zagranicznych. Nawet ci, którzy zaczynali piąć się w górę nieco później, i tak zaczynali młodo: Marcin Horała w wieku 38 lat zostawał pełnomocnikiem ds. budowy CPK, a 38-letni Przemysław Czarnek obejmował stanowisko wojewody lubelskiego. Również nominacja wówczas 49-letniego Mateusza Morawieckiego na stanowisko premiera po zaledwie nieco ponadrocznym stażu w partii pokazywała, że w PiS nie ma barier przed szybkim, działającym na wyobraźnię awansem.

To potencjalnie spory sukces Kaczyńskiego: przez osiem lat u władzy stworzył dla swojej partii młode, ale już doświadczone w administracji rządowej, dobrze wykształcone kadry, które powinny zapewnić polityczny byt Prawu i Sprawiedliwości przez następne 30 lat. Bo prawie każdy ze wspomnianych ma też swój charakterystyczny profil, mało w tym gronie bezbarwnych aparatczyków od noszenia teczki za pryncypałem. Albo mają ambicje liderskie, albo konkretne specjalizacje: dyplomację, cyfryzację, infrastrukturę, administrację, komunikację polityczną. Szkopuł w tym, że dla prezesa ta mnogość zaczyna być kłopotem bogactwa, z którym nie potrafi sobie poradzić.

Stara metoda „dziel i rządź", wskazywanie co kilka miesięcy kolejnych partyjnych wilczków, by patrzeć z uciechą, jak rozkosznie rzucają się sobie do gardeł, zwyczajnie przestała działać. Ten mechanizm funkcjonował poprawnie, gdy trzeba było przebijać zbyt napuchnięte ambicje kolejnych pretendentów do władzy w partii, ale w procesie planowanej sukcesji jest przepisem na katastrofę. Bo w grze nie jest już łaska prezesa, tylko scheda po prezesie. A taka nęcąca perspektywa budzi instynkty pierwotne i krwawe. Pytanie, czy Kaczyński zdaje sobie z tego sprawę i czy potrafi jeszcze tym procesem tak pokierować, by nie zmienić partii w arenę bezlitosnej domowej wojny.

Szare szeregi PO

O ile Kaczyńskiego boli głowa od przybytku, o tyle myśli Donalda Tuska musi najbardziej zaprzątać kwestia wynajęcia ekipy do misji poszukiwawczej, by znaleźć kogokolwiek, kto w wyobrażalnej perspektywie mógłby przejąć od niego stery w partii. To zresztą przewrotna cecha polskiej sceny politycznej, że konserwatywna prawica nieustannie wynajduje nowych, dobrze zapowiadających się polityków, a w obozie liberalno-lewicowym trudniej się zestarzeć niż w Hollywood, gdzie rolę 20-latków w filmach odgrywają 40-letni aktorzy.

Stąd w gronie Koalicji Obywatelskiej właściwie jeszcze dzieckiem jest dobiegający do czterdziestki Franciszek Sterczewski, 40-letni Adam Szłapka jest młodym, dynamicznym rzecznikiem rządu, 44-letni Andrzej Domański dobrze zapowiadającym się ministrem z ciekawymi perspektywami, 46-letnia Agnieszka Pomaska wciąż jest początkującą polityczką z potencjałem, a 54-letni Rafał Trzaskowski na pewno jeszcze pokaże, co potrafi, trzeba tylko dać mu trochę czasu, by zdecydował, czy chce odgrywać znaczącą rolę w swoim ugrupowaniu. Choć jednocześnie trzeba oddać KO, że w odróżnieniu od PiS rzeczywiście w praktyce przećwiczyła (wtedy jeszcze jako Platforma Obywatelska) zmianę pokoleniową na czele partii. Ćwiczenie nieomal skończyło się spektakularną katastrofą, którą niczym superbohater w pelerynie musiał powstrzymać powracający z Brukseli Donald Tusk.

A przecież kiedy niespełna wówczas 42-letni Borys Budka zostawał szefem PO, teoretycznie wszystko się zgadzało: liderem stał się przecież młody, ceniony przez wyborców polityk, już z doświadczeniem jako minister, który pozycję i rozpoznawalność wykuwał w boju jako jedna z głównych twarzy oporu przeciwko atakowi PiS na niezależność wymiaru sprawiedliwości. Te klocki do siebie pasowały. Co więcej, w pandemicznych wyborach w 2020 r. udało mu się skutecznie przeprowadzić operację zamiany Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego. I być może to właśnie te 432 tys. głosów, których zabrakło wtedy Trzaskowskiemu do zwycięstwa, przetrąciło kręgosłup całemu pokoleniu polityków Platformy. Bo to była odważna, mało oczywista kampania z elementem mocnego sygnalizowania potrzeby zmiany pokoleniowej, włącznie z obrazoburczym postulatem wysłania Kaczyńskiego i Tuska na emeryturę. Ale do wygranej to nie wystarczyło, a na sondażowej fali wznoszącej zaczęła surfować partia Szymona Hołowni. Tak że – jako się rzekło – musiał przyjść niedawny „emeryt Tusk", posprzątać i poukładać partię po swojemu. Czyli po staremu.

KO wkłada dziś minimalny wysiłek w kreowanie nowych postaci. Komunikacyjnie niemal wszystko dzieje się „przez Tuska, z Tuskiem i w Tusku". Spory wewnętrzne są waniliowe i mdłe, wybory partyjne odbyły się tak, że mało kto ▶

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 7f01362802

▶ je zauważył. Nikt się nie wychyla, nie wyróżnia, niczego nie żąda i niczego nie chce. A do tego taki model jest nagradzany: partia w formie przezroczystej struktury, z oczami mas członkowskich jak w obrazek wpatrzonymi w przywódcę, wyraźnie prowadzi w sondażach, bo Polacy nie lubią kłótni polityków. Jednak kiedy pojawi się potrzeba nowej energii (a prędzej czy później się pojawi), kastrowana przez lata formacja nie będzie w stanie jej z siebie wydobyć. Jako kuźnia kadr i miejsce otwarcia KO na nowych ludzi funkcjonował Campus Polska Trzaskowskiego, ale po kolejnych przegranych wyborach przez prezydenta Warszawy nie wiadomo dziś tak naprawdę, jak ma ten projekt wyglądać ani jaką pełnić funkcję w partyjnym uniwersum.

Jasne, PiS było łatwiej, nie musiał dzielić się władzą z czterema innymi klubami sejmowymi, miał mnóstwo stanowisk do obsadzenia, a w związku z tym przestrzeń na eksperymenty i budowanie młodych polityków. Gdyby miejsca w obecnym układzie rządowym było więcej, bardziej widoczny byłby dzisiejszy wiceminister obrony 41-letni Cezary Tomczyk, wiceministra rodziny i pracy 34-letnia Aleksandra Gajewska albo sprawny medialnie 40-letni poseł z Łodzi Paweł Bliźniuk. A w odwodzie są jeszcze przecież zakurzony w Brukseli 43-letni Krzysztof Brejza, który funkcjonuje dziś bardziej jako ofiara Pegasusa niż polityk z własną agendą, albo 42-letni wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha. Nie zmienia to jednak faktu, że dziś młodsze szeregi KO to szeregi przeważnie dość szare i bezbarwne.

Zakon dobrych chęci

Młodszym politykom i polityczkom po lewej stronie sceny politycznej trzeba z kolei przyznać, że czegoś chcą. Z tym że – bagatela – nie wiedzą, jak to osiągnąć.

Jak być może niektórzy jeszcze pamiętają, w 2021 r. 41-letni wówczas Tomasz Trela próbował przeprowadzić bunt przeciwko szefowi Nowej Lewicy Włodzimierzowi Czarzastemu, ale zderzył się z zamkniętymi przez przewodniczącego drzwiami. I tak się zniechęcił, że od tamtej pory koncentruje się głównie na występach w telewizji.

Dobrze oceniana ministra pracy 42-letnia Agnieszka Dziemianowicz-Bąk ma ambicje liderskie, prawie siedem lat temu odeszła z partii Razem, by je realizować, ale najpierw zrezygnowała z bycia kandydatką w wyborach prezydenckich, a później mimo początkowych zapowiedzi startu wycofała się z rywalizacji z Czarzastym o przywództwo w Nowej Lewicy. Z kolei środowisko posłanek skupionych wokół 44-letniej Magdaleny Biejat doskonale radziłoby sobie w polityce, gdyby tylko ta przypominała duński serial „Borgen" o premierce Birgitte Nyborg Christensen. Testem na potencjał dla tej grupy będą ewentualne przyspieszone wybory w Krakowie: jeśli w referendum 24 maja mieszkańcy odwołają Aleksandra Miszalskiego, kandydatką Nowej Lewicy niemal na pewno zostanie 41-letnia posłanka Daria Gosek-Popiołek.

W ogóle młodsza lewica, i ta w Nowej Lewicy, i ta w partii Razem, lepiej wydaje się przystosowana do polityki w stylu skandynawskim: chłodniejszej, bardziej merytorycznej, mocniej skupionej na konkretnych sprawach, a mniej na personalnych bitwach, gdzie bardziej ceni się zawsze przygotowanych prymusów niż spektakularnych showmanów. To powiedziawszy, skonstatujmy, że diabeł tkwi jednak w tym drobnym szczególe, że polska polityka toczy się nad Wisłą, nie nad Morzem Północnym. W związku z czym zarówno projekt socjalliberalnej lewicy rządowej, jak i koncept zbuntowanej przeciwko establishmentowi pozasystemowej partii Razem budzą na razie umiarkowany entuzjazm wyborców. A czas nieubłaganie płynie i niegdysiejsi 30-latkowie, którzy w 2015 r. wdarli się sensacyjnie na scenę polityczną, dziś w dużej części są już po świętowaniu 40. urodzin albo – jak Adrian Zandberg – zbliżają się do pięćdziesiątki.

Choć warto nadmienić, że obie lewice na tle polskiej polityki są per saldo wciąż stosunkowo młode, zbierają (zwłaszcza Razem) duży odsetek głosów najmłodszych wyborców oraz inwestują w bardzo młodych polityków: 28-letni Łukasz Michnik jest rzecznikiem Nowej Lewicy, 24-letni Mateusz Merta jest rzecznikiem Razem. Paradoksem w tym kontekście jest fakt, że jeśli lewica Czarzastego w 2027 r. przeskoczy próg wyborczy, to głównie ze względu na stare eseldowskie struktury funkcjonujące w tzw. Polsce powiatowej, a jeśli Razem wyląduje pod progiem, to w dużym stopniu z braku analogicznego zaplecza. Wygląda więc na to, że młodsza lewica wciąż jest bardziej projektem na następne pokolenia, a nie na następne wybory.

Prawicowe szkółki w galopie

Inaczej ma się sprawa ze skrajną prawicą, która, jak już wspomnieliśmy wcześniej, zamiast hołdować konserwatywnym wartościom, miłować tradycję i doświadczenie, maszeruje w awangardzie pokoleniowej rewolucji w polskiej polityce. 39-letni Sławomir Mentzen i 43-letni Krzysztof Bosak z Konfederacji już jakiś czas temu strącili z sań weteranów prawicowego radykalizmu w rodzaju Janusza Korwin-Mikkego czy Stanisława Michalkiewicza, pozbyli się Grzegorza Brauna i – lepiej lub gorzej – rządzą się sami. Zazwyczaj lepiej, bo mimo politycznego napięcia między liderami Konfederacja uzyskuje w sondażach stabilne kilkanaście procent poparcia, budując też konsekwentnie widoczność polityków drugiego planu w rodzaju 41-letniego Krzysztofa Mulawy czy 38-letniego Michała Wawra.

Jakkolwiek niemiło zabrzmiałoby to dla liberalnego ucha, to prawica w różnych swoich odcieniach wydaje się dziś personalnie lepiej przygotowana do czasów, kiedy sceny politycznej nie będą już układać liderzy z pokolenia, które miało szansę uczestniczyć jeszcze w obradach Okrągłego Stołu. Do prawicy opozycyjnej trzeba też bowiem doliczyć tę rządową, której przewodzi niespełna 45-letni Władysław Kosiniak-Kamysz, najbardziej doświadczony polityk swojej generacji. Jeśli PSL przetrwa następne wybory, to właśnie szef ludowców będzie naturalnym liderem, na którego będą się wkrótce orientowali bardziej umiarkowani młodzi prawicowi politycy.

A liberałom i lewicy pozostaje czekać. Na zmianę politycznego klimatu, na to, że z szarej magmy wyłoni się ktoś nowy, albo że komuś już bardziej doświadczonemu nagle zawieje wiatr w żagle. W końcu czasu na zmianę warty jeszcze trochę zostało, a przecież nigdy nie jest tak, żeby jakoś nie było, zwalniane miejsce w końcu się zapełnia. Ale to prawa strona może dziś czekać na polityczną zmianę z większą nadzieją, to z prawicowych „szkółek" wychodzą dziś najlepiej przygotowani do współczesnej, *socialowej* polityki liderzy. Po drugiej stronie jest za to dużo dobrego samopoczucia, ale mniej politycznego potencjału.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 7f01362802

Oni już wybrali

Czy Polskę czeka rewolucja młodych w wyborach 2027? Rekordowa zbiórka pieniędzy, zorganizowana przez Łatwoganga, może być sygnałem wielkiej zmiany.

MICHAŁ FEDOROWICZ



ILUSTRACJA ARKADIUSZ CUDNY

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

282 mln zł w dziewięć dni. 1,4 mln widzów na żywo w finale streamu na YouTube. Rekord świata pobity w warszawskiej kawalerce na Pradze.

Pierwsza obserwacja, którą warto zachować: 23-latek z YouTube właśnie pobił WOŚP, 33-letnią instytucję, która jest dla połowy Polaków synonimem charytatywności. I zrobił to w trybie, w którym Wielka Orkiestra nie umie się ustawić – nie raz w roku, nie z fanfarami w telewizji publicznej, tylko przez internetowy stream, słuchając w kółko jednej piosenki „Ciągle tutaj jestem (diss na raka)" rapera Bedoesa i 11-letniej Mai Mecan, podopiecznej fundacji.

Druga ważna obserwacja: zbiórka Łatwoganga to nie jest fenomen charytatywny. To jest fenomen polityczny w przebraniu charytatywnego. Bo zmobilizowała coś, czego polska polityka nie umie – jednorodne, masowe, autentyczne uczestnictwo pokolenia, które od trzech lat głosuje inaczej, niż klasa polityczna się spodziewała.

Polityka wrogości

W kalifornijskiej szkole średniej w Los Alamitos 17-letnia Bella Kim opublikowała w kwietniu 2026 r. w gazetce uczniowskiej tekst „Are both sides »brainwashed«? How the algorithm feeds the partisan fire". „Moglibyśmy dojść do porozumienia, gdybyśmy wiedzieli, co druga strona mówi. Ale zamiast tego żyjemy w tych bańkach, a obie strony tylko demonizują się nawzajem, nie zdając sobie sprawy, że istnieje prawdopodobnie jakaś środkowa droga. Tylko nigdy do niej nie docieramy, bo wasz algorytm nam na to nie pozwala". To diagnoza precyzyjniejsza niż większość analiz politologicznych i potwierdzona w różnych badaniach.

Jakie są tego konsekwencje?

Po pierwsze, wygrywa polityka wrogości. Polityk, który chce w mediach społecznościowych istnieć, ma do wyboru dwa modele: mówić rzeczowo o polityce, ryzykując, że jego treści zostaną wyciszone przez algorytm, albo mówić emocjonalnie o przeciwnikach, akceptując, że buduje to bańkę, ale daje zasięg. Większość systemów politycznych w Europie i USA przesunęła się strukturalnie w stronę modelu drugiego – nie dlatego że politycy są bardziej cyniczni niż 20 lat temu, tylko dlatego że to model, który się opłaca.

Po drugie, długotrwała ekspozycja na własną bańkę zmienia samego polityka, nie tylko jego elektorat. Politycy, którzy w 2015 r. byli ▶

eprasa.pl 7f01362802

▶ umiarkowani, a w 2026 r. są radykalni, niekoniecznie podjęli świadomy wybór, może to być statystyczna konsekwencja sześciu lub ośmiu lat życia w bańce odpowiedzi własnych zwolenników.

Po trzecie, wyborca centrum, o którego zawsze toczyła się prawdziwa walka, w modelu zalgorytmizowanym przestaje istnieć w sensie operacyjnym. Algorytm nie wie, co mu pokazywać, więc pokazuje mu treści najbardziej angażujące generalnie. Czyli te najbardziej polaryzujące.

Jak głosują młodzi

A teraz wracamy do Łatwoganga. W raporcie Data House Res Futura z 26 kwietnia („Łatwogang stream – narodziny legendy?") znajduje się obserwacja, której znaczenie wykracza poza analizę pojedynczego eventu. W oknie 24–26 kwietnia, przy 140 mln kontaktów w sieci, 97 proc. komentarzy ma sentyment pozytywny. Pochwała Łatwoganga zbiera 96 proc. poparcia przy 4 proc. krytyki. Próba wprowadzenia narracji „Łatwogang vs. Owsiak" nie znajduje masowego rezonansu. Polityczne zawłaszczenie zbiórki nie wystąpiło z żadnej strony. KO, koalicja rządząca, PiS, Konfederacja, Lewica – żadna formacja nie znalazła się w pozytywnym kadrze.

W normalnym polskim dyskursie cyfrowym nie było dotąd czegoś takiego jak 97-procentowy sentyment pozytywny. Nie było czegoś takiego jak narracja, która równocześnie chwali konkretne osoby i odsuwa polityków poza ramę zdarzenia. Nie było czegoś takiego jak wydarzenie, w którym wszyscy aktorzy partyjni jednocześnie tracą.

Co się stało? Ludzie wyszli z baniek. Wyszli poprzez wydarzenie pozapolityczne, które algorytm po obu stronach klasyfikował jako pozytywne. Komentarze na TikToku Łatwoganga były dystrybuowane do bańki nastolatków z Wykopu i do bańki 40-latków z Facebooka równocześnie. Wpłaty Lewandowskiego, Stocha, Dody, Pazury, Małysza – to były sygnały, których algorytm nie umiał przypisać do jednej strony, bo te osoby same nie należą do jednej strony. Stream zburzył segmentację, bo nie istniał w żadnej z baniek wcześniej.

Tu dochodzimy do twardych liczb, których nie da się obejść. Sondaż IBRiS dla Polsat News z 8–13 kwietnia 2026 r.: w grupie wiekowej 18–29 lat Konfederacja zdobywa 30,8 proc., Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna 11,1 proc., Koalicja Obywatelska 14,8 proc. Suma głosów na obie Konfederacje: 41,9 proc. W grupie 30–39 lat układ podobny – Konfederacja 26,1 proc., KKP 10,4 proc. Łączne poparcie dla prawicy populistycznej i radykalnej w pokoleniu dzisiejszych 20- i 30-latków przekracza w obu grupach 36 proc.

To jest demograficzna tendencja, która w 2027 r. w wyborach parlamentarnych może zmienić polską politykę bardziej, niż klasa polityczna jest gotowa przyjąć do wiadomości.

Te dane nie są nowe. Już w pierwszej turze wyborów prezydenckich z maja 2025 r. Sławomir Mentzen zdobył w grupie 18–29 lat 36,1 proc. głosów. Adrian Zandberg był drugi z 19,7 proc. Rafał Trzaskowski, kandydat głównej formacji rządzącej – trzeci, z 12,2 proc. Karol Nawrocki, wówczas już prezydent elekt, w tej grupie miał 10,5 proc. Innymi słowy, w pokoleniu, które po raz pierwszy w 2025 r. decydowało o przyszłym prezydencie, mainstreamowy kandydat KO zdobył mniej głosów niż Adrian Zandberg, a obaj razem – mniej niż sam Mentzen.

Frekwencja w grupie 18–29 lat w wyborach parlamentarnych z 2023 r.: 68,8 proc. To druga najniższa frekwencja w spektrum wiekowym (niższą mieli tylko najstarsi). Ale w wartościach bezwzględnych to były setki tysięcy nowych głosów, które przesunęły wynik. Demograficzna konsekwencja: pokolenie, które w 2023 r. zagłosowało jeszcze w większości na KO i Trzecią Drogę, w 2026 r. ma już zupełnie inne preferencje. KO przegrała młodych w ciągu trzech lat rządzenia.

I teraz: w 2027 r. te grupy będą jeszcze starsze. 20-latkowie z 2023 r. będą mieli 24–26 lat. A do urn po raz pierwszy pójdą ci, którzy w roku Łatwoganga mają 16–17 lat – pokolenie, które nie pamięta świata bez TikToka. Pokolenie, dla którego stream Łatwoganga jest pierwszym w życiu wydarzeniem o skali narodowej, w którym uczestniczyli nie jako bierni odbiorcy, lecz jako współsprawcy.

42 proc. – co to znaczy?

Wróćmy do tej liczby: 41,9 proc. młodych wyborców popiera obie Konfederacje. To są dane, które polska klasa polityczna referuje, ale których nie traktuje strategicznie. Bo strategiczne potraktowanie tej liczby wymagałoby przyznania, że obecny model partyjny – w którym KO i PiS dzielą między siebie blok 55–60 proc. głosów ogółu – w pokoleniach poniżej 40. roku życia po prostu się rozsypał. Konfederacja w grupie 18–29 lat to nie jest „protest młodych". To jest nowa hegemonia.

Pięć rzeczy, które warto zauważyć w związku z tym układem.

- Po pierwsze, młodzi nie głosują na Konfederację dlatego, że są radykalniejsi politycznie niż starsze pokolenia. Głosują na nią, bo żaden inny aktor polityczny nie potrafi mówić ich językiem. Mentzen ma TikToka, na którym tłumaczy podatki w trzy minuty. Konfederacja Korony Polskiej Brauna gra w innej tonacji – bardziej tradycjonalistycznej, antyukraińskiej, antysystemowej w sensie cywilizacyjnym – ale obie formacje łączy zdolność do pojawienia się w feedzie pokolenia, które do telewizji nie wchodzi. KO i Lewica mają polityków o niższej średniej wieku, ale kierują się modelem komunikacyjnym, który zakłada istnienie odbiorcy oglądającego konferencje prasowe.
- Po drugie, demobilizacja młodych kobiet – zauważona w sondażach z 2024 r. i potwierdzana w późniejszych badaniach – jest specyficznym ostrzeżeniem dla obozu rządowego. W 2023 r. to młode kobiety przyczyniły się decydująco do zwycięstwa demokratycznej opozycji. Obietnice w sferze praw reprodukcyjnych były kluczowym argumentem mobilizacyjnym. Trzy lata później, przy braku realnej zmiany w ustawie aborcyjnej, ta grupa wyborcza staje się rezerwą dla aktorów lewicowych, ale może się też wycofać z polityki. Jeśli w 2027 r. frekwencja młodych kobiet spadnie z 68 do 55 proc., koalicja rządząca straci kilkaset tysięcy głosów.
- Po trzecie, fenomen Łatwoganga pokazuje, że pokolenie, o którym mówimy, ma zdolność do mobilizacji. Czyli nie jest apatyczne w ogóle, tylko apatyczne wobec konkretnej oferty politycznej, którą obecny system mu przedstawia. To dwie różne diagnozy, z których wynikają dwie różne strategie. Pierwsza zakłada, że trzeba „pójść do młodych". Druga – że trzeba zmienić ofertę polityczną tak, by odpowiadała na pytania, które młodzi sobie zadają. Pierwsza prowadzi do TikToków polityków po pięćdziesiątce, które młodzi oglądają jako mem. Druga powinna prowadzić do redefinicji programu politycznego.
- Po czwarte, próg frekwencyjny w 2027 r. będzie krytyczny. Wszystkie ostatnie wybory pokazują, że wahania frekwencji w grupie 18–29 lat o 5–10 pkt

eprasa.pl 7f01362802

proc. są możliwe i bardzo trudne do prognozowania. Jeśli frekwencja młodych wzrośnie do poziomu z 2023 r., czyli powyżej 68 proc., przy obecnych preferencjach Konfederacja może liczyć na 1,5–2 mln dodatkowych głosów. Jeśli frekwencja spadnie do 55 proc., te głosy w dużej części znikają. Cała geopolityka polskiego parlamentu w 2027 r. – kto rządzi, kto jest opozycją, jakie koalicje są możliwe – będzie się rozstrzygać przede wszystkim w tym jednym parametrze.

● Po piąte – i tego klasa polityczna unika najbardziej – młodzi nie czytają tego, co czyta klasa polityczna. Nie oglądają telewizji informacyjnych. Nie subskrybują tygodników opinii. Nie wchodzą na portale informacyjne klasycznymi drogami. Ich źródłem informacji jest feed, układ podawanych treści, którego zawartość określa algorytm. Przegrywa każda strategia komunikacyjna, która zakłada, że można dotrzeć do młodych za pośrednictwem konkretnego portalu, lidera opinii bądź dziennikarza. Potrzebny jest klucz do feedu, którego nie ma. Mają go tylko twórcy platform. To oznacza, że polityk, który chce tam istnieć, musi mówić językiem twórców treści, nie językiem dzisiejszej polityki.

Co Łatwogang mówi o 2027 r.

Hipoteza robocza brzmi: zbiórka Łatwoganga jest pierwszym sygnałem, że pokolenie poniżej 30. roku życia ma zdolność do skoordynowanego, masowego, jednorodnego działania, które wymyka się logice klasycznej polityki partyjnej. Ta zdolność nie ujawnia się jeszcze politycznie, bo żaden aktor polityczny nie umie tego pokolenia obsłużyć. Ale ujawnia się charytatywnie, kulturowo, generacyjnie. Pytanie nie brzmi: czy się ujawni politycznie, tylko kiedy i w czyje ręce trafi? Oto trzy scenariusze na 2027 r.

Kontynuacja. Konfederacja konsoliduje swoje 30-procentowe poparcie w grupach 18–39 lat, KKP utrzymuje 10–12 proc., KO nie odzyskuje tego elektoratu. Wynik: Konfederacja staje się trzecią siłą w Sejmie, prawdopodobnie z 14–18 proc. w skali kraju. KKP wchodzi do parlamentu z 5–7 proc. Powstaje koalicja, w której Konfederacja jest niewygodnym, ale niezbędnym partnerem dla PiS. W wariancie alternatywnym obecna koalicja rządząca trzyma się rzutem na taśmę, a Konfederacja zyskuje status lidera realnej opozycji, z perspektywą przejęcia władzy w 2031 r.



Michał Fedorowicz – przewodniczący Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura. Analityk internetu i mediów społecznościowych. Specjalizuje się w badaniach trendów w sieci.

Eksplozja. Pojawia się w polityce nowy aktor, niekoniecznie z tradycyjnej klasy politycznej, który umie mówić językiem pokolenia Łatwoganga. Może to być twórca internetowy wchodzący do polityki (model włoskiego Beppe Grillo); polityk z drugiego rzędu obecnej klasy, który zrywa z partyjnym aparatem i buduje ruch typu „French Insoumise" lub Tisza Magyara; to projekt kreowany przez aktorów spoza systemu: biznes technologiczny, środowisko twórców treści, ruchy obywatelskie. W tym scenariuszu pole polityczne ulega gwałtownej restrukturyzacji w wyniku pojawienia się nowej siły z poparciem 12–20 proc. KO i PiS w pokoleniach poniżej 40. roku życia spadają do statusu mniejszościowych.

Zamrożenie. Frekwencja młodych spada poniżej 60 proc. Pokolenie Łatwoganga nie znajduje swojego aktora politycznego i wycofuje się z polityki w stronę przestrzeni pozapolitycznych: charytatywnych, kulturowych, biznesowych. Wynik w 2027 r. jest ukształtowany przez wyborców powyżej 40. roku życia, czyli odbiorców systemu mediowo-politycznego. KO i PiS dzielą scenę między siebie. Konfederacja zostaje, ale poniżej swojego potencjału, bo wielu młodych nie poszło do urn. Ten scenariusz jest paradoksalnie najgorszy dla polskiej demokracji, bo oznacza wyłączenie z procesu politycznego całego pokolenia. Ale nie dlatego, że odwraca się ono od polityki, tylko z braku oferty.

Który scenariusz jest najbardziej prawdopodobny? Łatwiej wskazać, co jest najmniej prawdopodobne: że KO odzyska pokolenie 18–29 lat. Ten elektorat został utracony i nie ma scenariusza jego powrotu do obecnego centrum. Można go odzyskać tylko przez radykalną zmianę programu, języka i twarzy, do czego KO nie jest zdolna.

Dane z sondaży 2025 i 2026 r. pokazują, że klasyczne podziały partyjne w grupach 18–39 lat zostały zerwane. To jest przesunięcie historyczne, którego skala dla obecnej KO porównywalna jest tylko z utratą elektoratu robotniczego przez SLD na początku lat 2000. Tylko że dziś następuje na przeciwnym biegunie ideologicznym i w trzykrotnie większej grupie demograficznej.

Tezy do rozważenia

Algorytm jest kluczowym aktorem polskiej polityki, a polska klasa polityczna nadal myśli o nim jak o medium. Błąd, bo algorytm jest selekcjonerem, redaktorem i dystrybutorem w jednym. Polaryzacja w polskim dyskursie cyfrowym jest funkcją architektury platform, nie tylko polityków, którzy z niej korzystają. To znaczy, że każda regulacja platform – krajowa, unijna, międzynarodowa – jest aktem politycznym o realnych konsekwencjach.

Fenomen Łatwoganga pokazał, że pokolenie cyfrowe potrafi rozpoznać autentyczność i odrzucić instrumentalizację. Próby zawłaszczenia zbiórki przez polityków zostały odparte. Fundacja WOŚP została wciągnięta w niekorzystne porównania wbrew swojej woli. Politycy zostali wyłączeni z gry. Implikacja: każda próba mobilizacji pokolenia cyfrowego, której podejmie się aktor partyjny albo stać za nią będzie interes polityczny, zostanie odrzucona w ten sam sposób. Polityk, który chce z tym pokoleniem rozmawiać, musi zrezygnować z bycia politykiem w pełnym tego znaczeniu.

Wniosek: 2027 r. będzie demograficznym egzaminem dla polskiej demokracji. Frekwencja w grupie 18–29 lat zdecyduje o kształcie parlamentu, a kształt parlamentu o tym, czy kolejne cztery lata polskiej polityki będą kontynuacją obecnego układu, czy radykalną restrukturyzacją. To pokolenie potrzebuje oferty politycznej, dla której nie będzie segmentem marketingowym do obsłużenia w ostatnich tygodniach kampanii.

To rewolucja, która nie wie, co rewolucjonizuje. Pokolenie, które nie pamięta, że istniało coś innego niż algorytm. I klasa polityczna, która ciągle szuka sposobu, żeby wytłumaczyć temu pokoleniu, dlaczego jego głos jest ważny, podczas gdy pokolenie już udowodniło, że potrafi swój głos wykorzystać. Tylko niekoniecznie tam i nie tak, jak politycy tego oczekują.

MICHAŁ FEDOROWICZ

© MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl 7f01362802

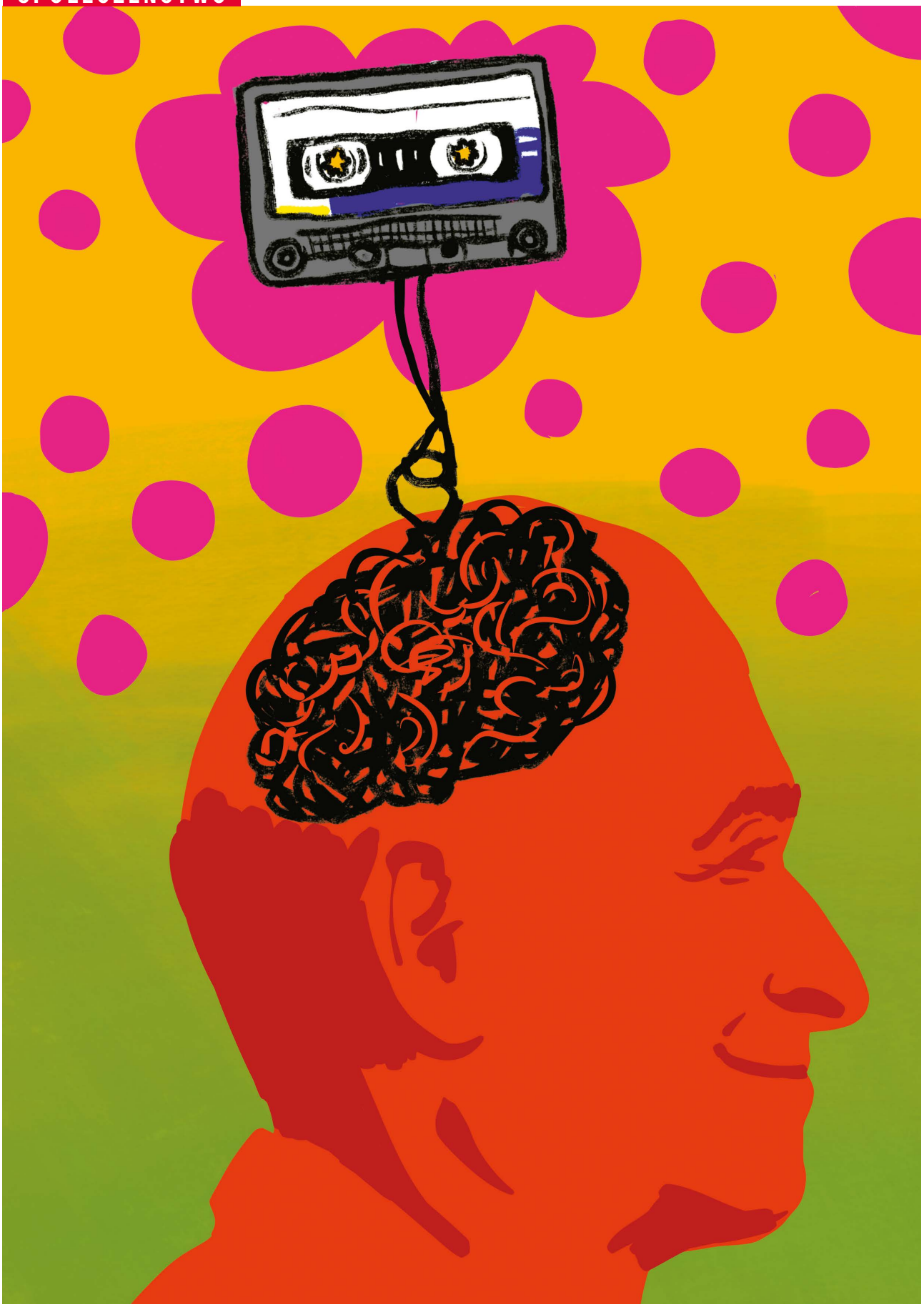

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 7f01362802

Słodko-gorzko

Rozmowa z dr Moniką Prusik o tym, czym jest nostalgia, dlaczego jej uruchamianie jest dla ludzi kojące i jak politycy używają jej w swoich strategiach.

ADRIAN BURTAN: **– Czy powtarzane jak mantra „Kiedyś było lepiej" znajduje odniesienie w psychologii społecznej?**

MONIKA PRUSIK: – Tego typu stwierdzenia pojawiają się powszechnie, zarówno w życiu codziennym Polaków i innych narodów, jak i w badaniach naukowych, a nostalgią zajmuje się m.in. psychologia społeczna. Gdy w sondażach próbuje się zmierzyć jej poziom, często pyta się ankietowanych o to, jak oceniają swoje życie w przeszłości.

Zatem co o nostalgii mówi nauka?

Nostalgia dzisiaj uważana jest za bardzo złożoną, ale w głównej mierze pozytywną emocję. Natomiast dawniej postrzegano ją jako zjawisko patologiczne, stan chorobowy, wiązano z różnymi objawami, niekiedy zaskakującymi. Np. z zachowaniami kryminalnymi, takimi jak podpalenia, a jako lekarstwo zalecano m.in.... lewatywy. Słowo „nostalgia" zostało wymyślone w 1688 r. przez studenta medycyny Johannesa Hofera, który zestawiając dwa greckie słowa *nostos* i *algos*, próbował opisać wiele objawów, głównie somatycznych, doświadczanych przez żołnierzy szwajcarskich stacjonujących z dala od domu. W tym sensie nostalgia była początkowo rozumiana jako tęsknota za ojczyzną czy domem rodzinnym. Z przeglądu Willisa McCanna z lat 40. XX w. dowiadujemy się, że nie było takich symptomów chorobowych, których wówczas nie łączono by z nostalgią. Z czasem to się zmieniło i dzisiaj nostalgia rozumiana jest zupełnie inaczej.

Jak?

Jako emocja, ale bardzo nietypowa, nie cechuje się bowiem wyrazistą ekspresją ani pobudzeniem fizjologicznym. Trudno poznać, kiedy ktoś ją odczuwa. Określana jest również jako emocja refleksyjna, która poza tym, że związana jest ze stosunkiem do przeszłości, ma w sobie element samoświadomości; takie bardziej analityczne spojrzenie na upływający czas. W literaturze określana jest jako słodko-gorzka, ze względu na dualny charakter. Wiąże się z pozytywnym myśleniem czy tęsknotą za jakimś okresem, ale jednocześnie z poczuciem straty, że tego czasu nie można już przywrócić. Badacze proponują rozmaite typologie, np. podział na nostalgię tożsamościową i ekonomiczną czy nostalgię osobistą, wirtualną, kulturową lub interpersonalną. Te różne rodzaje nostalgii mogą pełnić różne funkcje w naszym życiu.

To po co nam nostalgia?

Pełni ważne funkcje, na poziomie zarówno indywidualnym, jak i społecznym. Przywraca poczucie ciągłości, polepsza samoocenę, zwiększa optymizm, nadaje życiu poczucie sensu. Łączy naszą przeszłość z teraźniejszością. W języku angielskim wręcz przypisuje się jej *bridging functions*, czyli funkcje łączące, pomostowe. Oznacza to, że każdy z nas, bez względu na doświadczenia życiowe, dobre lub złe, ma poczucie pozostawania tą samą osobą, z tymi samymi wartościami, pomimo upływu czasu. Na poziomie kolektywnym nostalgia wzmacnia wiarę w to, że wydarzenia historyczne tworzą logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy, i że wartości oraz tradycje danego narodu pozostają niezmienne w czasie. Właśnie dlatego nostalgia pojawia się, gdy doświadczamy trudności, czy to na poziomie jednostkowym, czy – szerzej – narodowym. Wkracza, by niejako wprowadzić porządek do naszej codzienności, przywrócić poczucie spójności. Nostalgia nie musi jednak objawiać się tylko wtedy, gdy jest nam źle i potrzebujemy powspominać dawne dzieje. Często uruchamiają ją bardzo prozaiczne bodźce: zapach potrawy pamiętanej z dzieciństwa, piosenka z lat młodości, deszczowa pogoda, spotkanie z dawnymi znajomymi, ale także poczucie samotności. Jest zakorzeniona w codziennym doświadczeniu. Różne badania międzykulturowe wskazują, że człowiek odczuwa nostalgię średnio przynajmniej raz w tygodniu.

IPSOS w jednym z niedawnych badań zapytał przedstawicieli poszczególnych krajów, czy woleliby urodzić się w 1975 czy w 2025 r. Aż 44 proc. respondentów odpowiedziało, że pół wieku temu. Najmocniej za dawnymi czasami tęsknią przedstawiciele relatywnie bogatszych krajów: Francji, Belgii, Wielkiej Brytanii, Niemiec. Co może wpływać na ich wybory?

W swoich badaniach posługuję się typologią rosyjsko-amerykańskiej badaczki Svetlany Boym, która nostalgię dzieliła na restoratywną i refleksyjną. Ta pierwsza idealizuje dawne lata i łączy się z chęcią ich przywrócenia lub odtworzenia w teraźniejszości. Druga wiąże się również z ciepłym, ale bardziej realistycznym i analitycznym spojrzeniem w przeszłość oraz świadomością, że nasze wspomnienia mogą ulec pewnej idealizacji. Różnicę między tymi dwiema nostalgiami można sprowadzić do pytania: odbudować zamek czy podziwiać ruiny? We wspomnianym raporcie oba te rodzaje nostalgii mogą być wymieszane. Dlatego mam swoje hipotezy. Francja, Belgia i Niemcy generalnie dobrze radzą sobie gospodarczo, ale jednocześnie w ich przestrzeni publicznej obecne są elementy retoryki nostalgicznej, która gloryfikuje pewne narodowe okresy. W tych krajach wysoki poziom nostalgiczności niekoniecznie musi być związany wyłącznie z niezadowoleniem z obecnego poziomu życia, ale również z kwestiami tożsamościowymi, wzmacnianymi politycznie przez uruchamianie tęsknoty za „dawną Francją" czy „silnymi Niemcami". Taka nostalgia pojawia się naturalnie jako reakcja na trudności, których wcześniej nie było albo były mniej obecne: konfliktów, destabilizacji społecznej, pandemii, problemów migracyjnych. ▶

eprasa.pl 7f01362802

▶ Może większość z nas wolałaby się urodzić pół wieku temu, bo po prostu wiemy, co wtedy, krok po kroku, historycznie się działo. Żyjąc w 2025 r., nie mamy pojęcia, co będzie za dwa, trzy lub pięć lat. Zwłaszcza w dobie geopolitycznych zawirowań na świecie.

Tak, bo destabilizacja, również popandemiczna, jak i aktualne zawirowania polityczne mają znaczący wpływ na to, jak ludzie postrzegają teraźniejszość. W badaniu IPSOS respondentom dano jedynie dwie możliwości wyboru: urodzić się 50 lat temu czy teraz? To nie pozwala na tak radykalne stwierdzenie, że większość z jakiegoś powodu zgodnie wybiera okres 50 lat. Duża część respondentów urodziła się bowiem właśnie ok. 50 lat temu. Zatem dla nich to pytanie mogło wybrzmieć nieco inaczej: czy chcieliby urodzić się w czasie, w którym się urodzili, czy teraz? Znając pewne prawidłowości rządzące ludzką pamięcią, respondenci wybieraliby zapewne lata, w których kształtowała się ich tożsamość społeczna, mniej więcej od 19. do 25. roku życia – czas dużej aktywności społecznej, pierwszych miłości i dorosłych decyzji. Ale zgodzę się, że może się to wiązać również z niepewnością czasów, w których żyjemy. A przeszłość jest znana.

Nostalgia wpisuje się w polityczne narracje w wielu krajach. Politycy dobrze grają na naszych tęsknotach?

Oczywiście. Proszę zobaczyć, ilu liderów politycznych na świecie używa retoryki nostalgicznej jako narzędzia wpływu. Przywołują np. rzekomą świetlaną przeszłość danego kraju, gdy społeczeństwo wiodło wspaniałe życie i osiągało sukcesy.

Mówią np. „Make America great again".

Tego typu narracja jest silnie obecna nie tylko w Stanach Zjednoczonych Trumpa. Proszę popatrzeć na Argentynę pod rządami Javiera Milei. Takie nostalgiczne przekazy mieliśmy już też bliżej nas: na Węgrzech czy we wspomnianych Francji i Niemczech. Nostalgię wykorzystuje wreszcie Putin, argumentując swoją agresywną politykę międzynarodową pragnieniem odbudowy potęgi dawnego imperium rosyjskiego. Taka retoryka wywołuje emocje w społeczeństwie, ukierunkowuje ludzi i sprawia, że stają się bardziej nostalgiczni wobec „mitycznie wspaniałych dawnych czasów". Każe im myśleć, że kiedyś było lepiej i że należy, a przede wszystkim można, to przywrócić. Jednym z przejawów takiego myślenia jest, w kontekście migracji, tęsknota za homogenicznością społeczeństwa, która przecież znajduje się obecnie w centrum sporów politycznych w wielu państwach.

Poziom nostalgii w wymiarze kolektywnym zależy od narodowych mitów i odniesień?

Różne grupy społeczne i polityczne próbują narzucać własne interpretacje przeszłości, akcentować jedne wydarzenia, a marginalizować inne. Nostalgia może być wzmacniana lub osłabiana przez dominującą narrację historyczną. Każdy naród wybiera sobie jakiś okres, który uważa za wyjątkowo dobry w swojej historii. Np. Polacy bardzo często wybierają okres gierkowski. Gdy robiłam badania o nostalgii za PRL, okazało się, że znacząca większość ludzi pamiętających tamte czasy (tzw. próba reprezentatywna dla osób mających wówczas co najmniej 40 lat) wspomina je z sentymentem. Prawie na każdej konferencji naukowej to kwestionowano. Próbowano mi tłumaczyć, że ludzie tęsknią za tamtym okresem, bo kojarzy im się z młodością, wydaje im się, że wtedy było znacznie lepiej.



© LESZEK ZYCH

Dr **Monika Prusik** – adiunkt w Katedrze Psychologii Społecznej, Osobowości i Procesów Emocjonalnych Wydziału Psychologii UW, członek Ośrodka Badań Psychologicznych w Instytucie Studiów Społecznych UW. Kierowniczka grantu OPUS-29 „Nostalgia: Błogosławieństwo czy przekleństwo dla demokracji? Nostalgia restoratywna i refleksyjna oraz ich implikacje dla wyzwań demokratycznych w kontekście postaw społeczno-politycznych i preferencji przywódczych w perspektywie międzynarodowej".

Nie mieli racji?

Pytałam ankietowanych o wybrane fakty z PRL. Zakładałam, że będą idealizować bardziej pozytywne elementy, a umniejszać lub wybielać te, które były bezsprzecznie negatywne. Zadawałam im pytania np. o to, ile mięsa przysługiwało na poszczególne kartki albo ile trwał stan wojenny. Oczekiwałam, że osoby bardziej nostalgiczne będą zniekształcać te informacje. Okazało się, że nie do końca: respondenci dość dobrze odtwarzali zdarzenia i zjawiska z tamtego okresu i nie idealizowali życia w systemie komunistycznym aż tak bardzo. I znów zarzucano mi na konferencjach, że są to niewiarygodne dane, bo jak to możliwe, że Polacy tęsknią za komunizmem. Dlatego wspólnie z prof. Marią Lewicką przeprowadziłyśmy pogłębione analizy. Potwierdziły, że czynnik idealizacji młodości rzeczywiście był obecny, ale znacznie silniejszy okazał się inny mechanizm: niezadowolenie z teraźniejszości.

Czyli z lat przypadających na czas transformacji ustrojowej i okresu po niej?

Tak. Trudności życiowe odgrywały istotną rolę. Dla niektórych grup społecznych zmiana systemu była dramatem. Pojawiło się masowe bezrobocie, wzrosła rola wyższego wykształcenia. Ci, którzy byli ważni w PRL – robotnicy, górnicy, hutnicy – stracili swoją pozycję społeczną na rzecz wykonujących zawody, które dziś nazwalibyśmy białokołnierzykowymi.

eprasa.pl 7f01362802

Zagraniczne koncerny, które weszły na nasz rynek, wymagały zdecydowanie innych umiejętności. Pojawiły się więc dwie grupy: wygrani i przegrani transformacji. I ci drudzy wykazywali największą tęsknotę za PRL.

Bo PRL to z jednej strony była szarzyzna, morderstwa polityczne czy stan wojenny, a z drugiej – bezpieczeństwo socjalne i praca dla każdego. Część osób nigdy już nie nadrobiła dystansu spowodowanego utratą pracy czy degradacją społeczną.

Tak, a w dodatku czasy komunistyczne stanowią nierozerwalną część ich przeszłości i okres, w którym kształtowała się ich tożsamość społeczna. Wiele osób uczestniczących w moich badaniach przyznawało, że żyło im się lepiej przed 1989 r. niż po. Badania prowadzone w innych krajach wykazały, że Polska nie była w swojej nostalgiczności odosobniona i że w innych krajach postkomunistycznych sentyment był podobny, a często nawet znacznie silniejszy. W wielu z nich przemiany były znacznie trudniejsze i nie skutkowały takim wzrostem gospodarczym, jaki dokonał się u nas.

To właśnie osobom bardzo dobrze wykształconym, tym, które w momencie transformacji poradziły sobie w nowej rzeczywistości, twierdzenie, że część ludzi tęskni za PRL, wydawało się najbardziej kuriozalne. Nie mieściło im się w głowie, że Polacy tak długo walczyli o wolność i tak bardzo jej pragnęli, a nagle ogromny odsetek uważa, że za Gierka żyło im się lepiej. Badani mówili o tym, że mieli pracę, że nie było bezrobocia, że reguły funkcjonowania w życiu społecznym były łatwiejsze do zrozumienia. Wprawdzie półki sklepowe były puste, ale ludzie rozwijali różne sieci społeczne po to, żeby pewne rzeczy zdobyć czy załatwić. Wzmacniali przez to relacje społeczne. Wszyscy mieli – lub nie mieli – podobne mieszkania, samochody czy meble. Nie było takich nierówności, jakie obserwujemy dzisiaj.

Jaki udział w tej nostalgii za PRL ma trauma pokoleniowa, o której pisał prof. Michał Bilewicz, wskazując, jak nieprzepracowane doświadczenia wojenne Polaków wpływają na aktualne zachowania, lęki czy nieufność społeczną? Może nostalgia jest próbą ucieczki od historii przez jej opowiadanie na nowo?

To rodzaj paradoksu. Nostalgia pojawia się w trudnych momentach, w punktach przełomowych. Polska takich momentów doświadczała wiele. Sama pochodzę z rodziny, która sporo przeżyła. Zgadzam się z prof. Bilewiczem, że doświadczenia wojenne nadal mają swoje odzwierciedlenie w kondycji społeczeństwa polskiego i nie zostały wystarczająco przepracowane. Można by zatem zakładać, że Polacy są bardziej nostalgiczni i muszą jakoś rekompensować utratę ciągłości na skutek traumatycznych wydarzeń. Z drugiej strony nostalgia żywi się wspomnieniami, a w historii Polski było wiele trudnych, traumatycznych momentów. Ustalenie okresu w historii Polski, który „powinien" być przedmiotem powszechnej nostalgii, może być znacznie trudniejsze niż w przypadku innych narodów. Badania międzykulturowe Eriki Hepper i jej współpracowników pokazują, że Polska zaliczana jest do krajów o umiarkowanym poziomie nostalgii. Wiele krajów nie miało tak trudnej historii jak nasza, a mimo to poziom nostalgii jest w nich wyższy. Nostalgia pełni niekiedy funkcję plastra na trudne doświadczenia, ale jest emocją uniwersalną, a jednocześnie znacznie bardziej złożoną, niż się przypuszcza. Jasne, nasza tragiczna przeszłość może ją paradoksalnie wzmacniać, ale też ta zależność może być odmienna.

Wspólnota chce wierzyć, że mimo cierpienia jest w stanie przetrwać?

Jako społeczeństwo musimy mieć poczucie, że mamy do czego wracać. Jest nam to niezbędne do zbiorowego i indywidualnego dobrostanu, do utwierdzenia się w tym, że mamy swoje wartości i przekonania, że jako naród trwamy i jesteśmy spójni. Nostalgia może też mieć konsekwencje negatywne, np. związane ze stosunkiem do grup postrzeganych jako obce. Właśnie rozpoczynam duży projekt badawczy, którego głównym celem jest próba wyjaśnienia złożoności nostalgii i odpowiedzi na pytanie, czy jest ona błogosławieństwem, czy przekleństwem dla demokracji.

ROZMAWIAŁ ADRIAN BURTAN

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" - SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II



LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
15.05–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ
* możliwa dopłata

Nowość
Pakiet
OnkoRehab
Najbliższe turnusy
24.05 albo 28.06
ZADZWOŃ
i SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
15.05–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

Zeskanuj mnie

54 416 70 00
rezerwacja@podtezniami.pl
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 7f01362802

Pokolenie NoLo

Młode Polki i Polacy mówią, że alkohol im niepotrzebny. Dla nich produkuje się piwo zero procent, bezalkoholowe wino, jest nawet wódka zero procent. Skąd ta zmiana?

JOANNA CIEŚLA



ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**
Pastisz radzieckiego plakatu antyalkoholowego

Wódka bezalkoholowa ma zapach palonego zboża, a smakuje w pierwszej nucie owocami, trochę ogórkiem i trochę selerem. W drugiej i trzeciej nucie nie ma nic. Nawet w przełyk nie szczypie, choć producent szkockiego napitku, który testujemy w redakcji, utrzymuje, że kompozycji nie brak pikanterii, a „unikalna woda z gór Cairngorm nadaje jej dziki, naturalny charakter".

Prawdę mówiąc, „non alcoholic vodka alternative" jest po prostu ohydna. Zwyczajnej wódki, fakt, też nie kupuje się dla wrażeń smakowych. Ale w tym przypadku deficyty – oprócz zawartej w samej koncepcji „wódki zero procent" obrazy dla polskiego obyczaju – sprawiają, że spośród trzeźwych wariantów wysokoprocentowego alkoholu na króla wyrasta rum. W 2024 r. według danych Centrum Monitorowania Rynku Polacy kupili rumu 0 proc. ponad 122 razy więcej niż rok wcześniej. Ginu w wersji bezalkoholowej – dwa razy więcej niż wcześniej. Ile to litrów, badacze nie podają. W liczbach bezwzględnych pewnie wciąż niedużo, ale trendu nie sposób przegapić.

Inna firma badawcza NielsenIQ donosi, że wydatki na oksymoroniczne bezalkoholowe alkohole systematycznie rosną – w ub.r. o 5 proc. w porównaniu z 2024 r. W 12 miesiącach poprzedzających raport NIQ z początku 2026 r. przeznaczyliśmy na „zerówki" prawie 2 mld zł. To mniej więcej tyle, ile na makarony i olej. I więcej niż na herbatę.

Polki i Polacy, zwłaszcza młodzi, podobnie jak ich rówieśnicy na Zachodzie, odwracają się od tradycyjnych kieliszków. Trend, rozwijający się powoli już od 2010 r., został ochrzczony NoLo – od zbitki angielskich słów „no alcohol, low alcohol".

– *Z naszych danych wynika, że najmłodsi dorośli z tzw. pokolenia Z, między 18. a 24. rokiem życia, piją w tej chwili mniej alkoholu nawet niż grupa seniorów powyżej 60 lat. To ogromna zmiana pokoleniowa. W naszej branży od 2020 r. rynek się skurczył o jedną piątą, a w przypadku samych wódek o ok. 30 proc.* – wylicza Karol Stec, prezes Związku Pracodawców Polskiego Przemysłu Spirytusowego. Podobny obraz przyniosło opublikowane w ub.r. badanie ESPAD (The European School Survey Project on Alcohol and Other Drugs) w ramach cyklu realizowanego co cztery–pięć lat z udziałem uczniów pierwszych i trzecich

eprasa.pl 7f01362802

klas szkół ponadpodstawowych. Wśród 15–16-latków tych, którzy kiedykolwiek pili alkohol, jest 73 proc. (20 proc. mniej niż w 1995 r.). Tych, którzy pili w poprzedzającym badanie miesiącu – 39 proc. (było 50 proc.). Wśród trzecioklasistów, często już pełnoletnich, zmiany są mniejsze, a proporcje są bliższe tym wśród dorosłych – piło w ogóle 91 proc. (w latach 90. – 96,5), a w ostatnim miesiącu – 73 proc. (ta grupa maleje od 10 lat).

Coś wyraźnie się zmienia w kluczowym budulcu polskiej tkanki społecznej. Z czego wynika ten trend?

Procent bezsensu

Julian, 23-latek, właśnie kończy studia: informatyka z psychologią. Przez całe życie wypił w sumie ze dwa litry czystego alkoholu. – *Zacząłem pić jeszcze przed osiemnastką. Potem na pierwszym i drugim roku, zazwyczaj niedużo. Dwa razy w życiu zdarzyło mi się nadużyć. Ale i bez nadużycia po alkoholu kiepsko się czułem. Spożywałem raczej nawet nie ze strachu, że ktoś mnie wykluczy itd., tylko dlatego, że wszyscy np. zamawiali piwo, kiedy z ekipą wychodziliśmy do baru.* Algorytmy zaczęły Julkowi podsuwać kolejne doniesienia o szkodach z alkoholu – że wbrew dawnym publikacjom żadna ilość nie jest wskazana ani bezpieczna. A Julek biega i stara się zdrowo prowadzić. – *Smak wina czy whisky to nie jest dla mnie wielka atrakcja, więc uznałem, że lepiej w ogóle dać sobie z tym spokój.* Od sierpnia ub.r. nie pije w ogóle. Najbardziej stanowczo musiał zakomunikować swoją decyzję rodzicom, żeby nie próbowali go namawiać na wino do obiadu. Na imprezach z rówieśnikami też jest w mniejszości – ale rosnącej. – *W szkole średniej przy różnych okazjach piło ok. 90 proc. ludzi. Teraz może dwie trzecie.*

Ola, 24 lata, studiuje politologię i pracuje: – *Zaczęłam pić w gimnazjum, miałam 15 lat. I było tego naprawdę dużo. Głównie piwo, ale też wódka, z ludźmi z klasy, potem to przeszło na liceum. Jak teraz czasem wyskakują mi filmiki nagrywane na domówkach w tamtym czasie, to jestem zszokowana i zażenowana.* U Oli szaleństwa wygasły w pandemii. Odechciało jej się pić także przez opowieści mamy i babci o uzależnieniu dziadka. Swoją drogą mama Oli imprezuje dziś bardziej niż Ola.

Krystyna Piątkowska, 23-lata, studiuje psychologię, działa też w Fundacji Growspace na rzecz zdrowia psychicznego młodych ludzi: – *Pandemia okazała się interesującym czasem. Z jednej strony niestety dużo ludzi „odkażało się od środka". Ale z drugiej wiele osób właśnie wtedy zaczęło poświęcać zdrowiu więcej troski i odstawiać alkohol.*

Antoni, 30-latek, realizator dźwięku: – *Ja i moi znajomi przestaliśmy pić kilka lat temu, kiedy zaczęli wracać z emigracji ci, którzy wcześniej wyjechali. Pokazali, jak się teraz na Zachodzie imprezuje, i nam to spasowało. Na trzeźwo realnie można pogadać, dać sobie wsparcie, coś sensownego wymyślić. Po pijaku to odpada* – opowiada. Wie, co mówi; wychował się na Podkarpaciu.

Nasi rozmówcy oceniają, że niepicie nie budzi w ich otoczeniu emocji ani większego zainteresowania. To kulturowa zmiana wobec czasów, gdy bez nagabywania mogły nie spożywać kobiety w ciąży i kierowcy, a pozostali trzeźwi budzili podejrzliwość jako potencjalni donosiciele; ewentualnie współczucie jako domniemani alkoholicy walczący z nałogiem.

Monika Miszczyszyn, psycholożka i psychoterapeutka pracująca z młodzieżą, w przeszłości członkini Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w Warszawie, wierzy, że lata profilaktyki antyalkoholowej wreszcie zaczęły przynosić rezultaty. – *Młodzież, choć z pewnością nie cała, potrafi zaobserwować degenerację związaną z piciem szkodliwym, wyniszczenie organizmu, straty społeczne.* Ze względu na skalę używania alkoholu w Polsce widać, jak spożycie przekłada się na skutki. – *To wiąże się też z niechęcią młodych ludzi do utraty kontroli nad sobą.* Stałą częścią życia wielu z nich jest strach, że ktoś ich nagra, gdy robią coś głupiego, i wrzuci to do sieci.

Zero ratuje browary

NoLo działa na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Polacy i Polki chcą pić mniej procent, toteż producenci dostarczają im więcej opcji, a ci je sprawdzają. Także w warunkach, które z alkoholem kojarzą się nieodłącznie. – *W czasie majówki nad morzem zamówiłam do rybki w smażalni piwo bezalkoholowe* – opowiada Jagoda, 33-latka. – *Siedziałam obok lady i słyszałam zamówienia innych. Piwo zero wybierali prawie wszyscy, także duzi panowie, których podejrzewałabym, że raczej będą się dokręcać z okazji „długiego łykendu".*

Prof. Dominika Maison, psycholożka i doświadczona badaczka rynku, ocenia, że piwa bezalkoholowe ratują dziś browary, bo sprzedaż zwykłego piwa systematycznie spada. Jej badania dla Warsaw Enterprise Institute opisują to, co się dzieje, liczbami: 79 proc. dorosłych Polaków pije alkohol, 55 proc. stara się ograniczać jego spożycie. 21 proc. nie pije. 39 proc. dostrzega wokół siebie trend NoLo, częściej są to osoby młode, w wieku 18–24 lata. 26 proc. Polek i Polaków przynajmniej raz w tygodniu pije piwo bezalkoholowe. Wśród osób w wieku 25–34 lata to 39 proc. – *Natomiast najmłodsi dorośli, jeszcze nastoletni, bardzo rzadko sięgają po piwo bezalkoholowe. Ono jest raczej drogą odchodzenia od alkoholu. 89 proc. jego użytkowników mówi, że gdy napiją się „zerówki", nie mają już ochoty na procenty.*

Z badań prowadzonych pod kierunkiem prof. Maison wynika, że osoba zastępująca np. piwo tradycyjne bezalkoholowym kojarzy się z wyższym statusem społeczno-ekonomicznym, lepszym wykształceniem i większą kontrolą nad życiem. Z kolei na wizerunek osoby pijącej piwo alkoholowe składa się niższy status, gorsze wykształcenie, mniej aspiracyjny styl życia, brak zainteresowań i mała aktywność fizyczna. – *Duże znaczenie ma cena piw bezalkoholowych, szczególnie tych kraftowych. Technologia ich wytwarzania jest trudna i droga, bo najpierw trzeba wyprodukować piwo alkoholowe, a potem się je dealkoholizuje.* Finałem jest wydatek powyżej 10 zł za butelkę, czyli cztery razy więcej niż za zwykłe piwa z dyskontu.

W winach dealkoholizowanych niby też można dziś przebierać. Ale usunięcie alkoholu z tego napoju zabiera mu około jednej szóstej objętości. Początkowo braki wypełniano głównie cukrem. Może dlatego Polacy do win zero procent przekonują się powoli. Jednak – jak przekonywał na łamach POLITYKI Wojciech Bońkowski – od kiedy sektorem zainteresowali się poważni winiarze, jakość zaczęła się zmieniać. Pojawiła się oferta premium, np. austriackie czerwone Leonis Blend za 170 zł.

Szkocka alternatywna wódka zero procent kosztuje ponad 100 zł za butelkę. W Polsce na razie żadna z większych firm nie podjęła wyzwania zmierzenia się z taką produkcją. Ale z perspektywy klienta dostępność trunków o obniżonym woltażu wyzwaniem nie jest. W hipermarketach, a nawet w części dyskontów, są wydzielone półki z dealkoholizowanym rumem, ginem, whisky i tequilą, w promocjach nawet za kilkadziesiąt złotych. W specjalistycznych sklepach płaci się więcej – od 90 do 160 zł za droższe marki ▶

eprasa.pl 7f01362802

▶ trzeźwej tequili. Tworzenie takich napitków polega czasem, podobnie jak z zerowymi winami czy piwami, na usuwaniu alkoholu z gotowego trunku. Ale często też warianty zero od podstaw inaczej się miesza, próbując uzyskać np. maksimum „tequili w tequili" przez łączenie ekstraktów roślinnych, destylatów ziół, przypraw i owoców. W tym konkretnym przypadku – wyciągu z agawy (słodycz), pieprzu (ostrość) i limonki (świeżość).

Czy wychodzi tak jak oryginał? Nie do końca. Choć jest lepiej niż w przypadku „nie-wódki", brak ognistego kopa wciąż czuć. Ale twarde alkohole w wersji soft kupuje się głównie do mocktaili (zbitka angielskich słów oznacza „udawany koktajl"). I w poszukiwaniu innej niż kop jakości doznań, która Polki i Polaków zaczyna pociągać.

Z herbaty, z derenia i z grzyba

Katarzyna Bukowska w 2022 r. jako 25-latka szukała czegoś bez alkoholu na sylwestra. – *Przeżyłam sporo frustracji, bo wtedy jeszcze wybór win czy drinków zero procent był bardzo ograniczony.* Kasi zamarzył się sklep, gdzie można porozmawiać z obsługą i znaleźć ciekawe alternatywy bezalkoholowe. Więc go – razem z mężem – w Warszawie założyła. – *Na początku, jako osoba, która wcześniej często wychodziła na miasto i piła alkohol, chciałam czegoś, co będzie przypominać jego smak. Wiele osób zaczyna podobnie – lubi konkretne drinki jak whisky sour czy margarita, które dziś już łatwo odtworzyć albo dostać w wersji bezalkoholowej w wielu barach.* Ale po kilku latach niepicia nawet namiastka smaku alkoholu przestaje być potrzebna. – *Teraz szukamy ciekawostek, np. z kategorii nie-win, zwanych też winami proxy.* To rzemieślnicze napoje bezalkoholowe albo niskoalkoholowe na bazie herbat (fermentowana kombucha to tylko jeden z wariantów), soków, ziół i owoców. – *Doskonała jest np. Acala – cała seria musujących herbat bio, przypominających szampana, sprzedawana w nawiązujących do niego butelkach.* Kasia zachwyca się też napojami z adaptogenami, tworzonymi m.in. przez polskie firmy: – *Myślę, że to wkrótce będzie hit. Świetnie sprawdzają się np. Shroom Power i Shroom Relax, jeden lekko pobudzający, zdrowy zamiennik energetyka, drugi pomagający w wyciszaniu. Do celebracji nadaje się elegancko opakowany Diva Social Elixir, z 13 składników roślinnych, w tym rokitnika, derenia i aronii, dopełnionych ekstraktem ze skórek gorzkiej pomarańczy oraz maczużnika bojowego* (to grzyb, który pustoszył świat w fabule „The Last of Us"). Shroom kosztuje kilkanaście złotych. Inne nie-wina – od kilkudziesięciu do ponad stu. W sklepie Kasi początkowo większość klientów miała koło trzydziestki. Z czasem zaczęło przybywać starszych.

Z odwrotu młodych od alkoholu czasem wynika, że również ich rodzice rezygnują z picia. Hanna, 51-latka, przestała dwa tygodnie po tym, jak jej 23-letni syn powiedział, że nie chce już alkoholu. – *Na sylwestra, którego organizował, zostawiliśmy mu dla gości kilka butelek, które u nas nie mogły się doczekać otwarcia. Finał był taki, że po imprezie naszych butelek nie ubyło, za to doszło kilka nowych.*

Uczymy się, że można się bawić inaczej. Po zimowej przerwie rozkręcają się właśnie trzeźwe imprezy, od kilku lat wyprawiane w największych miastach. Marta Markiewicz od 2019 r. organizowała w Warszawie SobeRave'y; początkowo dla trzeźwych osób uzależnionych, do których sama należy. Z czasem wydarzenia zaczęły przyciągać też innych uczestników, którzy po prostu chcieli potańczyć, a nie pić. – *Na SobeRave'ach nie ma kolejek do łazienki, bo nikt nie wciąga też kresek. Imprezy trwają krócej: cztery, pięć godzin* – wylicza Marta Markiewicz. – *Nikt nie czeka, aż ta czy inna substancja zacznie działać i go wyluzuje, tylko od razu rusza na parkiet.* Marta za swoją działalność dwa lata temu dostała tytuł Superbohaterki „Wysokich Obcasów". Potem wypaliło ją ogarnianie trzeźwego balangowania w miastach rozrzuconych po całym kraju. Ale cieszy się, że inicjatywa się rozrasta.

Według Mai, uczestniczki takich imprez, mają one jeszcze jeden walor: – *Spotykasz tam osoby po nieformalnej wstępnej selekcji. Można zakładać, że na trzeźwe tańce przychodzą ludzie raczej świadomi, mentalnie ogarnięci. Ryzyko, że wylądujesz w objęciach pajaca, jest mniejsze.*

Na serio? Ani kropelki?

Czy to znaczy, że wkrótce nie będziemy już pić? Raczej nie. Fundacja GrowSpace zamówiła badania, z których wynika, że aż 14 proc. Polaków i Polek między 18. a 29. rokiem życia piło alkohol pierwszy raz w wieku 14 lat lub wcześniej. Krystyna Piątkowska komentuje, że podejście młodych ludzi do procentów to kolejny obszar ujawniający wielkie polskie rozwarstwienie społeczne. – *Nie chodzi nawet o różnice między miastem a wsią, tylko po prostu o poziom edukacji i świadomości na temat zdrowia i o wynoszone z domów wzorce. W wielu rodzinach ciągle dużo się pije i uznawane jest to za oczywiste.* Według danych GUS w 2024 r. każdy Polak i Polka, łącznie z niemowlętami, wypił średnio po 8,8 litra czystego spirytusu. Ta ilość od kilku lat spada, ale i tak jest jedną z najwyższych w Europie. W ub.r. przepuściliśmy na alkohole prawie 51,5 mld zł. 25 razy więcej niż na ich wersje zero.

Jednak odwrót od kieliszków wygląda na trwalszy trend niż odwrót od mięsa sprzed kilku lat. To raczej ruch podobny do antynikotynowego. Co nadal nie znaczy, że zmierzamy drogą ku słońcu. Marta Markiewicz, która wspiera młodzież w profilaktyce zaburzeń zdrowia psychicznego, obserwuje, jak wiele nastolatków wciąż romantyzuje uzależnienia. Psychoterapeutka Monika Miszczyszyn dodaje, że wachlarz metod „restartowania się" czy samoregulacji jest szerszy niż kiedykolwiek. – *Chodzi nie tylko o łatwo osiągalne dopalacze, twardsze czy miękkie narkotyki, mieszanki napojów energetycznych z różnymi substancjami, ale też o rynek dowolnych leków, dostępnych w drugim obiegu.* Wystarczy odpowiednio głęboko zanurkować w sieć.

Ale opowieść o społecznym trzeźwieniu jest przynajmniej częściowo autentyczna. Do historii odchodzi inteligenckie picie pod „nocne Polaków rozmowy", gdy zdawało się, że kieliszek otwiera umysły i serca. – *No, jak otwiera? Utrudnia łączenie kropek* – stwierdza Antoni, 30-latek, który przestał pić razem ze znajomymi wracającymi z emigracji. – *Ale ten ich wpływ to tak naprawdę był tylko konkretny impuls. Już wcześniej czułem, że jak się z kimś umawiam, to chcę na tej osobie skupić uwagę, pogadać, usłyszeć, co mówi, a procenty to zagłuszają.*

Ola, 24-latka, mówi podobnie: – *Dzisiaj, gdy idę na imprezę, to chcę, żeby było miło i żebym pamiętała, co się działo.* Od samego słuchania kombatanckich opowieści ciotek i wujków o piciu do piątej rano i wymarszu do pracy na szóstą Oli robi się słabo. – *Jak oni funkcjonowali cały dzień na kacu? Przecież to musiała być męka* – zastanawia się dziewczyna. – *Skoro ludzie byli gotowi ponosić taki koszt, to chyba musieli mieć straszne blokady i nie potrafili inaczej ze sobą być. A my się przynajmniej staramy.*

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 7f01362802

Tułaczka w labiryncie

Chorzy na choroby rzadkie od lat błądzą w systemie, który nieustannie obiecuje im pomoc. Same obietnice może poprawiają nastrój, ale zdrowia już nie.

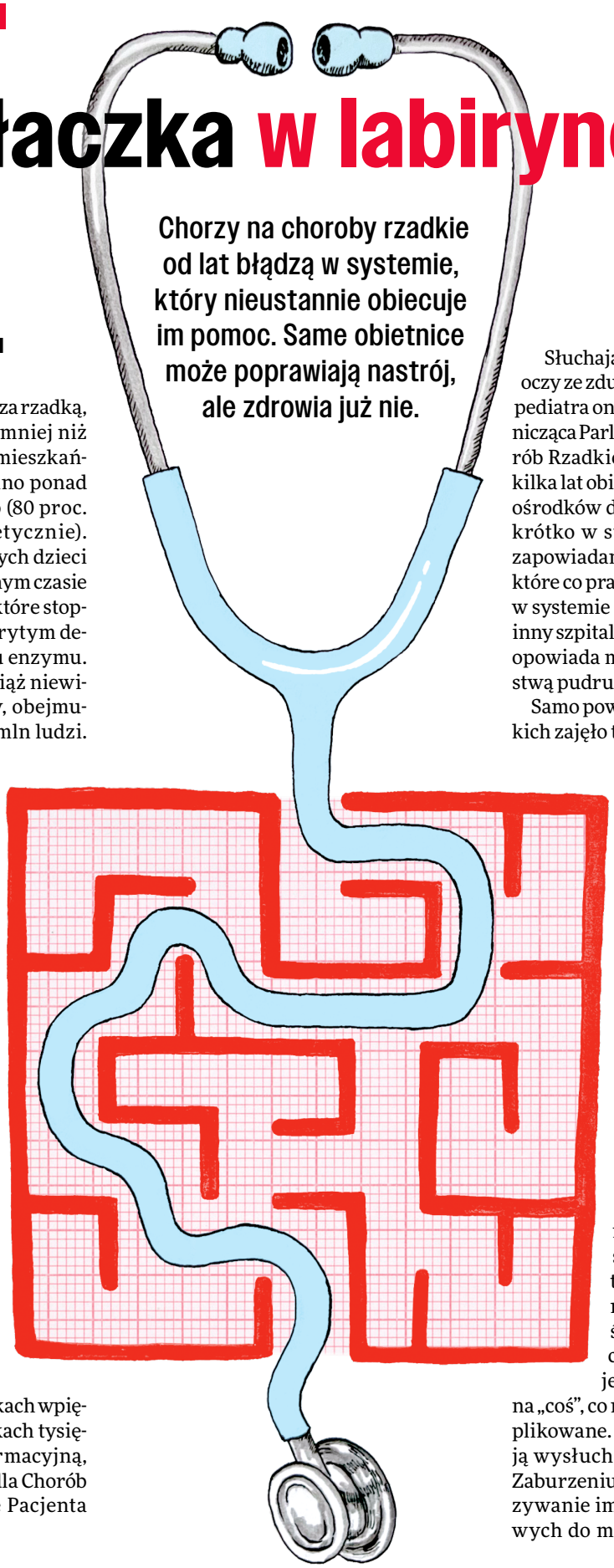

ILUSTRACJA **ADELA PODGÓRSKA**

PAWEŁ WALEWSKI

Choroba jest uważana za rzadką, jeśli choruje na nią mniej niż pięć osób na 10 tys. mieszkańców. Zidentyfikowano ponad 6 tys. takich chorób (80 proc. jest uwarunkowanych genetycznie). Diagnoza dotyczy na ogół małych dzieci – rodzą się zdrowe, ale po pewnym czasie wychodzą na jaw zaburzenia, które stopniowo odsłaniają prawdę o ukrytym defekcie jakiegoś genu lub braku enzymu. Razem tworzą ogromny – i wciąż niewidoczny – problem zdrowotny, obejmujący w naszym kraju blisko 3 mln ludzi.

Są w tej grupie powszechnie znane choroby, takie jak białaczki, chłoniaki czy mukowiscydoza, są rzadkie odmiany padaczek, chorób kości, wątroby i nerek, ale są też schorzenia o nazwach, które niewiele mówią i trzeba się wgłębić w historię medycyny lub wiedzieć, jakie enzymy rządzą pracą komórek, aby powiązać je z nazwiskami odkrywców lub przemianami metabolicznymi (jak choroba Pompego, Fabry'ego, Niemanna-Picka, von Hippel-Lindau, Gauchera, cystynoza, fenyloketonuria).

Coroczne obchody Dnia Chorób Rzadkich to ten szczególny moment, kiedy urzędnicy Ministerstwa Zdrowia przywdziewają szaty wizjonerów, a pacjenci spotykają się, by przypomnieć o chorobach, które pojedynczo dotykają niewielu. W tym roku od urzędników usłyszeliśmy o 44 ośrodkach wpiętych w europejskie sieci, o setkach tysięcy kliknięć w platformę informacyjną, o „wspaniałym finiszu" Planu dla Chorób Rzadkich i cyfrowej e-Karcie Pacjenta z Chorobą Rzadką.

Słuchający tych deklaracji przecierali oczy ze zdumienia. Prof. Alicja Chybicka, pediatra onkolog z Wrocławia i przewodnicząca Parlamentarnego Zespołu ds. Chorób Rzadkich, nie wytrzymała: „Minęło kilka lat obiecywania. I specjalistycznych ośrodków dla chorych nie ma" – rzuciła krótko w stronę audytorium. Zamiast zapowiadanych 300 placówek mamy 44, które co prawda widnieją na papierze, ale w systemie NFZ są traktowane jak każdy inny szpital powiatowy. Sukces, o którym opowiada ministerstwo, okazał się warstwą pudru na niewydolnym systemie.

Samo powołanie Rady ds. Chorób Rzadkich zajęło trzy miesiące.

Zebry gonią konie

Średni czas ustalenia diagnozy choroby rzadkiej w Polsce wynosi od pięciu do siedmiu lat, a bywa, że nawet 10–12. To lata spędzone na wędrówkach między specjalistami, powtarzanych badaniach i błędnych diagnozach. Paulina, która jest lekarką (ponieważ publicznie znaną, nie chce podawać tutaj swoich personaliów), dobrze pamięta, jak wyglądała u niej taka odyseja – zaczęła ją jako nastolatka, gdy z podwójnym widzeniem i podejrzeniem zeza trafiała najpierw do okulistów, następnie neurologów, a gdy traciła głos i kaszlała, leczono ją na niedobory odporności. Przeszła przez cztery placówki, a jedyne, co potrafiono jej zaproponować, to sterydy na „coś", co najwyraźniej było zbyt skomplikowane. Dopiero lekarz z Grudziądza ją wysłuchał i podał leki na miastenię. Zaburzeniu w tej chorobie ulega przekazywanie impulsów z zakończeń nerwowych do mięśni, co prowadzi do ich ▶

eprasa.pl 7f01362802

▶ osłabienia, wskutek czego pojawiają się różne dolegliwości: od opadania powiek po trudności w mówieniu, połykaniu, aż po szybką męczliwość. I zadziałały od razu. – *W medycynie mówi się: kiedy słyszysz tętent, myśl o koniach, nie o zebrach. Tyle że w chorobach rzadkich czasem trzeba pomyśleć właśnie o zebrze* – podsumowuje dr Paulina.

Między zbiórką a systemem

Sylwia Łukomska z Gdańska, również z miastenią, na diagnozę czekała cztery lata. Ale nawet teraz, gdy trafia do szpitala z innymi problemami, musi z uporem przekonywać personel, na czym polega jej podstawowa choroba i jakich leków nie może przyjmować. – *Ponieważ moje objawy nasiliły się po urodzeniu bliźniaczek, wmawiano mi, że to poporodowe zmęczenie* – opowiada. Była odsyłana do pulmonologa, okulisty, laryngologa, neurolog, psychiatrów, a gdy przywożono ją na SOR, dostawała etykietę pacjentki z nerwicą.

I wreszcie Alicja, córka Pawła Kwietnia z Konina, który prowadził jej dziennik choroby pod nazwą zespół Retta do 63. miesiąca życia. – *Urodziła się zdrowa, zanim skończyła pierwszy roczek, rozwijała się prawidłowo* – wspomina Paweł Kwiecień. Wtedy już zaczęła używać rąk tylko do klaskania, a zamiast pełzać i zabierać się do wstawania, wolała się turlać po podłodze. Zanim rodzice usłyszeli, że były to wczesne oznaki tzw. regresu rozwojowego, dość typowego dla choroby genetycznej u ich dziecka, musiały upłynąć ponad dwa lata – w tym czasie jeździli z Alicją po kraju, szukać ratunku. Potwierdzenie rozpoznania przyszło z Holandii, bo w Polsce nie udało się wykryć mutacji.

Do dziś nie ma na rynku leku, który przywróciłby prawidłowy rozwój ponad 500 takim dziewczynkom żyjącym w Polsce z zespołem Retta. Ale jak podkreśla pan Paweł, który został prezesem stowarzyszenia zrzeszającego rodziny dotknięte tą chorobą, samo uzyskanie diagnozy, nawet przy braku ukierunkowanego na wadliwe geny leczenia, ma sens. – *Dopiero wtedy mogliśmy obrać konkretny sposób działania. Wcześniej zadawaliśmy sobie pytania: co robić, może wszystko się cofnie?*

Te trzy historie pochodzą sprzed 2021 r., zanim Ministerstwo Zdrowia wprowadziło pierwszą wersję Krajowego Planu dla Chorób Rzadkich (liczył on 85 stron i zakończył się w 2023 r.). Druga wersja obowiązywała w latach 2024–25 (już tylko 35 stron), a obecna – przyjęta tylko na bieżący rok – zawiera stron 25. Żaden z tych dokumentów nie poprawił radykalnie sytuacji pacjentów. Owszem, w niektórych chorobach pojawiły się nowatorskie leki, które otrzymały refundację i nie trzeba już urządzać społecznych zbiórek, by sprowadzać je z zagranicy – ale ta realna pomoc obejmuje zaledwie 2–3 proc. chorych spośród trzech milionów.

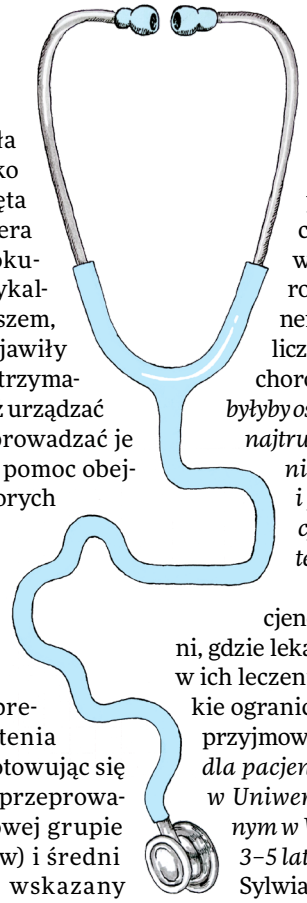

Pozostali mogą liczyć tylko na wielospecjalistyczną opiekę, a wcześniej na diagnostykę, na którą wciąż trudno się doczekać. Sylwia Łukomska, założycielka i prezes Stowarzyszenia Miastenia Gravis Face to Face, przygotowując się do rozmowy z POLITYKĄ, przeprowadziła sondaż na facebookowej grupie wsparcia (3,5 tys. członków) i średni czas diagnozy miastenii, wskazany przez respondentów, to nadal dwa lata. – *Ucieszyłam się, że co trzeci pacjent otrzymuje ją teraz nawet w ciągu trzech miesięcy, ale co czwarty błąkał się po przychodniach powyżej dwóch–trzech lat* – mówi. Równie zła sytuacja jest u pacjentów z chorobą genetyczną von Hippel-Lindau, która atakuje wiele narządów (od móżdżku i rdzenia kręgowego, po nadnercza, nerki i wzrok), więc wymagają oni skoordynowanej pomocy, a o taką właśnie najtrudniej. – *Na własną rękę szukam terminów u okulistów, urologów, neurochirurgów, endokrynologów* – wylicza Krystian Ślęzak, który otrzymał diagnozę w 2019 r. – *Brak wymiany informacji. Dokumentacja medyczna między specjalistami z różnych placówek nie krąży, co prowadzi do powielania badań, a nawet przeoczenia zmian nowotworowych.*

Magiczny plan, tylko nie leczy

Eksperci mówią wprost: „Najbardziej doskwiera brak wspomnianych ośrodków eksperckich, które miały być fundamentem systemu – formalnie nigdy nie nadano im krajowego statusu ani stabilnego finansowania. To sztuka utrzymywania pozorów, bo Ministerstwo Zdrowia zasłania się od dwóch lat potrzebą znowelizowania ustawy o świadczeniach zdrowotnych, choć po prostu brakuje na nie pieniędzy.

– *Powinniśmy zbudować piramidę opieki* – tłumaczy prof. Anna Kostera-Pruszczyk z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, neurolog zajmująca się chorobami nerwowo-mięśniowymi (to najliczniejsza grupa schorzeń wśród chorób rzadkich). – *Na jej szczycie byłyby ośrodki eksperckie zajmujące się najtrudniejszą diagnostyką, ale pod nimi musi istnieć sieć lekarzy i placówek, które prowadzą pacjentów na co dzień. Inaczej system bardzo szybko się zapcha.*

Dziś właśnie to się dzieje. Pacjenci trafiają do zwykłych poradni, gdzie lekarze nie mają doświadczenia w ich leczeniu. Z kolei kliniki akademickie ograniczają limity i nie są w stanie przyjmować wszystkich. – *W kluczowej dla pacjentów z miastenią przychodni w Uniwersyteckim Centrum Medycznym w Warszawie na wizytę czeka się 3–5 lat, w Gdańsku 1–2 lata* – mówi Sylwia Łukomska. – *Pacjent z chorobą rzadką nie zawsze musi co 3–6 miesięcy jeździć do Warszawy* – argumentuje z kolei prof. Kostera-Pruszczyk. Byłoby łatwiej, gdyby chorzy mieli wreszcie założone e-Karty – z najważniejszymi informacjami na swój temat dla lekarzy rodzinnych i specjalistów z lokalnych szpitali, a ci w sytuacjach wątpliwych mogliby telefonicznie lub internetowo konsultować się z ekspertami.

– *Dziś taka możliwość jest iluzoryczna* – wyjaśnia dr Paulina. – *Z własnego doświadczenia wiem, jak to wygląda: nikt nie odbiera telefonu albo słyszymy, że nie ma czasu* – opowiada. Brak zorganizowanego systemu sprawia, że zamiast krótkiej rozmowy lekarz–lekarz pacjent bywa odsyłany z wypisem i transportowany karetką do innego szpitala. W medycznym żargonie nazywa się to „podrzutem". Zdaniem lekarki takie sytuacje wynikają nie ze złej woli, lecz z braku struktury: lekarze nie wiedzą, gdzie i w jakich godzinach mogą zadzwonić, czy w ogóle ktoś jest zobowiązany taką konsultację z nimi przeprowadzić.

Prof. Kostera-Pruszczyk zaznacza, że w praktyce nieformalne doradztwo już dziś się odbywa – eksperci z ośrodków referencyjnych starają się odbierać telefony z całej Polski i pomagają podejmować decyzje diagnostyczne lub terapeutyczne. Czasem wystarczy wskazać konkretne

eprasa.pl 7f01362802

badania, zalecić podanie określonego leku i ponowny kontakt za kilka dni, a tylko w części przypadków pacjent musi pilnie trafić do ośrodka specjalistycznego. Jak podkreśla profesor, dzięki zdalnej poradzie nawet trzy czwarte spraw można by rozwiązać bez konieczności podróży chorego przez pół kraju. Problem w tym, że system tego nie widzi: konsultacji lekarz–lekarz formalnie nikt nie rozlicza.

A powinny zostać wreszcie usankcjonowane – z konkretnymi godzinami dostępności ekspertów, odpowiednim kodowaniem świadczeń i finansowaniem pozwalającym zatrudniać dodatkowy personel wspierający lekarzy.

Na razie jednak w tym bałaganie organizacyjnym nie wiadomo, ile państwo na choroby rzadkie wydaje! Nikomu nie przyszło do głowy, by to policzyć. W budżecie NFZ nie ma wydzielonej pozycji „choroby rzadkie", a są one rozproszone na wiele specjalności: m.in. neurologię, hematologię, reumatologię, onkologię, pediatrię. – *Od dawna nie możemy doprosić się o utworzenie rejestrów pacjentów* – mówi Stanisław Maćkowiak, prezes Krajowego Forum na rzecz Terapii Chorób Rzadkich ORPHAN. – *Więc jakim cudem ktokolwiek może wiedzieć, ile nas ich leczenie kosztuje?*

W rankingu dziesięciu najbardziej kosztownych programów lekowych w zakresie chorób rzadkich na pierwszym miejscu znajduje się 560 mln zł wydane na leki dla ok. 1,1 tys. pacjentów z mukowiscydozą, następnie 466 mln zł na leki w rdzeniowym zaniku mięśni. Jeżeli przeliczymy wydatki na jednego pacjenta, najbardziej kosztownym programem lekowym w chorobach rzadkich jest leczenie pierwotnej hiperoksalurii typu 1, gdzie NFZ wydaje rocznie ok. 2 mln zł na jednego z ośmiu leczonych pacjentów. Na jednego z 13 chorych z chorobą Hurler – 1,1 mln zł, a na jednego z 10 z rodzinną cholestazą wewnątrzwątrobową – 1 mln zł.

Na wszystkie 72 programy lekowe w obszarze chorób rzadkich NFZ wydał w 2023 r. – 3,6 mld zł (co stanowiło 36 proc. całej sumy wydanej wówczas na wszystkie programy lekowe). Nikt nie zlicza kosztów refundacji innych leków, hospitalizacji ani świadczeń ambulatoryjnych. Członkowie Rady ds. Chorób Rzadkich nigdy nie otrzymali takich informacji od przedstawicieli resortu.

Choroby rzadkie są najczęściej postrzegane głównie przez pryzmat ekonomii. Za co płacimy, co jest w tym wypadku sukcesem terapii, jeśli pacjenta wyleczyć się nie da? Dylemat, który trzeba rozwiązać, jest właściwie nie do rozwiązania: finansować jeden lek w rzadkiej chorobie dla garstki chorych, czy tę samą kwotę wydać na implanty i szczepionki dla połowy populacji? Z drugiej strony, jakim prawem oszczędzać na kilkunastu chorych z jednym wrodzonym zaburzeniem, a leczyć kilkudziesięciu lub kilkuset innych? Spór o choroby rzadkie jest więc sporem moralnym. Bo nawet jeśli istnieją możliwości terapii, to jakie zasady postępowania przyjąć, równe w stosunku do wszystkich?

Ale choć pieniądze są koniecznym warunkiem do rozwiązania tego problemu, to nie jest on wystarczający – dobra opieka nie ogranicza się do podawania drogich (bo rzadkich) leków, potrzebna jest rehabilitacja i pomoc socjalna dla pacjentów i opiekunów. Tymczasem między sektorem ochrony zdrowia a zabezpieczeniem społecznym nie ma żadnej koordynacji. Ciężar opieki zmusza aż 67 proc. opiekunów, głównie matek, do rezygnacji z pracy, gdyż to one w zastępstwie profesjonalnych służb stają się koordynatorkami leczenia i opieki dla własnych dzieci. To sam pacjent, a najczęściej jego opiekun, staje się posłańcem, który musi przenieść informacje na swój temat z instytucji medycznej do ośrodka pomocy społecznej, skąd powinien otrzymać wsparcie w codziennym życiu. Jego losem mało kto się jednak interesuje.

Dlaczego państwo nie nadąża

W praktyce wiele zadań, które powinny wykonywać instytucje publiczne, przejmują pacjenci i ich rodziny. Tworzą stowarzyszenia, budują sieci kontaktów z lekarzami i przekazują wiedzę tym, którzy dopiero zaczynają swoją drogę z chorobą. To oni stają się przewodnikami po skomplikowanym systemie.

Tak jest choćby w przypadku zespołu Retta. – *Jednym z naszych priorytetów było po prostu upowszechnienie wiedzy* – opowiada Paweł Kwiecień. Z czasem zaczęło to przynosić efekty: dziś wielu lekarzy, gdy rozpoznaje ten zespół, kieruje rodzinę nie tylko na leczenie, ale także do stowarzyszenia. Organizacja prowadzi też nieformalną linię wsparcia. W bazie stowarzyszenia jest już ok. 300 rodzin, a doświadczenie często pozwala szybciej znaleźć odpowiedniego specjalistę niż oficjalne ścieżki systemu.

Wspólnie z medykami przygotowali m.in. specjalny dzienniczek napadów padaczkowych, w którym rodzice zapisują ich przebieg. Dzięki temu neurolog, który otrzymuje taką dokumentację, może zobaczyć pełny obraz choroby. W opracowaniu jest także polska wersja ankiety diagnostycznej opartej na wzorcach australijskich, która u lekarza pierwszego kontaktu pozwalałaby zidentyfikować zespół Retta i skierować dziecko od razu do specjalisty zamiast do przypadkowej poradni. Kwiecień marzy o stworzeniu sieci przynajmniej sześciu ośrodków eksperckich, które zapewniałyby kompleksową opiekę, w tym dostęp np. do chirurgów kręgosłupa umiejących operować skoliozy neurogenne.

Sylwia Łukomska też marzy o ośrodkach eksperckich dla pacjentów z miastenią, bo jednym z najpilniejszych problemów pozostaje brak wiedzy o chorobie wśród personelu medycznego w mniejszych miastach, zwłaszcza w sytuacjach nagłych. W miastenii istnieje długa lista leków przeciwwskazanych, o których ratownicy i lekarze powinni wiedzieć. – *Sama kilkakrotnie na oddziale ratunkowym miałam zlecony dożylnie magnez, który powinien być przeciwwskazany* – wyjaśnia. Pani Sylwia uczestniczy w webinarach dla młodych neurologów i diagnostów, gdzie tłumaczy im to, czego być może nie doczytali na studiach – jak objawy miastenii bywają niespecyficzne i zmieniają się w ciągu dnia.

Okazuje się więc, że gdy chorzy i ich bliscy organizują się oraz zaczynają współpracować z lekarzami, możliwe staje się tworzenie lepszych rozwiązań. Tak stało się w dobrze zorganizowanej opiece nad dziećmi z neurofibromatozami – za sprawą determinacji rodziców powstał model, którego zazdroszczą im inni. I to najlepiej oddaje paradoks polskiego systemu leczenia chorób rzadkich: wciąż się tworzy – ale głównie dzięki desperacji samych pacjentów.

PAWEŁ WALEWSKI



eprasa.pl 7f01362802

W wojsku żartują, że Polska kupiła śmigłowce Apache, a będą na nich latać sami kowboje. Obyśmy nigdy nie musieli oglądać tego westernu na żywo.



Kowboje i Apache

JULIUSZ ĆWIELUCH

Z daleka wygląda jak wielki owad. Z drapieżnym pyskiem, zgrabnym odwłokiem i nienaturalnie chudym, długim ogonem. W locie Apache ma więcej gracji. Coś jak ważka. Tak samo zwinny, tyle że głośny. Przynajmniej jak nad tobą leci, bo już 50 m dalej dźwięk jest przytłumiony, a 100 m dalej trudno się nawet domyślić, co to jest i skąd dochodzi. To za sprawą specjalnej konstrukcji łopat wirnika. Lekkie ścięcie płata dało ten niezwykły efekt akustyczny.

Same płaty też są niezwykłe, bo skonstruowane z włókna szklanego, że nawet kilkakrotnie przestrzelone mają pozwolić na dalszy lot. Przynajmniej tak długi, żeby załoga dała radę odlecieć od zagrożenia. To jedna z wielu supermocy śmigłowca, za który zapłaciliśmy rekordową kwotę ponad 10 mld dol. za 96 maszyn. To najdroższy kontrakt w historii Polski na zakup jednego typu uzbrojenia. W fali słowotoków i przemów, kiedy podpisywany był kontrakt na Apache'e, najbardziej przebiło się to, co powiedział wiceminister obrony narodowej Paweł Bejda: „Te 10 miliardów dolarów to jest ubezpieczenie naszego państwa, ubezpieczenie naszej wolności".

Stan bardzo przejściowy

Z raportu o stanie miasta Inowrocław wynika, że przyrost naturalny w 2025 r. był na poziomie minus 277 osób. Przez dekady ubytek mieszkańców liczyć trzeba w dziesiątkach tysięcy. Przez lata razem z miastem obumierała również pobliska jednostka wojskowa – najpierw 56 Kujawski Pułk Śmigłowców Bojowych, później 56 Baza Lotnicza. Baza, nie pułk, bo Inowrocław z dumy szturmowego lotnictwa śmigłowcowego zamieniał się powoli w muzeum. Na płycie lotniska wielozadaniowe Mi-2 stały obok szturmowych Mi-24. I tak niemal od 50 lat. Pierwsze Mi-2 trafiły do Inowrocławia w 1973 r. Mi-24 zaledwie pięć lat później. Kiedy pozostałe rodzaje lotnictwa przechodziły na nowy sprzęt, w Inowrocławiu nadal było jak za Gierka.

Kto z wojskowych trafił do Inowrocławia, kombinował, jak się stamtąd wyrwać, bo szybko i łatwo można było stracić nie tylko zapał, ale też perspek-

© LESZEK ZYCH (3)

eprasa.pl 7f01362802

tywę. W 2011 r. odbyło się ostatnie strzelanie z Mi-24 kierowanymi pociskami przeciwpancernymi.

Wojna w Ukrainie dobiła wszelkie pomysły na utrzymanie Mi-24 w linii. Okazało się, że można zapomnieć nie tylko o rakietach, ale również o częściach zamiennych. W efekcie latało się od święta. A im mniej się latało, tym bardziej wokół lotniska zaciskała się pętla mieszkalnictwa jednorodzinnego. Piloci przelatywali nad nowo budowanymi domkami i zastanawiali się, kiedy ta fala ich zaleje. Na falę optymizmu jakoś mało kto liczył, bo program o kryptonimie Kruk na zakup nowego śmigłowca szturmowego ciągle był priorytetowy i ciągle nie był realizowany. Nawet wojna w Ukrainie nie stała się przełomem. Kiedy piloci pytali, co z Krukiem, żartownisie odpowiadali, że ciągle niewysiedziany.

13 sierpnia 2024 r. minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz podpisał z rządem Stanów Zjednoczonych umowę na zakup 96 maszyn. Plus umowy offsetowe na obsługę kluczowych podzespołów. Historyczny podpis złożono w 56 Bazie Lotniczej w Inowrocławiu. To tu stacjonować ma jedna z trzech eskadr, które latały będą na Apache'ach.

Uśmiech mówi wszystko

Przez lata nie było kolejek do odwiedzania bazy w Inowrocławiu. 16 czerwca 2025 r. do Inowrocławia przyleciały pierwsze Apache'e i chętnych do odwiedzin pojawiło się sporo. Tyle że wtedy niechętnie już wpuszczali.

Dziś jednostka jest w zawieszeniu. Niby ma już pierwszych osiem wyleasingowanych w Stanach Apache'y. Ale ciągle czeka na poważne inwestycje, bo bazę trzeba właściwie zbudować od podstaw. Nowoczesne śmigłowce wymagają również nowoczesnych hal serwisowych, hangarów. Samych pilotów trzeba na dzień dobry wyszkolić ponad 200. Docelowo 400. Personelu naziemnego dwa razy więcej. Gdzieś trzeba ich zakwaterować, stworzyć im warunki do pracy. Dziś w jednostce trudno liczyć nawet na porządną kawę. W pokoiku dla gości jest co prawda ekspres, ale z oszczędności nikt go nie włącza.

Apache'e, które już są w Inowrocławiu, to śmigłowce w wersji AH-64D. Z wierzchu niemal identyczne jak te, które kupiła Polska. Ale w środku to dwie różne



Wyleasingowane od Amerykanów śmigłowce Apache w bazie w Inowrocławiu. To na nich szkolą się przyszli piloci przygotowywanych eskadr.



epoki sprzętu. Kluczową różnicą jest brak bulwiastego radaru nad wirnikiem starszych maszyn. O tym wszystkim opowiada nam jeden z techników. Ale nie można podać jego nazwiska, a nawet imienia. Nie można go również fotografować. Ani opisywać w sposób pozwalający na identyfikację. Tego, jak obsługiwać Apache'e, uczył się w Stanach. Teraz obsługuje je w Polsce i uczy innych. Jaka jest różnica między śmigłowcami, które naprawiał wcześniej, a tym?

Szerokość uśmiechu mówi właściwie wszystko. Ale cierpliwie tłumaczy, że nawet idea budowy tej maszyny jest różna od tego, co robili konstruktorzy radzieccy. Tamci silniki zabudowali, a Amerykanie eksponują. W efekcie łatwiej dokonać napraw, również w warunkach doraźnych. ▶

eprasa.pl 7f01362802

▶ Każdy element maszyny jest dostępny właściwie od ręki. Nie trzeba głęboko grzebać, rozmontowywać połowy podzespołów. Ma być prosto i szybko. Czy w kabinie też jest tak prosto i szybko, nie można się przekonać, bo dziennikarze mają zakaz zaglądania do środka. Wannę, czyli opancerzoną skorupę, w której siedzą piloci, można oglądać tylko z zewnątrz. Biorąc pod uwagę, że piloci wsiadają do maszyny z własnymi laptopami, to prosto raczej nie jest. Komputery, sensory to mózg, ale i serce tej maszyny. Pilot jest dodatkiem. Jak mówią piloci – również anonimowi – maszyna sama nie lata. Lecz pozostawia wiele miejsca na to, żeby skupić się na robocie. A robota to szukanie i niszczenie wroga. I o tym piloci opowiadają bez ogródek. To też zmiana. Kiedyś temat był delikatny. Wykonywało się misję. Eliminowało cele. Dziś o walce mówi się bardziej otwarcie, w takim duchu byli też szkoleni w Stanach.

Święta procedura

Z lataniem jest na razie po aptekarsku. Polacy, nawet po szkoleniu w Stanach, w Polsce dalej latają z instruktorami zagranicznymi. W kwietniu odbył się pierwszy samodzielny lot polskiej załogi. Ale to nie jest codzienność. Codziennością jest, że Polacy wsiadają do kabiny z dużo bardziej doświadczonymi pilotami z zagranicy. Sądząc po akcencie, część jest ze Stanów, część z Wielkiej Brytanii. Ale to też tajemnica. Sami nic nie powiedzą, bo nawet nie podchodzą do dziennikarzy. Zamiast tego metodycznie otwierają wszystkie możliwe klapki, szarpią za każdy ruchomy element śmigłowca. Technicy przed chwilą robili to samo. Ale nikt się nie obraża. Procedura jest święta.

Najpierw sprawdza technik, później sprawdza pilot. To budowanie nawyków. Jak będzie wojna, pilot musi umieć poradzić sobie sam. Maszyna jest zaprojektowana na dużą przeżywalność załogi. Kabina jest opancerzona, a podwieszone pod kadłubem działko 30 mm ma się oderwać tak, żeby nie przebić spodu śmigłowca. Amortyzacja kół ma ratować załogę przed zabójczą siłą uderzenia. Wiadomo, piloci muszą przeżyć.

Dziś dla wojskowych nie jest tajemnicą, że w razie wojny z lotniska w Inowrocławiu pewnie niewiele zostanie. Dlatego wcześniej cały sprzęt ma być przegrupowany w inne miejsce. Tylko czy posiadacze tych wszystkich domków obok mają o tym pojęcie? ■



Gen. bryg. Krzysztof Zwoliński o tym, po co tak naprawdę potrzebne są Apache'e.

Niszczyciele dronów

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Co pan ma z tymi śmigłowcami. Wszyscy szli do Dęblina, żeby latać na myśliwcach, a na śmigłowce szło się za karę, a u pana na odwrót.**

KRZYSZTOF ZWOLIŃSKI: – To zaczęło się we wczesnym dzieciństwie. W okolicy, skąd pochodzę, trwał kolejny etap elektryfikacji kraju. Do dziś pamiętam widok Mi-6, które przenosiły wielkie stalowe słupy. Byłem zafascynowany tym, że mogły wylądować niemal w każdym miejscu, a te wielkie konstrukcje przenosiły jak piórko. To mnie urzekło.

A mnie się wydawało, że pana marzenie to latać na śmigłowcach Apache, przynajmniej tak pan kiedyś mówił.

Paradoks polega na tym, że przesłużyłem w armii ponad 30 lat i przez ten czas w wojskowym lotnictwie śmigłowcowym trwał impas w zakupach. Kupiliśmy samoloty F-16, M-346, lotnictwo transportowe otrzymało samoloty CASA. A u nas był totalny zastój, co wywoływało smutek i nawet czasami zwykłą zazdrość. A co do Apache'y, to kolejny paradoks polega na tym, że wraz ze swoim zespołem z Zarządu Lotnictwa Śmigłowcowego nadzoruję i koordynuję proces wdrażania tych maszyn do polskiej armii, ale nigdy nie będę nimi latał. I choć nie czuję się starym, tylko raczej doświadczonym lotnikiem, to jest to zadanie dla zdecydowanie młodszych ode mnie.

A nawet dużo młodszych, bo nieźle pan nawywijał. W zasadzie stawiając do góry nogami cały system szkolenia polskich pilotów. Pomysł można skrócić do frazy, że do pilotowania Apache'y potrzebujemy więcej Indian, a mniej wodzów.

Rzeczywiście to zgrabne. W sumie do tego się to sprowadza. Obecny system szkolenia pilotów, zarówno samolotów, jak i śmigłowców, jest długotrwały i oparty na kształceniu jedynie kadry oficerskiej. Słowem, każdy, kto jest absolwentem szkoły lotniczej w Dęblinie, jest oficerem, czyli przyszłym wodzem. Dotychczasowy system to niemal 55 miesięcy edukacji, która właściwie jest dopiero wstępem do przeszkolenia pilota na docelową platformę.

Ten wojskowy żargon jest przytłaczający, a tak po ludzku?

Tak po ludzku, to po tym czasie wiemy jedynie, że potrafi latać. Niestety nie wiemy, czy ma predyspozycje, by strzelać, desantować, wykonywać loty z wykorzystaniem maskujących właściwości terenu etc. Ale trzeba przejść cały ten proces szkolenia. Obecnie kandydaci na pilotów realizują szkolenie na śmigłowcach Robinson R44 i Guimbal Cabri G2, a następnie na Mi-2 i SW-4. Należy zauważyć, że zarówno Mi -2, jak i SW-4 to śmigłowce z poprzedniej epoki, z analogowym wyposażeniem awionicznym i bez uzbrojenia pokładowego, śmigłowce, na których z powodzeniem można nauczyć się latać, jednak w minimalnym stopniu przygotowują do realizacji zadań na nowoczesnych platformach śmigłowcowych.

To wróćmy do kwestii czasu. O ile chciałby pan skrócić szkolenie w tym nowym systemie?

Może nie skrócić, bo to się trochę źle może kojarzyć – zoptymalizować. Potrzebujemy systemu, który kształcił będzie pilotów wojowników, a nie takich, których właściwie od podstaw trzeba uczyć w jednostce bojowego fachu. Nie mamy już czasu na taką ścieżkę szkolenia.

Z naszego programu wynika, że ten czas może zostać zmniejszony prawie o połowę w stosunku do obecnego. Będziemy szkolić pilotów niemal dwa razy szybciej, bo w mniej więcej 22 miesiące w przypadku podoficerów już pełniących zawodową służbę wojskową lub 27 miesięcy

© POLSKA ZBROJNA

eprasa.pl 7f01362802

– kandydatów ze środowiska cywilnego. I to już się dzieje. Obecnie dwóch pierwszych podoficerów powinno zakończyć szkolenie w październiku przyszłego roku.

Dwóch powiada pan. Tylu potrzeba na jeden śmigłowiec. A co z resztą?

O resztę też dbamy. Już mamy pilotów, którzy nie tylko przeszli szkolenie, ale w kwietniu w Inowrocławiu całkowicie polska załoga odbyła pierwszy lot na wyleasingowanych maszynach. Mamy również w Polsce instruktorów z USA. My wiemy, że czas to nie tylko pieniądz, ale też bezpieczeństwo Polski.

96 maszyn nie oznacza, że potrzebujemy 192 pilotów, ale co najmniej 250. Może tych śmigłowców zamówiliśmy po prostu za dużo. Będziemy drugim użytkownikiem po Stanach Zjednoczonych.

Postaram się odpowiedzieć tak, żeby za dużo nie zdradzać, a jednak coś wytłumaczyć. Śmigłowce uderzeniowe kojarzone są zasadniczo ze wsparciem działań Wojsk Lądowych. Ale po Ukrainie i konflikcie na Bliskim Wschodzie widać, że wojna się zmienia. Coraz mocniej do gry wchodzą drony. I tu Apache wbrew temu, co głoszą różnego rodzaju pseudospecjaliści, jest wyjątkowo skuteczny, więc potrzebujemy ich więcej, a nie mniej. Prawda jest taka, że na dziś zdolności uderzeniowe będziemy budować praktycznie od zera. Mi-24 to sprzęt, który stracił już swój potencjał i przydatność.

Mówi pan, że Mi-24 są przestarzałe. Ale pomiędzy ich wejściem do służby a użyciem Apache'y jest zaledwie 13 lat różnicy.

To prawda. Mi-24D wszedł na wyposażenie lotnictwa ZSRR w 1976 r., a Apache swój chrzest bojowy odbył w 1989 r. Co do Mi-24, to znam możliwości tej konstrukcji, już sam przelot nad poligonem potrafił „schować" żołnierzy w okopach, a i ilość przenoszonego uzbrojenia robiła duże wrażenie. Ale to już przeszłość. Dziś liczą się nie masa i siła, lecz skrytość działania, elastyczność, zaskoczenie i precyzja rażenia.

Przecież to kawał śmigłowca.

Na Mi-24 poniżej 100 km/godz. człowiek zaczynał się zastanawiać, czy nie spadnie jak kamień. A Apache potrafi jak akrobata robić takie manewry, że aż dech zapiera. W zawisie jest jak przyklejony do nieba. Apache potrafi dosłownie schować się za przeszkodami terenowymi, a załoga i tak będzie miała pełną wiedzę na temat ugrupowania przeciwnika. Wystarczy, że nieznacznie wychyli powyżej miejsca swojego ukrycia radar pola walki umieszczony nad wirnikiem nośnym. Ja bym mógł tak godzinami opowiadać.

Śmiało. W internecie można wyczytać, że Polska kupiła stary złom.

Racjonalność projektu i konstrukcji Apache'a polega również na tym, że w tym samym płatowcu można wraz z postępem technologicznym wymieniać poszczególne urządzenia śmigłowca, czyli to, co dziś jest sercem każdej maszyny pola walki: sensory i ich systemy sterowania. To nie jest przypadek, że do tego śmigłowca pilot wsiada z komputerem w ręku. Jest bardziej zarządzającym polem walki niż pilotem. Nie dość, że dostaje wiele wartościowych operacyjnie danych z własnego radaru, to poprzez system Link 16 otrzymuje jeszcze całe mnóstwo informacji z innych platform bojowych, co pozwala na pełną współpracę z każdym rodzajem wojsk. Apache sprzed 30 lat i sprzed 3 miesięcy może i jest wizualnie podobny, ale możliwości jednej i drugiej maszyny to przepaść.

Coś jak z samochodem Golf, że niby I i VI to dalej Golf, a jednak to auta z różnych epok motoryzacji?

Bardzo upraszczając, tak. AH-64E, który zamówiliśmy, to bez wątpienia najlepszy i najnowocześniejszy śmigłowiec uderzeniowy na świecie. Odrobinę zazdroszczę moim młodszym kolegom pilotom, że będą mogli na nich latać, bo to, o czym marzyłem lata temu, właśnie staje się faktem. Jedno jest pewne, dostają w swoje ręce doskonałe narzędzie walki.

Trudno, żeby pan nie chwalił własnych decyzji.

Jak wspomniałem wcześniej, nic w SZ RP nie dzieje się jednoosobowo. Decyzja wypracowywana była przez wiele osób i przez wiele lat.

Zrozumiałem aluzję. Śmigłowce miały być kupione już po aneksji Krymu w 2015 r. Ostatecznie procedura została przeciągnięta do 2024 r. Dziewięć lat. Dziś mielibyśmy już pierwsze eskadry w szyku bojowym, a tak poczekamy na to do co najmniej 2035 r.?

Nie było żadnej aluzji. Rzeczywiście szkoda, że decyzja nie zapadła szybciej. Ale skupiam się na tym, że zapadła. Już mamy w Polsce osiem leasingowych Apache'y w wersji AH-64D, które służą nam do szkolenia. Dostawy docelowych w wersji AH-64E, czyli tych najnowocześniejszych na świecie, zaczną się w 2028 r., a zakończą w 2032 r. To, kiedy będą w stanie realnie wejść do służby operacyjnej, wynika z wielu czynników i trudno dzisiaj podać konkretną datę.

40 mld zł to kwota, której ludzie nie potrafią zapisać, bo tyle tam zer. A jednocześnie jeden dron i po śmigłowcu.

Po pierwsze, w tej kwocie mieści się również imponujący zestaw uzbrojenia, ale to informacje tajne, więc nic więcej nie powiem. Po drugie, nasycenie pola walki dronami tym bardziej przekonało nas, że zakup AH-64E ma sens. Śmigłowiec wyposażony jest w radar, który pozwala na obserwację terenu nie na 8, jak w starszych wersjach, ale na 16 km. Radar pracuje nie tylko w trybie powietrze–ziemia, ale też dodatkowo powietrze–powietrze i powietrze–woda. To plus odpowiednie uzbrojenie powoduje, że Apache'e potrafią skutecznie niszczyć drony. Zresztą same będą wspierały swoje działania współpracą z dronami, bo również takie mają możliwości. Możliwości, które na bieżąco są udoskonalane i poszerzane.

Ukraińcy już odnotowali jedno strącenie śmigłowca za pomocą drona.

No właśnie jedno. A to przecież nie była maszyna o możliwościach porównywalnych z tymi, jakie ma Apache. Cierpliwie słucham różnego rodzaju specjalistów od bycia specjalistami, którzy opowiadają to i owo o tym, jak to drony zmieniły wszystko. Dronami wojen się nie wygrywa. Przynajmniej jeszcze nie dziś i pewnie jeszcze nie za parę lat. Po drugie, nie ma dzisiaj lepszego niszczyciela dronów niż Apache. Piloci są wyposażeni w nahełmowy system celowania IHADSS, nazywany monookularem, który pozwala na sterowanie działkiem poprzez ruch głowy pilota. Ten system celowania jest niezwykle prosty, sprawny i skuteczny. Dodatkowo do 30-milimetrowego działka została już opracowana i pozytywnie przetestowana amunicja rozpryskowa. Za kilkaset, a nie kilkaset tysięcy, dolarów pozwala skutecznie niszczyć drony. Amerykanie już to po prostu robią. Do tego dochodzą stosunkowo tanie, ale bardzo skuteczne naprowadzane laserowo rakiety 70 mm systemu APKWS, które doskonale radzą sobie z większymi dronami z odpowiednio bezpiecznej odległości. I to nie rakietami za miliony.

Ile godzin może pan tak chwalić tę maszynę?

Wiele. Ale nie mam czasu na gadanie, czeka nas ciężka praca, bo może się okazać, że czasu jest naprawdę mało. ■

eprasa.pl 7f01362802

Gaszenie e-papierosów

Jednorazowe e-papierosy mają zostać zakazane, ale już teraz prawie zniknęły z rynku. Legalnego, bo w internecie i szkołach sprzedaż niebezpiecznych chińskich produktów kwitnie.

CEZARY KOWANDA

Ostatnie lata to triumfalny pochód jednorazowych e-papierosów. Instytut Prognoz i Analiz Gospodarczych szacował w 2023 r., że takich produktów rocznie sprzedaje się już w Polsce ok. 100 mln sztuk, biorąc pod uwagę zarówno legalny obrót, jak i czarny rynek. Jednak w połowie ubiegłego roku rząd wymierzył jednorazówkom potężny cios, wprowadzając na nie specjalną akcyzę w wysokości 40 zł za sztukę, powiększoną jeszcze o VAT. Popularne zwłaszcza wśród młodych jednorazowe e-papierosy kosztowały wcześniej ok. 25–30 zł, ale po doliczeniu nowego podatku zdrożały do ponad 80 zł. Efekt? Ich sprzedaż natychmiast się załamała. Jak wynika z danych Centrum Monitorowania Rynku, w pierwszej połowie ubiegłego roku sprzedawano w Polsce ok. 4 mln jednorazowych e-papierosów miesięcznie. W sierpniu, gdy importerzy pozbywali się jeszcze zapasów nieobjętych nową akcyzą, Polacy kupili niemal 5 mln takich produktów. We wrześniu sprzedaż spadła do zaledwie 200 tys., a w kolejnych miesiącach jeszcze się zmniejszyła. Teraz wynosi po kilkadziesiąt tysięcy sztuk miesięcznie.

Oczywiście nie oznacza to, że takie e-papierosy zniknęły z Polski. Intensywnie rozwija się czarny rynek, chociaż trudno ocenić jego skalę. – *Wcześniej szacowaliśmy, że to ok. 15–20 proc. sprzedaży wszystkich e-papierosów w Polsce. Teraz mówi się już o 60 proc. Mamy grupy przestępcze, które sprowadzają jednorazówki z Chin, a potem dystrybuują je w naszym kraju. Ogłoszenia zamieszczane są w sieciach społecznościowych. Takie e-papierosy są zresztą zupełnie inne od tych w legalnym obrocie. Jednorazówki dopuszczone do sprzedaży w sklepach pozwalają średnio*

eprasa.pl 7f01362802

na 500–600 zaciągnięć. Tymczasem te na czarnym rynku mają znacznie większą pojemność, która wystarcza nawet na 20–30 tys. zaciągnięć – mówi Maciej Powroźnik, prezes Związku Pracodawców Branży Vapingowej.

Planowany zakaz sprzedaży formalnie zatem niewiele zmieni. Legalne e-papierosy jednorazowe już teraz są zupełnie nieatrakcyjne, skoro dużo taniej można kupić produkty pozwalające na znacznie dłuższe użytkowanie. Co prawda nielegalnie, ale bez większego problemu. Oferty znajdują się zwłaszcza na komunikatorze Telegram, który władzom jest bardzo ciężko kontrolować. Jednorazówki są lubiane zwłaszcza przez młodych, bo można wybierać spośród bardzo wielu wariantów smakowych, nie trzeba ich doładowywać ani niczego w nich wymieniać. Zużyte wyrzuca się po prostu do kosza, chociaż właściwie nie wolno, bo to elektroodpady i powinny trafić do specjalnego pojemnika albo PSZOK-u.

Z badań przeprowadzonych dwa lata temu przez szczeciński oddział Stowarzyszenia Walki z Rakiem Płuca wynikało, że ponad trzy czwarte uczniów szkół podstawowych i średnich (w wieku pomiędzy 13 a 19 lat) ma już za sobą inicjację nikotynową, a blisko połowa deklaruje codzienne używanie e-papierosów. Jednak szkoły to już miejsce nie tylko wapowania, ale także handlu. – *Mamy sygnały o uczniach kupujących tanio większe ilości jednorazowych e-papierosów poprzez platformy internetowe, a potem rozprowadzających je wśród rówieśników ze sporym zyskiem. Wiemy, że są dzieci, które przeznaczają kieszonkowe właśnie na takie zakupy. Chociaż e-papierosy kosztują po kilkadziesiąt złotych za sztukę, dla nastolatków z zamożniejszych domów nie jest to żadna bariera* – mówi Magdalena Zając, przewodnicząca Rady Fundacji Rodzice dla Klimatu.

Jednorazówki sprzedawane na całym świecie pochodzą głównie z Chin, które w 2022 r. zakazały u siebie handlu takimi wyrobami, ale zarabiają na tym, że reszta państw nie potrafi sobie poradzić z tą plagą. Polska próbuje walczyć z nielegalną dystrybucją e-papierosów, ale przy tej skali obrotu efekty nie są oszałamiające. W marcu policja chwaliła się, że udało jej się na Śląsku rozbić grupę przestępczą, zajmującą się sprzedażą płynów i urządzeń do waporyzacji (to fachowa nazwa na używanie e-papierosów). Według śledczych ta grupa mogła wprowadzić na rynek nawet milion sztuk nielegalnych produktów, chociaż udało się zarekwirować tylko 36 tys. sztuk e-papierosów. Przy okazji zatrzymano dziesięć osób, w tym czterech pseudokibiców jednego z górnośląskich klubów. Jak przyznaje policja, towar importowano z Chin, deklarując, że to zabawki lub kosmetyki, a klientów przestępcy znajdowali głównie poprzez portale społecznościowe. W połowie kwietnia, w ramach dużej akcji policji w podwarszawskiej Wólce Kosowskiej, zatrzymano m.in. dwóch Chińczyków, którzy na zapleczu jednego ze sklepów trzymali ponad 4 tys. sztuk e-papierosów bez polskich znaków akcyzy.

Nie znaczy to wcale, że w przypadku e-papierosów sprzedawanych przez legalnie działające podmioty wszystko jest w porządku. W ubiegłym roku Krajowa Administracja Skarbowa przeprowadziła ponad sto kontroli w firmach produkujących lub importujących e-papierosy. Przebadano prawie 1,4 tys. próbek, w ponad tysiącu stwierdzono przekroczenie dopuszczalnej pojemności zbiorniczka z płynem, co oznacza, że zgodnie z przepisami są niebezpieczne i nie wolno ich sprzedawać. Przy okazji urzędnicy wykryli, że w ponad 200 przypadkach w e-papierosach było więcej płynu, niż wynikałoby z deklaracji. A to już

Ile e-papierosów kupujemy legalnie

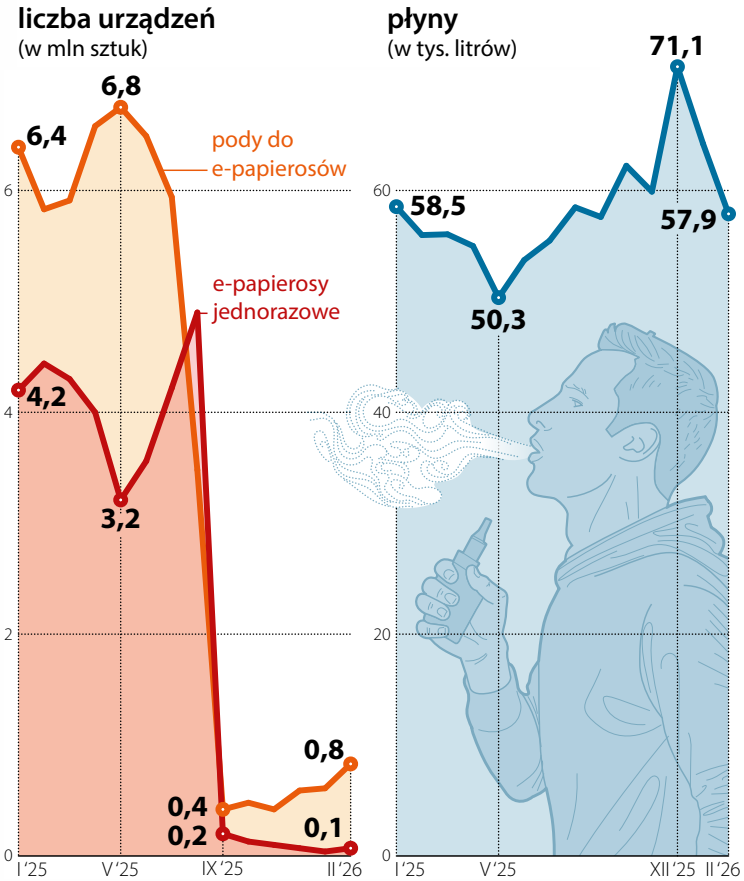

przestępstwo skarbowe, bo w ten sposób zaniża się wysokość płaconych podatków.

Ubiegłoroczne zmiany akcyzowe pogrążyły nie tylko legalne wciąż jednorazówki, ale także pody do e-papierosów. To urządzenia składające się z baterii oraz wymiennego wkładu z płynem. Pody też zostały objęte czterdziestozłotową akcyzą (plus VAT), więc ich legalna sprzedaż również się załamała. W pierwszej połowie ubiegłego roku – jak wynika z danych Centrum Monitorowania Rynku – kupowano ok. 5 mln podów miesięcznie. A jesienią i zimą ich sprzedaż spadła do poziomu kilkuset tysięcy. Teraz jednak rząd rozważa obniżenie akcyzy na pody, chociaż na razie nie wiadomo, czy tak się stanie.

Stosunkowo najmniej na akcyzowej rewolucji ucierpieli ci, którzy korzystają z tzw. systemów otwartych, w których samemu się uzupełnia płyn i w miarę potrzeb wymienia poszczególne elementy urządzenia. Jednak wkrótce i oni mogą zapłacić więcej, bo rząd planuje dużą podwyżkę akcyzy na same płyny – zapewne o 50 proc. Z drugiej strony im wyższe podatki, tym większa pomysłowość w ich omijaniu. Okazało się, że przy kupowaniu zestawu do wapowania trzeba zapłacić akcyzę, ale jeśli poszczególne elementy nabywa się w ramach osobnych transakcji (nawet gdy następują zaraz po sobie), można obejść nową daninę. Stąd często stosowany pomysł na odrębne kupowanie płynu, grzałki i baterii. Złożenie tych elementów w jeden zestaw nie jest skomplikowane, a potencjał oszczędności ogromny. ▶

© VIKTORIA OSTROUSHKO/SHUTTERSTOCK, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 7f01362802

Jednorazówki, pogrzewacze i woreczki



W Polsce pali regularnie ok. 8–9 mln osób. Obok tradycyjnych papierosów uzależnieni od nikotyny mają spory wybór. Nawet gdyby, zgodnie z rządowymi planami, **jednorazowe e-papierosy** zniknęły z rynku, pozostaną na nim **tzw. systemy otwarte i zamknięte**. W tych pierwszych użytkownik samodzielnie wymienia co pewien czas grzałkę i dolewa specjalny płyn (zwany potocznie liquidem). Składa się on z glikolu, gliceryny, nikotyny i aromatów. W przypadku systemów zamkniętych samodzielne dolewanie płynu nie jest możliwe – wymienia się cały wkład złożony z grzałki, zbiorniczka i płynu. Z e-papierosami konkurują **podgrzewacze tytoniu**, w których przypadku kupuje się urządzenie, a potem wymienia wkłady. Sprzedaż tych aromatyzowanych została w tym roku zakazana. Sporą popularnością, zwłaszcza wśród młodych, cieszą się też silnie uzależniające **woreczki nikotynowe** (używa ich publicznie prezydent), wkładane między wargę a dziąsła, co może prowadzić do stanów zapalnych, a nawet nowotworów jamy ustnej. Nielegalny w Polsce pozostaje, kojarzony zwłaszcza ze Szwecją, **snus**, mylony często z woreczkami. Stosuje się go w ten sam sposób, ale w przeciwieństwie do woreczków zawiera tytoń. Wszystkie te produkty są reklamowane jako mniej szkodliwa alternatywa dla tradycyjnych papierosów, która ma pomóc uzależnionym od nikotyny. Takie zamienniki rzeczywiście nie zawierają rakotwórczych substancji smolistych, wdychanych przy paleniu zwykłych papierosów. Nie znaczy to jednak, że są bezpieczne.

▶ E-papierosy to duży rynek, skoro według różnych szacunków wapuje pomiędzy 1,5 a 3 mln Polaków. Handlujący nimi legalnie narzekają, że trudno prowadzić biznes, gdy ciągle zmieniają się zasady gry. Choćby teraz równolegle toczą się prace aż nad trzema różnymi projektami dotyczącymi opodatkowania różnych rodzajów e-papierosów. Równocześnie branża stara się wykorzystywać wszelkie luki w przepisach, których nie brakuje, bo żaden rząd od dawna nie prowadził spójnej polityki antynikotynowej. – *Z jednej strony stoi lobby importerów chińszczyzny, z drugiej – lobby wielkich koncernów tytoniowych, które mają w swojej ofercie zarówno e-papierosy, jak i podgrzewacze tytoniu. I jedni, i drudzy walczą, aby ich produkty jak najmniej ucierpiały na zmianach, więc wskazują głównie na negatywny wpływ na zdrowie wyrobów oferowanych przez konkurencję. W efekcie kolejne produkty uciekają spod akcyzy, zatem rząd przygotowuje nowe przepisy, aby załatać dziury. Ale to producenci są zawsze krok do przodu* – mówi Andrzej Parafianowicz, były zastępca dyrektora Państwowego Zakładu Higieny.

Przykładem takiego chaosu prawno-podatkowego są e-papierosy działające na zasadzie indukcji elektromagnetycznej. Okazało się, że ubiegłoroczna ustawa wprowadzająca czterdziestozłotową akcyzę jest napisana tak, że nie obejmuje tego typu produktów, w przeciwieństwie do popularniejszych e-papierosów, w których płyn jest podgrzewany dzięki grzałce. Teraz Ministerstwo Finansów w szybkim tempie stara się doprowadzić do uchwalenia nowej ustawy, która akcyzą obejmie także e-papierosy indukcyjne oferowane przez jeden z koncernów.

Podatkowe przepychanki to zresztą tylko jeden z dowodów na to, że państwo nie jest w stanie zapanować nad tym rynkiem. Jeszcze poważniejszy problem to brak nadzoru nad tym, co tak naprawdę znajduje się w e-papierosach. Sprzedający je często podkreślają, że to „zdrowsza" alternatywa dla tradycyjnych papierosów, bo nie ma w nich wielu niebezpiecznych substancji smolistych. Uzależnieni od nikotyny, którzy nie są w stanie zerwać z nałogiem, powinni zatem wybierać e-papierosy zamiast zwykłych papierosów. Jednak Światowa Organizacja Zdrowia nie podpisuje się pod stwierdzeniem, że e-papierosy pomagają w zmniejszeniu szkodliwości palenia. Uważa takie tłumaczenie za korzystne dla koncernów tytoniowych, które wprowadzają na rynek nowe produkty. Badania nad e-papierosami trwają stosunkowo krótko. Nie jesteśmy dziś w stanie jednoznacznie powiedzieć, jakie są skutki wieloletniego wapowania.

W e-papierosach oprócz glikolu (drażniącego płuca po podgrzaniu) i nikotyny (silnie uzależniającej) znajdują się także aromaty, których do niedawna nikt nie wdychał w taki sposób. A to właśnie dzięki nim te wyroby stały się tak popularne. Nie tylko wśród próbujących rzucić palenie, ale także tych nieużywających tradycyjnych papierosów z powodu ich nieprzyjemnego smaku i zapachu. – *Tymczasem nikt w Polsce nie kontroluje, czy podawany przez sprzedających skład chemiczny e-papierosów zgadza się z rzeczywistością. Biuro ds. Substancji Chemicznych co prawda rejestruje takie produkty, ale nie weryfikuje zgłoszeń. A dzięki badaniom Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego wiemy, że skład deklarowany często jest inny od prawdziwego* – mówi Andrzej Parafianowicz. Niepokojące są wyniki amerykańskich badań sprzed kilku lat, w ramach których wykryto w płynach do e-papierosów metale ciężkie, jak kadm, ołów, chrom, mangan i nikiel.

Obok formalnego zakazu jednorazowych e-papierosów rząd chce w ramach tej samej ustawy wyeliminować sprzedaż smakowych woreczków nikotynowych. Jednak nie ma na razie w planach radykalnego posunięcia, jakim byłby zakaz handlu smakowymi płynami do e-papierosów. To z jednej strony na pewno zmniejszyłoby atrakcyjność takich produktów. Wiele osób nie chciałoby wapować, gdyby pozostały tylko e-papierosy o smaku nikotyny. Z drugiej strony taki krok doprowadziłby pewnie do jeszcze większego rozkwitu czarnego rynku, dokąd przeniosłyby się płyny z aromatami. To z kolei pogrążyłoby ponad 2 tys. małych sklepów specjalistycznych, które żyją w dużej mierze ze sprzedaży takich właśnie płynów. Dla nich eliminacja legalnych jednorazówek nie była tak wielkim problemem, bo tego typu e-papierosy sprzedawano głównie w osiedlowych sklepach spożywczych i na stacjach benzynowych. Jednak zejście do podziemia także płynów byłoby już poważnym ciosem dla wszystkich, którzy wciąż próbują legalnie handlować e-papierosami.

Politycy stoją przed trudnym wyborem: łagodnie opodatkowywać produkty szkodliwe dla zdrowia, które pozostaną wtedy w legalnej sprzedaży, albo zakazami bądź wysoką akcyzą kierować konsumentów do podziemia, gdzie kupią wyroby... jeszcze bardziej niebezpieczne i pozostające poza kontrolą. Wiadomo tylko jedno: na tym nałogu zarabiają głównie Chińczycy.

CEZARY KOWANDA

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7f01362802

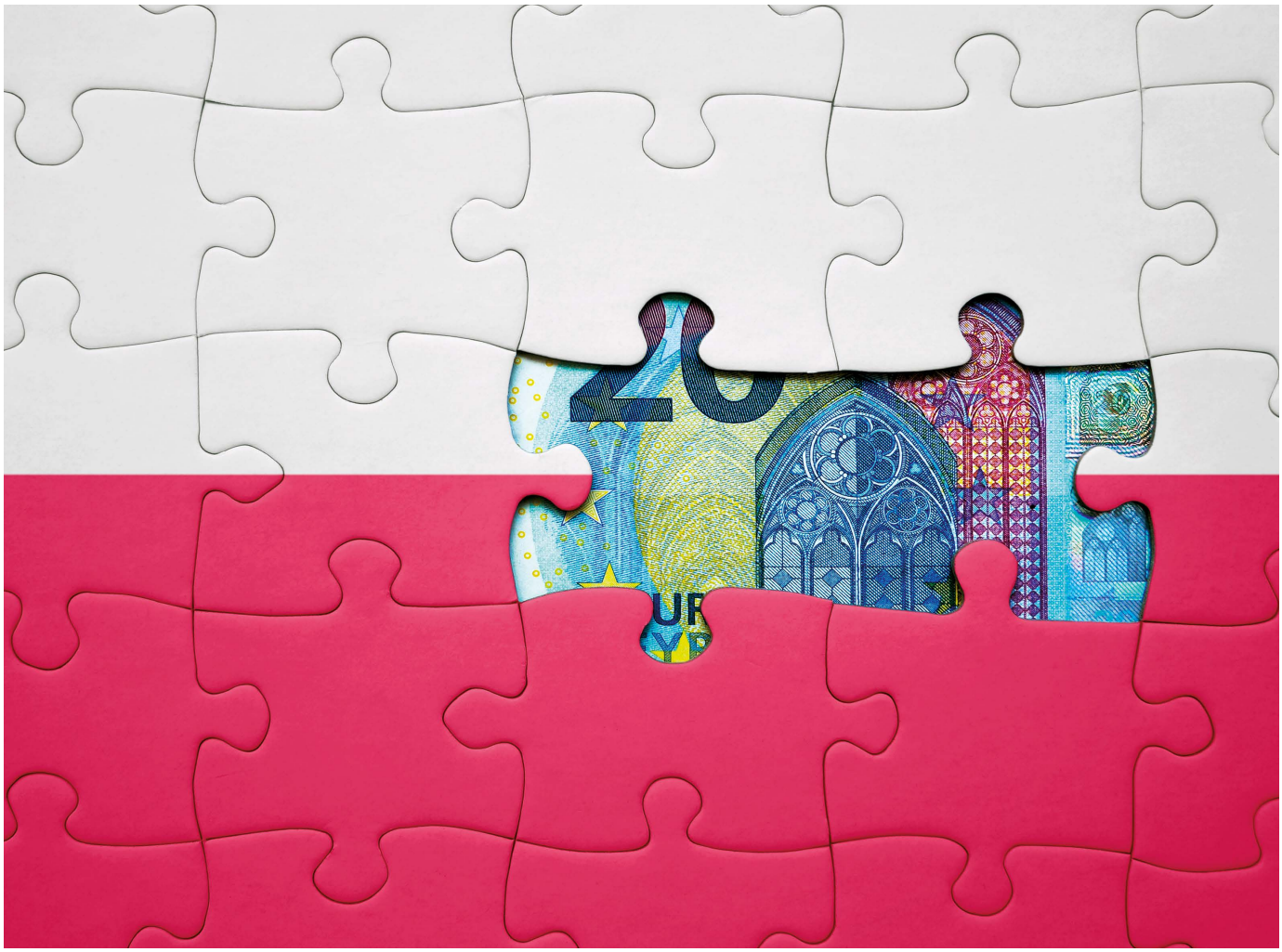

Euro z orłem



Dr Jarosław Janecki z Zakładu Ekonomii Monetarnej SGH, przewodniczący Towarzystwa Ekonomistów Polskich, o wadach i zaletach wspólnej waluty.

JOANNA SOLSKA: **– Coraz nas mniej. Po wejściu Bułgarii do strefy euro już tylko sześciu członków UE pozostaje przy własnych walutach.**

JAROSŁAW JANECKI: – Oprócz Polski są to Czechy, Rumunia, Węgry, Dania i Szwecja. Dania i Szwecja jeszcze w traktacie akcesyjnym zastrzegły, że do eurolandu nie przystąpią, ale nastroje się zmieniają. Wtedy Szwecja była neutralna, po agresji Rosji na Ukrainę wstąpiła jednak do NATO, żeby poczuć się bezpieczniej. Teraz Szwedzi dyskutują o euro. Węgry po wygranych przez partię Magyara wyborach też deklarują chęć przyjęcia wspólnej waluty.

Węgrzy mają zablokowane środki z KPO, chcieliby jak najszybciej dostać te pieniądze. Może stąd ten „europejski zwrot"?

Wiedzą, że w ciągu najbliższych czterech lat euro nie zastąpi forinta, zależy im jednak na pokazaniu, że po latach rządów Orbána Węgry znów stają się proeuropejskie. To dowód pragmatyzmu ważny nie tylko dla Komisji Europejskiej, ale także dla zagranicznych inwestorów. Kraj ma ogromny deficyt, żeby go sfinansować, Węgrzy muszą coraz więcej pożyczać na międzynarodowych rynkach finansowych, z czym ostatnio mieli już ogromne kłopoty. Próbują zaufanie rynków odzyskać.

Chodzi o to, że euro jest walutą stabilną, można zadłużać się taniej?

Do euro jeszcze daleka droga, ale korzyści z takiej deklaracji są natychmiastowe. Kiedy rząd danego kraju mówi o chęci przyjęcia wspólnej waluty, świat odbiera to jako sygnał, że będzie chciał porządkować swoje finanse publiczne, co oznacza perspektywę rozwoju dla jego gospodarki. Pożyczanie mu pieniędzy staje się mniej ryzykowne, dłużnik nie musi płacić coraz wyższych odsetek.

Bułgaria, najbiedniejszy kraj w UE, ma europejską walutę od stycznia. Bułgarzy bardzo obawiali się efektu cappuccino, czyli zaokrąglania cen w górę. Z tego powodu nawet przez pierwszy miesiąc w kraju można było płacić w lewach albo ▶

© SHUTTERSTOCK, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7f01362802

▶ w euro. Obawy się nie sprawdziły, ceny nie wzrosły.

Bułgaria jest ciekawym przykładem, ponieważ tam od początku 2026 r. inflacja gwałtownie spadła. Głównie dlatego, że pod koniec ubiegłego roku była wysoka, więc to tzw. efekt bazy. Ale ciekawsze jest to, że w tym kraju większość społeczeństwa, bo ok. 60 proc., wcześniej deklarowało sprzeciw wobec euro, nie chciało wspólnej waluty, politycy postąpili wbrew sondażom.

I za to zapłacili, przegrali wybory parlamentarne. Wygrała je partia byłego prezydenta Rumena Radewa, uznawanego za umiarkowanego przeciwnika euro.

Trzeba się więc rozwojowi sytuacji w tym kraju przyglądać, bo jest mało przewidywalna. Albo Bułgarzy uznają, że wyszło im to na dobre, albo w siłę urosną partie eurosceptyczne. Wyraźne przyspieszenie inflacji w kwietniu, wynikające z gwałtownego wzrostu cen ropy w wyniku blokady cieśniny Ormuz, sprzyja eurosceptykom.

Politycy będą oskarżać euro?

Zarówno wcześniej, jak i obecnie społeczeństwa boją się przede wszystkim wzrostu cen. W Bułgarii poważne obawy dotyczyły też spowolnienia rozwoju gospodarczego po przyjęciu wspólnej waluty.

A nie ma takiej reguły?

Gospodarki krajów rozwijających się i rozwiniętych coraz bardziej upodabniają się do siebie, w tych pierwszych proste rezerwy wzrostu wyczerpują się, wolniejsze tempo staje się naturalne. W pierwszych latach po akcesji dzięki zmianom strukturalnym wydajność w naszym kraju rosła imponująco, w ostatnich zwolniła do 3 proc. rocznie. Okres konwergencji dobiega końca. Kiedy my wchodziliśmy do Unii, nasz dochód na głowę mieszkańca był cztery razy niższy niż w Niemczech, teraz jest około dwóch razy mniejszy. Warto jednak pamiętać, że dochód niemiecki jest wyższy od średniej unijnej, dla nas stał się jednak punktem odniesienia.

Gonimy Niemcy dzięki temu, że ich gospodarka wpadła w poważne tarapaty, stoi w miejscu.

Ich przyczyną nie jest euro, ale złe decyzje, jakie Niemcy podjęli wcześniej. Zamknięcie elektrowni atomowych po katastrofie w Fukushimie i nadmierne uzależnienie gospodarki od rosyjskich surowców energetycznych.

Kiedy mamy szansę ich dogonić?

To perspektywa ładnych paru lat, raczej niewcześniej niż w latach 30.

I do tej pory – jak twierdzi prezes NBP Adam Glapiński – nie powinniśmy myśleć o eurolandzie?

To zależy głównie od strategii rządu, od celu, jaki sobie wyznaczy. Przyjęcie euro jest projektem długookresowym, obecny rząd woli mówić o bliższych celach, możliwych do zrealizowania w ciągu jednej czteroletniej kadencji. Od decyzji o przyjęciu euro do rzeczywistego wstąpienia do strefy potrzeba sporo czasu, więc politycy wolą tematu nie poruszać. Rządzący mają dziś inne priorytety, głównym jest nasze bezpieczeństwo w obliczu groźby wojny.

Jak oceniają swoją decyzję kraje, które w eurolandzie są już od kilku lat?

Słowacja przyjęła euro po złym kursie przeliczania ówczesnej korony na euro, korona zbyt się przed przyjęciem euro wzmocniła. To okazało się niedobre dla gospodarki, która straciła na konkurencyjności, eksport się skurczył. Ale na początku Słowacy się z kursu cieszyli, bo płace i emerytury były wyższe. Interesy emerytów i sfery budżetowej w krótkim okresie wydają się sprzeczne, eksporterom zależy na słabszym kursie w momencie przeliczania lokalnej waluty na euro, emerytom i pracownikom na mocniejszej lokalnej walucie. Sceptycy wykorzystują to do podsycania niechęci wobec euro.

Gdybyśmy wchodzili do eurolandu, też mielibyśmy ten problem.

Ustalenie kursu wymiany to dość trudna sprawa.

Od czego zależy?

Od wyniku negocjacji z krajami eurolandu, ale także od kursu rynkowego – i to z nim jest problem. Kiedy inwestorzy zagraniczni widzą, że jakiś kraj przyjmuje euro, to gwałtownie wykupują jego walutę, co powoduje jej umocnienie. Jednak ustalenie kursu wymiany długo jeszcze nie będzie naszym problemem, najpierw musimy odpowiedzieć sobie na kilka innych pytań: Czy wchodzimy do euro? Kiedy? W jaki sposób? Dopiero na końcu: Po jakim kursie?

Na razie nie zadajemy sobie żadnego. Rośnie liczba przeciwników euro, przekonanie, że społeczeństwo i gospodarka na wspólnej walucie stracą.

Takie zobowiązanie podjęliśmy dobrowolnie, podpisując traktat akcesyjny. Chcieliśmy euro.

Polska prawica nie czuje się spadkobiercą poprzednich rządów, które traktat podpisywały.

Czy to znaczy, że uznaje, iż kraje, które przyjmując Polskę do NATO w czasie innych rządów w Polsce, zobowiązały się nas bronić, gdybyśmy zostali zaatakowani, także zwolnione są z tego zobowiązania?

Wróćmy do pytania, jak oceniają swoją decyzję wstąpienia do strefy euro kraje, które są tam od kilku lat. Są zadowolone czy żałują?

Bardzo wzrosła atrakcyjność Chorwacji. Na jej przykładzie można wymienić wszystkie zalety wspólnej waluty. Zagranicznych turystów jest więcej, bo Chorwacja stała się dla nich tańsza, nie ponoszą już kosztów wymiany waluty. Zagraniczni inwestorzy chętnie inwestują z tych samych powodów, ale też dlatego, że euro jest walutą stabilną, bardziej przewidywalną niż lokalna, a stopy procentowe niższe, czyli kredyty tańsze. Przedsiębiorcy chorwaccy też pożyczają taniej, a dodatkowo już się nie boją ryzyka kursowego, kiedy gwałtowne osłabienie własnej waluty wywracało ich wszystkie biznesplany. Gospodarka stała się stabilniejsza. Bułgarzy poszli w ślady Chorwacji, żeby osiągnąć podobny efekt. Liczą na dużo większe wpływy z turystyki.

Warto przypomnieć, że polscy przedsiębiorcy nawet wykupywali polisy ubezpieczające od ryzyka zmiany kursu, co dodatkowo powiększało ich koszty. Kiedy jednak w kłopoty wpadła Grecja, zalety euro przedstawiano jako przyczynę kryzysu, powód ogromnego zadłużenia kraju. Nagle kredyty w Grecji stały się o wiele tańsze niż przy drachmie, a niemieckie i francuskie banki bardzo chciały sprzedawać Grekom więcej samochodów i na tych kredytach zarabiać. Grecy oszukiwali Unię w sprawie rzeczywistej sytuacji gospodarczej, ale Bruksela chętnie dawała się oszukiwać.

Przyczyną kryzysu greckiego nie było euro, tylko rozrzutna polityka gospodarcza, jaką greckie rządy prowadziły wcześniej, a potem ją kontynuowały. Można mieć pretensje do zachodnich banków, że im w tym pomagały, a do Komisji Europejskiej – że pozwalała się oszukiwać, ale z drugiej strony potem w swoim własnym interesie rzuciły się też do pomocy przy ratowaniu Grecji w kryzysie, narzucając jednocześnie rygorystyczne cięcia

eprasa.pl 7f01362802

wydatków budżetowych. Grecy musieli zacisnąć pasa i choć zadłużenie kraju nadal jest bardzo wysokie, to jednak rośnie dość wolno. Grecy nie chcą wracać do drachmy, koszty dewaluacji własnej waluty byłyby dla społeczeństwa bardziej bolesne.

My nie mamy euro, a zadłużamy się w zastraszającym tempie.

I zadłużenie naszego państwa rośnie szybciej niż w eurolandzie, ponieważ polski rząd za pożyczone sumy musi płacić wyższe odsetki. Więc to nie euro zachęca do rozrzutności, nie zwalnia też z prowadzenia odpowiedzialnej polityki. Politycy wydają za dużo, bo chcą wygrać kolejne wybory.

Nie dyskutujemy o wadach i zaletach przyjęcia wspólnej waluty, bo coraz szybciej rosnący deficyt finansów publicznych i tak oddala nas od tego celu. Nie spełniamy kryteriów z Maastricht.

Według nich deficyt nie może przekraczać 3 proc. PKB, nasz w tym roku miał nie przekroczyć 7 proc., ale z powodu blokady cieśniny Ormuz i gwałtownie rosnących cen ropy rząd wprowadził CPN (Ceny Paliwa Niżej), co każdego miesiąca powiększa deficyt o kolejne 1,5 mld zł. Grozi nam, że jesienią rating Polski się pogorszy, co może nas kosztować jeszcze wyższe odsetki od pożyczanych pieniędzy. Na razie Komisja Europejska i rynki traktują nas dość pobłażliwie.

Po wybuchu pandemii, a potem po agresji Rosji na Ukrainę niektórzy ekonomiści uważają, że krajom strefy euro tak bardzo zależy na jej powiększaniu, że przymknęłyby oko na to, iż Polska nie spełnia kryteriów. Bułgaria je spełniała?

Tak.

Chce pan powiedzieć, że finanse publiczne najbiedniejszego kraju w UE są w lepszym stanie niż Polski?

Społeczeństwo jest o wiele biedniejsze, ale kasa państwa stabilna. Polska, bez względu na to, co zdecyduje w sprawie waluty, musi coś z tym zrobić, to groźne dla naszej przyszłości.

A jaki jest dziś stosunek Polaków do euro?

30 proc. nie chce wprowadzenia wspólnej waluty nigdy, kolejne 21 proc. uważa, żeby to robić jak najpóźniej, następne zaś 28 proc. – że po długim okresie. Tylko 21 proc. badanych chciałoby euro najszybciej, jak się da.

O merytorycznych argumentach jednak nie dyskutujemy, narrację przejęła prawica. Przekonała ludzi, że zamiana złotego na euro będzie oznaczać utratę suwerenności Polski.

Stracimy niezależność w prowadzeniu polityki pieniężnej. To brzmi tak, jakbyśmy tracili niepodległość. Polacy się tego boją, nie bardzo wiedząc, co to znaczy.

Wielu Polaków nie widzi związku „suwerennej" polityki, prowadzonej przed kilkoma laty przez Radę Polityki Pieniężnej, z gwałtowną utratą sporej części ich oszczędności życia.

Kiedy inflacja roczna przekraczała nawet 18 proc., bankom bardziej opłacało się pożyczać pieniądze rządowi, niż korzystniej oprocentować depozyty, więc lokaty bankowe oprocentowane były bardzo nisko, na ok. 2 proc. rocznie. Dlatego oszczędności stopniały.

Ironizując, można powiedzieć, że najbardziej niezależną politykę pieniężną prowadziły rządy w PRL, bo była zupełnie niezależna od stanu naszej gospodarki, dlatego złoty był niewymienialny. Ale dlaczego obecnie boimy się euro o wiele bardziej niż przed laty? W 2008 r. premier Donald Tusk na forum w Krynicy zapowiedział, że przyjmiemy euro w 2011 r.

Niewiele nam wtedy brakowało do spełnienia kryteriów, ale zaraz potem wybuchł światowy kryzys gospodarczy, dalej pandemia, agresja Rosji na Ukrainę.

Świat stał się niestabilny, ale czy to nie jest argument na rzecz mocnej wspólnej waluty?

Przeciwnicy dalszej integracji z Unią uważają, że skoro poradziliśmy sobie z tak wielkimi kryzysami, to euro nam niepotrzebne, damy sobie radę sami. Eurosceptycy podsycają strach przed wzrostem cen po przyjęciu euro, choć to w krajach poza strefą inflacja jest z reguły wyższa, a kredyty, także hipoteczne, dużo droższe. Niezależna polityka pieniężna, jeśli jest źle prowadzona, skutkami wyższej inflacji bardziej obciąża społeczeństwo.

Eurosceptycy zapewniają, że w razie następnego kryzysu złoty po prostu się osłabi i równowaga wróci szybciej, niż gdybyśmy mieli euro.

Przypomnijmy, jak to wyglądało w Ukrainie. Kiedy Rosja zaatakowała, hrywna w ciągu dwóch lat osłabiła się zarówno w stosunku do euro, jak i dolara o 50 proc., tylko w pierwszym roku ceny wzrosły o 25 proc., społeczeństwo gwałtownie zubożało.

Ale gwałtowne osłabienie własnej waluty grozi nie tylko w przypadku wojny. Nieprzewidywalna jest sytuacja na Bliskim Wschodzie, związana z cieśniną Ormuz. Jeśli blokada potrwa dłużej, gospodarce światowej grozi kolejny potężny kryzys związany z rosnącymi cenami, a nawet brakiem ropy. Polski CPN przed nim nie uratuje, rząd nie jest w stanie długo dopłacać nam do cen paliw.

Euroland będzie w lepszej sytuacji?

Jeśli będzie taka konieczność, ratowaniem stabilności wspólnej waluty zajmie się Europejski Bank Centralny. Może to robić na dużo większą skalę i bardziej skutecznie niż nasz NBP, choćby emitując wspólne obligacje. Z lepszym skutkiem dla obywateli. Sami niewiele będziemy mogli zrobić. Przypomnijmy pandemię, nasz rząd też starał się ratować gospodarkę, pompując w nią pieniądze, ale zapłaciliśmy za to potężną inflacją. EBC robił to samo, ale w krajach strefy euro ceny tak nie poszybowały, Polacy zubożeli bardziej.

W ciągu ostatnich trzech lat rządów PiS skumulowana inflacja w Polsce wyniosła 50 proc. Drożyzna przyczyniła się do utraty władzy przez PiS.

Z narracji populistów zniknęła jednak gospodarka, została zepchnięta z boiska, bo nie o nią im chodzi, chodzi o politykę. Euro byłoby kolejnym krokiem w stronę integracji, a tej nie chcą. Najbardziej doskwiera praworządność i trójpodział władzy, bo prawo władzę ogranicza.

Adam Glapiński straszy, że gdybyśmy przyjęli euro, całe zakupione przez NBP złoto zabrałby EBC, zostałoby zawiezione do Frankfurtu.

Kolejny mit. Kraje wstępujące do eurolandu wnoszą do EBC wkład własny proporcjonalny do liczebności obywateli. W naszym przypadku byłoby to jednak dużo mniej, niż warte są nasze rezerwy złota. O tym, co się stanie z resztą, będzie decydował NBP. Może złoto utrzymać, jak zrobiło wiele krajów euro, mógłby też wykupić część polskiego długu. Odzyskalibyśmy finansową stabilność.

Ale stracilibyśmy własną narodową walutę.

Symbole są ważne. Każdy członek strefy emituje swoje euro, umieszczając na awersie własne godło. Nasze byłoby z orłem w koronie.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 7f01362802

Gdy natura spotyka się z historią



Górna Austria, Styria i Kraj Salzburski to idealne miejsca zarówno na krótszy wypad, jak i na dłuższe wakacje. W trzeciej części naszego przewodnika po Austrii zapraszamy więc w te okolice – w tym do najstarszej kopalni soli na świecie i do odprężających term wewnątrz skały.

Trzy sąsiadujące ze sobą kraje związkowe: Górna Austria, Styria i Kraj Salzburski, sprawdzą się zarówno jako cel spokojnego, rodzinnego wypoczynku, jak i pomysł dla wielbicieli bardziej aktywnych form spędzania wolnego czasu. Wybraliśmy i polecamy pięć tamtejszych regionów: szczególnie atrakcyjnych, a przy tym wciąż przez Polaków mało poznanych. Do wszystkich można łatwo dotrzeć z Polski – samochodem, samolotem (przez Wiedeń), ale także pociągiem. Większość kursów dociera do Wiednia, gdzie można wygodnie się przesiąść do składów jadących w głąb Austrii.

Istnieją jednak także bezpośrednie dzienne połączenia z Wrocławia i Krakowa do Grazu (stolicy Styrii) oraz pociągi nocne z Warszawy (przez Katowice) i z Przemyśla (przez Kraków) do Monachium, zatrzymujące się

Materiał powstał w komercyjnej współpracy z Narodowym Biurem Promocji Austrii

Lebensgefühl Austria

eprasa.pl 7f01362802



140-metrowy most wiszący na Stubnerkogel w dolinie Gastein



Gastein to idealne miejsce dla wielbicieli gór

po drodze w Salzburgu i Linzu (stolicy regionu Górna Austria). Aby dostać tańsze bilety, warto rezerwować je z wyprzedzeniem na stronie internetowej PKP InterCity albo austriackich kolei ÖBB. Pule promocyjnych biletów są zazwyczaj odrębne, więc opłaca się sprawdzać równocześnie ceny u obu przewoźników.

Dolina Gastein (Gasteinertal)

Trzy miejscowości doliny Gastein: Dorfgastein, Bad Hofgastein i Bad Gastein, wręcz zapraszają do odpoczynku, regeneracji i nabrania energii na wiele różnych sposobów. Gastein leży na południu Kraju Salzburskiego. Bogactwo doliny przejawia się w wyjątkowych skarbach natury. Zachwyca imponujący krajobraz Parku Narodowego Wysokich Taurów, światowej sławy źródła termalne oraz różnorodne boczne doliny, które zachęcają do odkrywania miejsc z dala od codziennego zgiełku.

Gastein pozwala nie tylko odkrywać góry (rozległe tereny są idealne do wędrówek, a do tego znajduje się tam najwyższa trawiasta góra Europy – Gamskarkogel), ale także relaksować się w gorącej wodzie. Dzięki dwóm termom położonym niedaleko siebie Gastein oferuje różnorodne możliwości spędzania czasu. Po wymagającej wędrówce czy wycieczce rowerowej termy w Gastein zapewnią wyśmienitą regenerację. Lecznicza woda termalna, która wypływa z 17 źródeł w Bad Gastein, zasila Felsentherme w Bad Gastein (imponujące architektonicznie, wbudowane bezpośrednio w skałę na wysokości 1100 m) oraz Alpentherme w Bad Hofgastein (rozległy kompleks z różnymi strefami tematycznymi i dwoma jeziorami z wodą termalną) – gwarantuje głęboki relaks po aktywnym dniu w górach.

W Gastein można też korzystać z aż czterech nowoczesnych kolejek linowych. Prowadzą na: Stubnerkogel ze spektakularnym mostem wiszącym, Schlossalm (dobry wybór dla rodzin), Graukogel z limbowym lasem oraz na malowniczy Fulseck nad jeziorem Spiegelsee. Dla dzieci atrakcją są place zabaw znajdujące się na górskich terenach rekreacyjnych oraz tor Mountainkart na Fulseck w Dorfgastein.

W dolinie Gastein na turystów czeka ponad 600 km szlaków turystycznych – od tras długodystansowych, przez okrężne, po ścieżki tematyczne i panoramiczne. Naturalną ochłodę w gorące dni zapewniają tu krystalicznie czyste jeziora górskie i potężne wodospady.

Miłośnicy rowerów również znajdą tu wiele możliwości realizacji swoich pasji. Niezależnie od tego, czy wolimy rekreacyjną jazdę rowerową, rodzinne wycieczki czy wymagające trasy MTB, szlaki w Gastein oferują spektakularne widoki i miejsca odpoczynku na łonie natury, m.in. nad brzegami górskich jezior.

© GASTEINER BERGBAHNEN AG/MARKTL PHOTOGRAPHY; GASTEINERTAL TOURISMUS/MOODLEY

eprasa.pl 7f01362802



I rozrywka, i ochłoda. Jezioro Erlaufsee na granicy Styrii i Dolnej Austrii.

Górna Styria (Hochsteiermark)

Ten region wygląda jak z pocztówki. Składają się na niego urokliwe miasteczka i wsie, zielone hale i lasy oraz liczne szczyty i doliny. W takich warunkach nie sposób się nudzić, a możliwości spędzania wolnego czasu jest mnóstwo. Wędrując od schroniska do schroniska, można po drodze odkrywać regionalną kuchnię. Górna Styria jest bowiem również rajem dla smakoszy.

Popularne trasy rowerowe prowadzą przez Schneealm, przez sielankowe Weitental albo romantyczną pętlą obok Erlaufsee i Hubertussee. Wiele odcinków łatwiej jednak pokonywać, korzystając z rowerów wyposażonych we wspomaganie elektryczne – dzięki niemu trasy bardziej wymagające są dostępne dla każdego bez względu na wiek i kondycję. Dobrze przygotowane ścieżki, liczne stacje ładowania oraz odpowiednio wyposażone miejsca przeznaczone na postój i posiłek gwarantują spokojną jazdę.

Szczególnie godne polecenia są rzeczne trasy rowerowe Górnej Styrii – to komfortowa wycieczka przez różnorodne krajobrazy. Szlaki R5 Mürztalradweg oraz R2 Murradweg prowadzą niemal cały czas wzdłuż rzek Mürz i Mur, zarazem dają możliwość organizowania wielu przystanków – na zwiedzanie i kulinarne uczty. W ten sposób tempo wycieczki dopasowujemy do własnych potrzeb i oczekiwań.

W tej północno-wschodniej części Styrii można w pełni zanurzyć się w świat górskich wędrówek: od Hochschwab (najwyższego szczytu regionu), przez Hohe Veitsch, Schneealm i Rax, aż po Fischbacher Alpen i Rennfeld. Stuhleck uchodzi za jeden z tych punktów w Alpach o najbardziej rozległej panoramie (przy dobrej pogodzie widoczność sięga ponad 150 km). Imponujące góry, łagodne hale, zielone lasy i orzeźwiające źródła – kto kocha wędrówki, może wybierać między wymagającymi wspinaczkami a spokojnymi spacerami.

Wyjątkowe wyzwanie stanowi zaś długodystansowa pętla o nazwie BergZeitReise (czyli górska podróż



Jedna z tras rowerowych w regionie Hochsteiermark

eprasa.pl 7f01362802



Wodospad Johanneswasserfall w Kraju Salzburskim

w czasie), rozłożona na 15 dziennych etapów. Można przejść wszystkie naraz, zdecydować się tylko na kilka (a inne np. zaliczyć podczas kolejnego pobytu) albo wybierać pojedyncze odcinki. BergZeitReise pozwala w pełni odkrywać krajobraz przyrodniczo-kulturowy Górnej Styrii. Pętla ma długość aż 290 km i obejmuje m.in. Hochschwab i Rax. Start i meta znajdują się w miejscowości Bruck an der Mur. Przejście całej trasy wymaga dobrego przygotowania i doświadczenia w wędrówkach górskich. Niektóre odcinki dzienne są jednak łatwe, a zatem dostępne dla każdego.

Górna Styria uchodzi za raj dla rodzin. Dzieci uwielbiają Mariazeller Bürgeralpe, która zachwyca atrakcjami, takimi jak wieża widokowa czy Holzknechtland, Flylina's Hexenflug i Wake Alps. Równie popularne są Brunnalm – Hohe Veitsch (blisko natury i gór) oraz Burg Oberkapfenberg. Na wspomnianym zamku odbywają się pokazy ptaków drapieżnych i festyny rycerskie, które zachwycą i młodszych, i starszych.

Nie brakuje tu też kulinarnych perełek i okazji do spróbowania wyjątkowych potraw. Szczególną uwagę warto zwrócić na Fedlkoch, tradycyjne danie Górnej Styrii, które niegdyś uchodziło za idealny posiłek po ciężkiej pracy. Podstawą Fedlkoch jest prażona mąka zwana Fedln (stąd też nazwa dania). Mąkę gotuje się z wodą lub mlekiem, a następnie dodaje masło lub skwarki (Grammeln). Przepis na Fedlkoch może się różnić w zależności od okolicy – stąd może to być danie zarówno słodkie (z cukrem lub kompotem), jak i wytrawne. Jego największą zaletą jest prostota i różnorodność. Dlatego dziś Fedlkoch przeżywa renesans. Serwuje się go w lokalnych gospodach i podczas festynów odbywających się na halach. Będąc w okolicy, na pewno warto go spróbować.

Obertauern

To miejsce w Kraju Salzburskim z pewnością znane jest wielu narciarzom, bo prawdziwa zima trwa tam od listopada do maja. Ale wymarzony krajobraz regionu najlepiej podziwiać latem podczas wycieczek rowerowych lub wędrówek. Obertauern jest rajem dla miłośników natury – czeka tu na nich sieć malowniczych szlaków pieszych prowadzących przez skąpane w soczystej zieleni doliny albo wzdłuż brzegów krystalicznie czystych górskich jezior. Na chwilę wytchnienia idealnie nadają się urokliwe górskie schroniska, w których można odpocząć przed kolejnym etapem wędrówki.

Obertauern jest świetnym miejscem dla amatorów trail runningu. Ta wymagająca forma biegu po górskich ścieżkach daje możliwość bliskiego kontaktu z naturą. W Obertauern można znaleźć aż osiem oznakowanych tras trailowych. Liczą one łącznie 133 km, prowadzą szlakami górskimi obok wodospadów i przez wąwozy, na szczyty i nad górskie jeziora. Gwarantują nie tylko aktywny wypoczynek, ale też piękne krajobrazy. Trasy typu Cross Adventure i Cross Trail są wyzwaniem dla początkujących, ale także doświadczeni biegacze znajdą

© RUDY DELLINGER, TVB HOCHSTEIERMARK/NICOLE SEISER, TVB OBER TAUREN/MIRJA GEH

eprasa.pl 7f01362802



Malownicze Hallstatt
w Górnej Austrii

tu dla siebie wymagające fragmenty. Dla zmęczonych letnimi upałami ten region jest wyjątkowo atrakcyjny, bo przecież im wyżej, tym chłodniej. Obertauern, położone na wysokości od 1740 do 2526 m w sercu Radstädter Tauern, pozwala na ucieczkę od wysokich temperatur, które bywają przecież nie tylko męczące, ale nawet niebezpieczne dla naszego zdrowia. Tymczasem w Obertauern jest nie tylko chłodniej, ale też można orzeźwić się kąpielą. Ten region może pochwalić się aż 11 górskimi jeziorami, w których temperatura latem wynosi od 17 do 23 stopni.

Przy dobrej pogodzie działają codziennie dwie kolejki: Grünwaldkopfbahn i Hochalmbahn (psy, wózki dziecięce oraz rowery górskie można przewozić bezpłatnie). Ponad 280 km szlaków pieszych prowadzi na punkty widokowe i szczyty, do tradycyjnych hal i schronisk, nad ciche górskie jeziora oraz do niezwykłych atrakcji przyrodniczych, takich jak Johanneswasserfall. W 2024 r. powstała tam platforma widokowa, która harmonijnie wpisuje się w krajobraz i pozwala podziwiać miejsce, gdzie spada woda. Taki widok robi naprawdę ogromne wrażenie.

Dachstein Salzkammergut

Ten region tworzą cztery miejscowości: Bad Goisern am Hallstättersee, Hallstatt, Obertraun oraz Gosau am Dachstein. Można tu nie tylko odkrywać góry i jeziora, ale także zanurzyć się w historię, zwiedzając najstarszą kopalnię soli na świecie. Salzkammergut traktowany jest w Austrii jako narodowy skarb – miejsce, w którym przyroda, która inspirowała wielu twórców, spotyka się z kulturą i historycznym dziedzictwem. To właśnie tutaj rzemiosło i tradycja są pielęgnowane i przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Od 1997 r. ten obszar znajduje się na prestiżowej liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jak podkreślono uzasadnieniu: „Alpejski region Hallstatt–Dachstein/Salzkammergut jest wyjątkowym przykładem krajobrazu naturalnego o niezwykłym pięknie i szczególnym znaczeniu naukowym. Stanowi także świadectwo wczesnej i nieprzerwanej działalności człowieka – zarówno gospodarczej, jak i kulturowej”.

Sercem Salzkammergut jest Hallstatt – miasto, którego historia sięga kilku tysięcy lat. To idealne miejsce do odpoczynku i odkrywania przeszłości. Warto przespacerować się promenadą nad jeziorem o tej samej nazwie co miasto, a także odwiedzić małe sklepy z lokalnymi wyrobami

eprasa.pl 7f01362802



Szlak Stoderzinken w regionie Schladming-Dachstein

rzemieślniczymi. Jednak najważniejszą atrakcją Hallstatt pozostaje z pewnością najstarsza na świecie kopalnia soli, powstała w epoce brązu.

W tym regionie nie brakuje również atrakcji dla rowerzystów. Mogą oni korzystać z ponad 200 km dróg leśnych, które tworzą sieć tras o łącznej długości ok. 800 km. Szlaki obejmują liczne punkty widokowe i atrakcje turystyczne. Wśród tras znajdziemy np. Dachstein Runde – bardzo wymagającą, z wysokimi przewyższeniami, biegnącą wokół masywu Dachstein, na której pokonanie trzeba zarezerwować przynajmniej trzy–cztery dni.

Wyzwaniem są też trasy treningowe, składające się na Salzkammergut Trophy. Jednak nie brakuje także łatwiejszych odcinków, przeznaczonych dla miłośników spokojniejszej jazdy. Dla wędrowców przygotowano 700 km szlaków turystycznych. Co ważne, na szczyty można dostać się zarówno pieszo, jak i z pomocą kolejek górskich. Dzięki temu każdy dopasuje wędrówki do własnych możliwości.

Ważną częścią kultury Inneres Salzkammergut jest gościnność i wspólne biesiadowanie. Podczas zwiedzania regionu można się o tym przekonać w tradycyjnych górskich chatach przy szlakach, w gospodach z pięknymi ogrodami, a także w ekskluzywnych restauracjach, które zostały wyróżnione prestiżowymi nagrodami kulinarnymi. Warto spróbować ryb (pstrągów, siei, sielaw), sycących gulaszy, knedli i lokalnych serów.

Schladming-Dachstein

Pomiędzy imponującymi szczytami Dachsteinu, łagodnymi alpejskimi dolinami Schladminger Tauern i potężnym Grimmingiem rozciąga się region zachwycający niezwykłą różnorodnością. Surowe górskie krajobrazy, krystalicznie czyste jeziora, malownicze alpejskie pastwiska oraz niezliczone wodospady tworzą wyjątkową scenerię. Niezależnie od tego, czy preferujemy wędrówki, jazdę na rowerze czy kulinarne przyjemności, właśnie tutaj możemy przeżyć niezapomniane chwile, rozkoszując się jednym z najpiękniejszych górskich krajobrazów Austrii.

W tym regionie do dyspozycji turystów jest ponad tysiąc kilometrów oznakowanych szlaków turystycznych, w tym np. tematyczna trasa „Wilde Wasser", ścieżki wokół jeziora górskiego Duisitzkarsee albo po masywie Dachsteinu. Szczególną uwagę warto zwrócić na trasę trzech jezior: od styryjskiego Bodensee przez schronisko Hans-Wödl-Hütte aż do Obersee. Dzięki ośmiu

© JULIAN ELLIOTT PHOTOGRAPHY, TVB SCHLADMING-DACHSTEIN/CHRISTOPH HUBER

eprasa.pl 7f01362802



Region Schladming-Dachstein zapewnia też liczne atrakcje dla najmłodszych podróżników

działającym latem kolejkom górskim można wygodnie dotrzeć na najwyższe szczyty.

W tym roku szczególny jubileusz świętuje szlak tematyczny „Wilde Wasser" w Rohrmoos. Od 20 lat niezmiennie zachwyca, dając możliwość wędrowania wzdłuż wody przez Untertal i Obertal. Trasa wytyczona historycznymi drogami alpejskimi prowadzi obok wodospadu Riesachwasserfall, przez spektakularny wąwóz Höllschlucht, do spokojnych miejsc wyciszenia nad wodą. Ponad 16-kilometrowy szlak „Wilde Wasser" w pełni odsłania bogactwo natury regionu: od spokojnie migoczącej, krystalicznie czystej tafli po pieniącą się, huczącą wodę rozbijającą się o skały Schladminger Tauern.

Również miłośnicy rowerów znajdą tu coś dla siebie – niezależnie od tego, czy wolimy rekreacyjną jazdę, MTB czy downhill. Bikeparki na Planai i Reiteralm latem zapewniają dużo adrenaliny – nie brakuje tam bowiem wymagających odcinków. Kto jednak woli spokojniejszą jazdę, tego zachwyci Ennsradweg – to ponad 200 km trasy prowadzącej przez dolinę Ennstal z widokiem na imponujące góry i malownicze miejscowości. Bardzo popularne są również wycieczki bike & hike, łączące jazdę na rowerze z górskimi wędrówkami.

Jak wszędzie w Austrii, także tu po aktywnym dniu w górach warto odkryć kulinarne atrakcje. Ponad 90 czynnych schronisk i alpejskich chat zaprasza, aby spróbować styryjskich klasyków, takich jak Kaiserschmarren, zupa z Kaspressknödel czy tradycyjna Brettljause. Ciekawym projektem jest „Almkulinarik by Richard Rauch", w którym szef kuchni tworzy wspólnie z gospodarzami kilkunastu górskich schronisk pomysłowe dania łączące tradycję z nowoczesnością. Warto spróbować!

W Schladming-Dachstein nie brakuje oczywiście atrakcji dla całej rodziny. Należą do nich imponujący plac zabaw Hopsiland na Planai, letni tor saneczkowy na Hochwurzen czy tematyczne szlaki, takie jak Märchenweg w Schladming-Rohrmoos. Rozwiązaniem szczególnie korzystnym dla turystów jest karta o nazwie Schladming-Dachstein Sommercard. Goście otrzymują ją już podczas pierwszego noclegu. Zapewnia ona dostęp do ponad stu atrakcji – bezpłatnie lub ze zniżką – i obejmuje m.in. kolejki górskie, muzea oraz transport zbiorowy, czyli wszystko to, co jest potrzebne, by w pełni odkrywać region.

Po Austrii wygodnie i tanio

W Styrii, Górnej Austrii i Kraju Salzburskim – tak jak w całej Austrii – można korzystać z bogatej oferty połączeń kolejowych i autobusowych. Planowanie podróży ułatwiają bilety przygotowane właśnie z myślą o turystach – noszą wspólną nazwę Freizeit-Ticket, chociaż każdy kraj związkowy ma własny wariant tego produktu. Taki bilet obowiązuje przez jeden dzień i jest ważny w pociągach regionalnych ÖBB (S-Bahn, R, REX, RE, RB) oraz autobusach.

Wariant dla Kraju Salzburskiego kosztuje 25 euro i mogą z niego korzystać równocześnie dwie osoby dorosłe oraz maks. czworo dzieci (poniżej 15 lat). W Styrii taki bilet ważny jest tylko w soboty, niedziele i święta – koszt to 14 euro za osobę. Natomiast w Górnej Austrii z Freizeit-Ticket można korzystać przez cały tydzień (od poniedziałku do piątku jest ważny od godz. 9, w weekendy nie ma już takiego ograniczenia). Koszt biletu w tym kraju związkowym to 26,50 euro – mogą z niego korzystać dwie osoby dorosłe i również maksymalnie czworo dzieci do 15. roku życia. Co ważne, Freizeit-Ticket dla Górnej Austrii jest również ważny w regionie Salzkammergut, znajdującym się w Kraju Salzburskim. To szczególnie przydatne, gdy nocujemy w Górnej Austrii, ale chcemy również w ramach krótkiej wycieczki odwiedzić Salzkammergut.

Kto jednego dnia chce swobodnie przemieszczać się pociągami między różnymi krajami związkowymi Austrii, może skorzystać z Einfach-Raus-Ticket. Bilet jest ważny na obszarze całego państwa, we wszystkich pociągach regionalnych i aglomeracyjnych (R, CJX, REX, S-Bahn). Nie obejmuje połączeń dalekobieżnych ÖBB (jak Railjet czy IC) ani Westbahn. Einfach-Raus-Ticket umożliwia podróżowanie zarówno w dni powszednie (od godz. 9), jak i w weekendy (bez ograniczeń czasowych). Jego cena uzależniona jest od wielkości grupy.

Najtańszy wariant Einfach-Raus-Ticket kosztuje 38 euro i jest ważny dla maksymalnie dwóch osób, niezależnie od wieku. Każdy kolejny podróżny płaci tylko dodatkowe 4 euro. Maksymalnie z jednego biletu Einfach-Raus-Ticket może korzystać pięć osób – wówczas jego koszt to 50 euro dziennie, czyli ledwie 10 euro za pasażera. Biletu nie trzeba rezerwować z wyprzedzeniem, więc idealnie nadaje się na spontaniczne wycieczki.

Bo Austria jest świetnym miejscem zarówno dla tych, którzy wolą zaplanować cały urlop z wyprzedzeniem, jak i dla tych, którzy o tym, jak spędzić kolejny wspaniały dzień, decydują zupełnie spontanicznie.

CEZARY KOWANDA

© HAUSER KAIBLING/RENE EDUARD PERHAB

eprasa.pl 7f01362802


© TVB OBERTAUERN/MIRJA GEH


© TVB OBERTAUERN/MIRJA GEH

Obertauern. Blisko słońca, z dala od upałów.

Im wyżej, tym chłodniej. Region Obertauern to słoneczna kraina, której nie dosięga skwar. Orzeźwiające jeziora, czyste powietrze i alpejskie panoramy stanowią idealne tło do aktywności pod gołym niebem.

W Niskich Taurach na wysokości 1740 m n.p.m. rozpoczyna się kraina, której nie trzeba przedstawiać fanom narciarstwa. Wyjątkowość Obertauern nie gaśnie jednak wraz z końcem sezonu zimowego. Zielone stoki, rzeczne wąwozy i szczyty wyrastające na ponad 2500 m n.p.m. – to idealne miejsce na letni trekking z dala od upałów. Poza klasyczną turystyką pieszą region jest stolicą biegania trailowego. Sport łączy biegowe wyzwania, często na dłuższych dystansach, z bliskim kontaktem z naturą. Obertauern oferuje 133 km oznakowanych trailowych szlaków przebiegających przez alpejskie łąki, eksponowane szczyty, w pobliżu dzikich wodospadów czy szmaragdowo zielonych górskich jezior. Ukoronowaniem sezonu jest Obertauern Trailrun Summit – w ramach wydarzenia odbywają się wyścigi zarówno na dystansach maratońskich i ultramaratońskich, jak i trzykilometrowy bieg dla rodzin z dziećmi. Różnorodność tras, brak upałów i wyjątkowo czyste powietrze czynią Obertauern idealnym miejscem na rozpoczęcie trailowej przygody. Dzięki atutom regionu także alergicy odetchną z ulgą – na tej wysokości pylenie jest bardzo małe, a przez większość roku praktycznie nie występuje.


© TVB OBERTAUERN/MIRJA GEH

Niezawodnym sposobem na regenerację po dłuższej wędrówce czy trailowym biegu jest kąpiel w jednym z 11 górskich jezior Obertauern. Latem woda w zbiornikach utrzymuje się na poziomie od kilkunastu do nieco ponad 20°C, co czyni kąpiele wyjątkowo korzystnymi dla zdrowia. Jak zapewnia Hansjörg Ransmayr, lokalny przewodnik i autor książki „Wildswimming-Alpen", poza wzmocnieniem odporności i układu krążenia kąpiele w alpejskich jeziorach działają kojąco także na umysł. Pływak jest inicjatorem cyklu pływania w jeziorze Grünwald podczas pełni księżyca. Tegoroczne wydarzenie odbędzie się 30 lipca. Na brzegu dostępne są sauny i wanny z gorącą wodą, które pozwalają ogrzać się po wyjściu z jeziora.

Z brzegu Grünwaldu startuje jedna z dwóch działających codziennie kolejek górskich, które pozwalają każdemu stanąć na alpejskim szczycie. Wózki dziecięce, psy i rowery górskie przewożone są bezpłatnie. Duża część tras w Obertauern jest przystosowana do spacerów z dziećmi i wózkami, co czyni okolicę przyjazną dla rodzin, które nie chcą rezygnować z wysokogórskich wędrówek. Dzięki wysokiemu położeniu całego regionu panoramiczne trasy zaczynają się właściwie na każdym kroku. Do punktów obowiązkowych należy wodospad św. Jana, obok którego w 2024 r. stanęła platforma widokowa pozwalająca podziwiać spadającą wodę z niedostępnej wcześniej perspektywy. Do wodospadu Tennfall dotrzemy klasycznym szlakiem pieszym, a także w ramach trasy bike & hike – część dystansu pokonujemy rowerem, zostawiamy jednoślady przed bardziej stromym podejściem i kontynuujemy drogę na szczyt pieszo. Na trasach nie brakuje schronisk i alpejskich chat oferujących tradycyjne regionalne dania.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 7f01362802

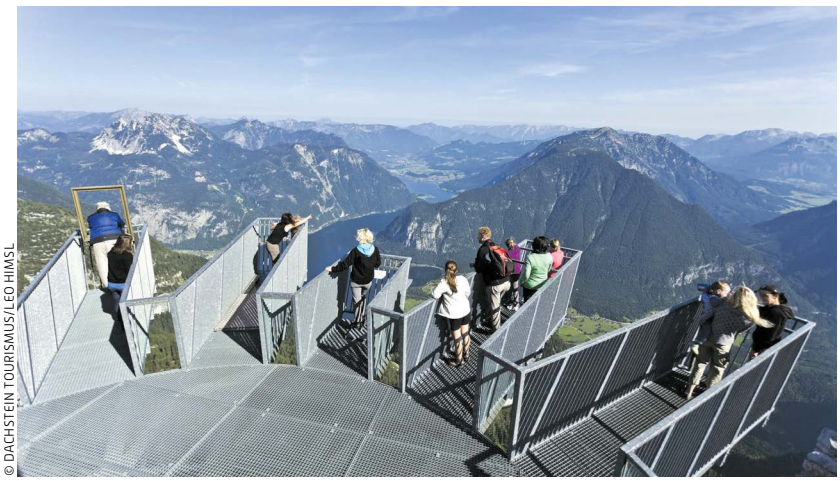

© DACHSTEIN TOURISMUS/LEO HIMSL

Salzkammergut. 7500 lat żywej alpejskiej historii.

Najstarsza kopalnia soli na świecie, wielowiekowe tradycje rzemieślnicze i alpejskie krajobrazy, które inspirowały pokolenia artystów – w Salzkammergut historia nie jest zamknięta za muzealną szybą.



© FERIENREGION DACHSTEIN SALZKAMMERGUT/RUDI KAIN

Kultura Hallstatt dominowała w centrum i na zachodzie Europy na przełomie epoki brązu i epoki żelaza, tworząc podwaliny dla dalszego rozwoju wielu kultur kontynentu. Dziejowy ruch miał swój początek na terenach dzisiejszej Austrii, dokładniej regionu Salzkammergut. Bogate złoża soli są eksploatowane nieprzerwanie do dziś, czyniąc lokalną kopalnię najdłużej działającą na świecie. Region nie bez powodu od niemal 30 lat figuruje na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Dzięki liczącej kilka tysięcy lat historii wydobycia region wykształcił własne tradycje kulinarne i kulturę wspólnego biesiadowania opartą na gościnności i otwartości na przybywających w te strony podróżnych.

Chociaż właśnie soli region zawdzięcza długą historię ekonomicznego dobrobytu, na białym złocie nie kończy się lista naturalnych bogactw Salzkammergut. Na powierzchni ziemi rozlewają się spektakularne górskie jeziora, otoczone alpejskimi szczytami. Krajobraz pokrywa gęsta sieć szla-



© OESTERREICH WERBUNG/THECREATINGCLICK.COM

ków pieszych, liczących łącznie ponad 700 km długości. Jedną z głównych baz wypadowych dla fanów górskich wędrówek jest Zwieselalm Gosau. Kolejka górska Gosaukammbahn w kilka minut zawiezie nas na szczyt Zwieselalm, skąd rozciąga się imponujący widok na lodowiec Dachstein. Stamtąd ruszymy na jeden z pieszych szlaków lub na trasę via ferrata – chociażby Donnerkogel ze słynną „drabiną do nieba", czyli rozpiętym między skałami stromym podejściem linowym. Dla początkujących lepszym wyborem będzie rodzinna via ferrata „Little Bear" obok kolejki Dachstein Krippenstein w Obertraun. Rowerzyści znajdą coś dla siebie na jednej z tras – jest ich tu łącznie ponad 800 km. Do klasycznych wyborów należy kilkudniowa Dachsteinrunde czy wymagająca trasa Salzkammergut Trophy. Fani spokojniejszego wypoczynku mogą wybrać się na jedną z dróg rekreacyjnych, skorzystać z przestrzeni piknikowych w górach lub wybrać się na obfitujący w niezwykłe widoki spacer po torfowisku Löckermoos położonym 1500 m n.p.m.

Centrum rodzinnych atrakcji w regionie jest góra Dachstein Krippenstein – pełna atrakcji dla dzieci i dorosłych. Punkt widokowy Welterbespiralte jest łatwo dostępny ze stacji kolejki górskiej – dotrzemy tam nawet z wózkiem. Nieco więcej adrenaliny dostarczy taras widokowy 5fingers, gdzie 400 m nad górską przepaścią wisi pięć stalowych tarasów widokowych. W pobliżu czekają także ścieżki edukacyjne czy pętla piesza Heilbronn przyjazna rodzinom z dziećmi i osobom podróżującym ze zwierzętami. Do największych atrakcji należą również gigantyczne jaskinie lodowe – Dachstein oraz Mammuthöhlen, której zbadane korytarze liczą aż 70 km długości. Położona na wysokości 2500 m n.p.m. kolejka linowa Dachstein Krippenstein oferuje przejażdżki o wschodzie i zachodzie słońca oraz w trakcie pełni księżyca.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 7f01362802

Gasteinertal. Witamy w świecie off.

Na południu Kraju Salzburskiego rozciąga się dolina Gastein. W miastach słychać muzykę klasyczną, a między szczytami Wysokich Taurów biją termalne źródła, skłaniając do oderwania się od codzienności w alpejskim krajobrazie.



© SALZBURGERLAND TOURISMUS / MARKTL PHOTOGRAPHY

Termy Gasteinertal przyciągały kuracjuszy na długo przed tym, gdy ich działanie objaśniła współczesna nauka. Zanim wypłynie na powierzchnię w pobliżu jednego z tutejszych uzdrowisk, woda przez 3000 lat przedziera się przez mineralne warstwy, wzbogacona o lecznicze substancje, w tym gaz szlachetny – radon. Felsentherme w Bad Gastein to imponujący obiekt architektoniczny – termy wbudowane są w skałę na wysokości 1100 m n.p.m. Alpentherme w Bad Hofgastein to rozległy górski kompleks ze strefami tematycznymi i dwoma naturalnymi jeziorami wypełnionymi termalną wodą. W Dorfgastein znajduje się teren kąpielowy o nieco bardziej rozrywkowym profilu – Solarbad Gastein to baseny dla dzieci, zjeżdżalnie, boiska do siatkówki, a także strefy wellnes i sauny.

Poza tradycyjnymi kąpielami w Gasteinertal wyciszymy się także podczas „kąpieli leśnych". Połączenie delikatnego ruchu, ćwiczeń oddechowych i praktyki uważności w zielonych lasach Parku Narodowego Wysokich Taurów to niezawodny sposób na reset zmysłów. Region znany jest też z jogi, czego kulminacją jest wydarzenie Yoga Spring. Przez 10 dni czerwca nauczyciele z całego świata prowadzą sesje na łonie natury i pod dachem. Dziennie możemy wybierać nawet z 30 różnych sesji. Wydarzenie obejmuje także specjalne warsztaty i wykłady. W październiku odbywa się jesienny odpowiednik wydarzenia – Yogaherbst.

Nie trzeba wychodzić z lasu, żeby doświadczyć prawdziwej regionalnej kuchni. Wald:Brunch to wydarzenie łączące relaks w naturze i najlepsze jedzenie. Po godzinnym spacerze przez las zasiadamy przy stołach rozstawionych między drzewami, by delektować się 7 daniami przygotowanymi przez szefa kuchni Andreasa Pointnera. W górach czeka z kolei kulinarny spacer po alpejskich chatach. Podczas wycieczki odkryjemy lokalne smaki i poznamy historię schronisk – w menu chociażby klasyczne słodkie placki z borówkami czy sok z czarnego bzu. Wędrówkę możemy oczywiście przedłużyć – region oferuje około 600 km górskich tras, w tym przez najwyższą trawiastą górę Europy – Gamskarkogel – czy zapierający dech w piersiach most zwodzony na Stubnerkogel.



© GASTEINERTAL TOURISMUS/CHRISTOPH OBERSCHNEIDER

W Gasteinertal nawet filharmonia wychodzi w stronę natury. W ramach Klassik:Sommer orkiestra Philharmonie Salzburg wykonuje specjalny program klasyczny w nietypowych lokalizacjach od końca maja do drugiej połowy października. Kultura wysoka nabiera innego znaczenia w trakcie Berg:Klassik, koncertów muzyki klasycznej pod gołym niebem, ponad 2000 m n.p.m. W Bad Gastein co roku odbywa się także festiwal artystyczny sommer.frische. kunst, w ramach którego prowadzony jest program rezydencyjny dla twórców z całego świata. Tegorocznym tematem jest woda, rozumiana w kategoriach fizycznych, kulturowych, politycznych i estetycznych.

Wyjątkową historię regionu przybliża Gasteiner Museum w Bad Gastein. W pobliżu spektakularnego, 340-metrowego wodospadu przebiegającego przez centrum miasta poznamy lokalne tradycje, historię uzdrowisk i ich słynnych gości, a także obejrzymy dzieła sztuki zainspirowane regionem.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 7f01362802

Schladming-Dachstein. Kraina górskiej wody w centrum Austrii.

Surowe alpejskie szczyty i łagodne doliny pełne krystalicznie czystych jezior, spektakularnych wodospadów i bijących ze skał źródeł – w styryjskiej krainie woda wyznacza codzienny rytm.

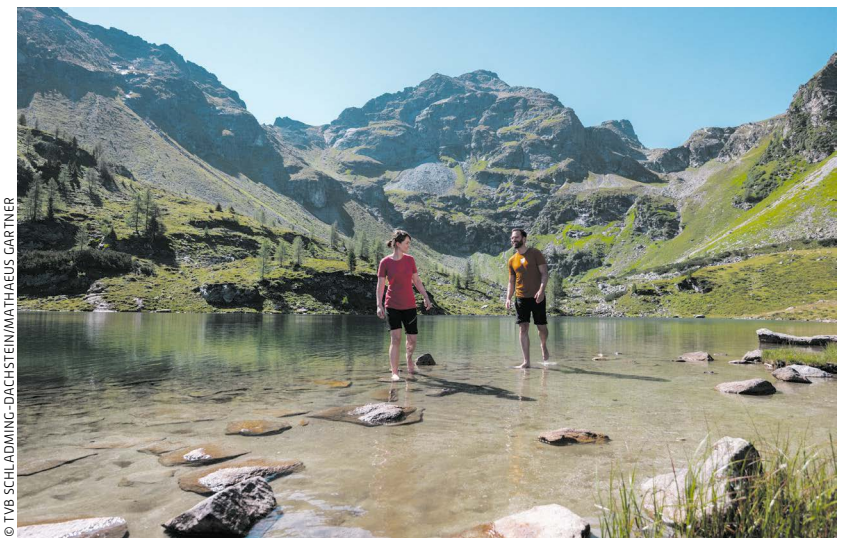

© TVB SCHLADMING-DACHSTEIN/MATHAEUS GARTNER

Ruszając na górski szlak, należy pamiętać o odpowiednim przygotowaniu. Ubrania na zmienną pogodę, wygodne buty i oczywiście zapas wody. Tym ostatnim nie musimy się martwić w Schladming-Dachstein – jednym z najbardziej zasobnych w wodę regionów Austrii. Tutejsze trasy piesze zapewniają nie tylko spektakularne widoki gór, ale także biegną w pobliżu krystalicznie czystych jezior i strumieni. Wilde Wasser to ponad 16-kilometrowy spacer tematyczny wzdłuż rzeki Talbach, doliną Untertal. Możemy pokonać całą trasę za jednym zamachem (około 6 godzin wędrówki) lub wybrać jeden z krótszych fragmentów. Wyjątkowym punktem szlaku jest etap Alpinsteig Höll, gdzie nad wąwozem na stalowych linach zawieszono 50-metrowy most zwodzony. Popularnym wyborem jest także wędrówka trzech jezior w Seewigtal, która prowadzi przez górskie krajobrazy od zbiornika Steirischer Bodensee, poprzez Hüttensee, aż po jezioro Obersee. Region oferuje łącznie 1500 km oznakowanych szlaków, 300 jezior górskich, ponad 1 000 źródeł i 100 wodospadów. Popularną metodą korzystania z górskiej wody jest „kneippowanie", czyli zanurzanie nóg w zimnej górskiej wodzie, które pobudza krążenie i wspiera regenerację organizmu. Specjalne instalacje Kneippa umieszczone są wzdłuż wielu szlaków turystycznych.

Ciężko pokonać górski szlak na samej wodzie. W regionie funkcjonuje ponad 90 schronisk i alpejskich chat oferujących styryjskie przysmaki. Kaiserchmarrn to słodki smażony placek, rwany na kawałki jeszcze na patelni, podawany zwykle z musem jabłkowym. Wytrawnym klasykiem jest Kaspressknödel, czyli smażony placuszek z chleba i sera, często zanurzony w misce zupy. Nowoczesne podejście do tradycyjnych dań prezentowane jest w ramach projektu Almkulinarik by Richard Rauch. Wielokrotnie nagradzany szef kuchni



© TVB SCHLADMING-DACHSTEIN/LORENZ MASSER

wspólnie z gospodarzami schronisk reinterpretują regionalne przepisy.

Po rodzinnym posiłku pora na rodzinne rozrywki. Hopsiland na górze Planai to najwyżej położony park atrakcji w Styrii. Kolejka górska wynosi gości 1800 metrów ponad poziom morza, gdzie czekają plac zabaw, trasy tematyczne i wodne atrakcje. Dwie dwukilometrowe pętle piesze wypełnione są rozrywkowo-edukacyjnymi stacjami dla dzieci. Na krótkich trasach sprawnościowych dzieci sprawdzą swoją siłę czy umiejętność utrzymania równowagi. Na nieco dłuższy spacer warto wybrać się ścieżką tematyczną Märchenweg w Schladming-Rohrmoos. Trasa liczy 4,3 km bez trudnych podejść i dostępna jest dla wózków dziecięcych. Do atrakcji dla starszych i żądnych mocniejszych wrażeń należą: kartingowy downhill na Hochwurzen, wysokościowy zjazd na linie w Gröbming czy letni tor saneczkowy w Rittisberg. Region jest także centrum wspinaczkowo-rowerowym, oferując ponad 600 km dróg rowerowych i ponad 30 via ferrat, w tym jedną z najdłuższych i najtrudniejszych tras w Alpach – Dachstein-Super-Ferrata.

Letni program kulturalny i sportowy pełen jest wydarzeń miejskich. Wśród głównych punktów programu: 5 dniowy festiwal muzyczny Summer Opening, wymagający bieg Torlauf u podnóża Dachsteinu czy rajd zabytkowych samochodów Ennstal-Classic.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 7f01362802

Hochsteiermark. Rowerem przez zielone serce Austrii.

Na północno-wschodnim krańcu Styrii leży jej najbardziej zielony region – to tutaj ponad 850 milionów drzew tworzy wyjątkowy mikroklimat w górzystym krajobrazie, który stanowi raj dla rowerzystów.



© TV HOCHSTEIERMARK/NICOLE SEISER

Pod koniec XIX wieku w górskim gospodarstwie obok Alp urodził się Peter Rosegger – jeden z ważniejszych pisarzy austriackich, który utrwalił w swoich opowiadaniach bajkowy obraz styryjskiej wsi. Jego „zielona ojczyzna" do dziś pozostaje owiana legendą wśród Austriaków, a zielone serce kraju stanowi idealne tło wakacyjnego resetu. Współcześnie zielony region stał się mekką rowerzystów. Hochsteiermark to wypożyczalnie rowerów (w tym elektrycznych), gęsta sieć stacji ładowania e-bike'ów i 240 km oznakowanych tras, nie wliczając w to dróg stworzonych dla MTB.

Ścieżka rowerowa Doliny Mury łączy kilka austriackich regionów od Parku Narodowego Wysokich Taurów do granicy austriacko-słoweńskiej i liczy 350 km długości. Odcinek przebiegający przez Styrię należy do łatwiejszych fragmentów, będąc idealnym wyborem dla rodzin spędzających aktywne wakacje w Hochsteiermark. Druga rzeczna trasa to 68-kilometrowa Mürztalradweg. Droga biegnie głównie w dół rzeki Mürz i jest w większości pokryta asfaltem – idealna opcja, by cieszyć się widokami i czystym styryjskim powietrzem bez nadmiernego wysiłku. Trasę pokonamy również w ramach Genussrad'l--Hauben-Tour. Wycieczka obejmuje transport bagażu, nocleg na trasie i przystanki kulinarne z topowymi kucharzami, którzy przygotowują dla rowerzystów regionalne specjały w trakcie postojów.

W 2016 roku na górze Pretul ukończono budowę potężnej farmy wiatrowej. Wiatraki rozmieszczone na grani i stokach masywu tworzą niespotykany krajobraz, który stał się popularnym rejonem dla rowerzystów górskich. Wind+Bike Park Pretul obejmuje łącznie około 45 km tras, w tym odcinki dla początkujących, opcje bardziej wymagające fizycznie i przeznaczone dla sportowców warianty ekstremalne z bardzo trudnymi podjazdami i zjazdami. Punktem obowiązkowym dla wprawnych rowerzystów jest trasa przez płaskowyż Schneealm. Przejazd przez filmową scenerię zajmuje około pięciu godzin i obejmuje ponad 30 km górskiej trasy z intensywnymi podjazdami.

Chociaż Hochsteiermark to niewątpliwie raj dla cyklistów, trasy piesze nie ustępują innym alpejskim regionom. Bike & Hike to połączenie dwóch sposobów przemierzania tutejszych krajobrazów. Po zielonych halach i styryjskim lesie można poruszać się rowerem górskim czy gravelem lub ich elektrycznym odpowiednikiem. Tam gdzie teren zaczyna robić się nieco bardziej górzysty, zostawiamy jednoślad i kontynuujemy podróż pieszo na szczyt. Hochsteiermark to dom wyjątkowej alpejskiej flory, w tym roślin leczniczych i aromatycznych ziół. W czasie wędrówek zielarskich doświadczone edukatorki wprowadzają odwiedzających w świat medycyny naturalnej. W programie przyrodniczym Naturpark Mürzer Oberland znajdziecie także warsztaty, wykłady i kursy dotyczące ziół.



© TV HOCHSTEIERMARK/TOM LAMM

Większość tras rowerowych i pieszych w regionie rozpoczyna się tuż obok stacji kolejowych. Wysiadamy z pociągu i ruszamy na szlak – z Polski bezpośrednio dojedziecie do Wiednia, dalej lokalną kolejką w kierunku Graz.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl 7f01362802



Przyczajony Xi, niestabilny Trump

Rozmowa ze znawcą Chin Samuelem Chetwinem George'em o tym, jak Pekin ogrywa Waszyngton. I na co liczy Xi Jinping, przyjmując w tym tygodniu Donalda Trumpa.

MATEUSZ MAZZINI: **– Prezydent Donald Trump 14 i 15 maja odwiedzi Pekin. Proszę w dwóch słowach zdefiniować obecną politykę Stanów Zjednoczonych wobec Chin.**

SAMUEL CHETWIN GEORGE: – Pierwszym słowem, które przychodzi mi do głowy, jest „niejasność". Obecna administracja USA opublikowała w grudniu Narodową Strategię Bezpieczeństwa, w której jasno stwierdza, że czas najwyższy zredukować swoją obecność i zaangażowanie w różnych częściach świata, żeby móc w sposób bardziej systemowy skupić się na dwóch obszarach – półkuli zachodniej i właśnie Chinach. To nie był może najbardziej spójny, strategicznie konkretny dokument. Z pewnością został stworzony przez kilku autorów, ale nie ulega też wątpliwości, że jednym z jego głównych twórców był Elbridge Colby, szef planowania w Pentagonie, znany z jastrzębich poglądów na Chiny.

I jak obecna wojna z Iranem wpisuje się w tę strategię?

No właśnie. Mamy w grudniu publikację założeń strategicznych, które trzy miesiące później są całkowicie anulowane przez interwencję w Iranie. Moim zdaniem obecny konflikt w Zatoce

eprasa.pl 7f01362802



© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

Perskiej jest doskonałym przykładem tego, że cała amerykańska polityka zagraniczna jest w tej chwili otwartym polem rywalizacji o względy Trumpa. Wszystko jest do zgarnięcia dla tych, którzy będą mieli największy wpływ na prezydenta USA.

A drugie słowo o relacjach USA–Chiny?

„Niezdecydowanie". Trump jest strategicznie niezdecydowany, bo co chwilę składa jakieś obietnice albo rzuca groźbami, które może nawet przez krótki czas stają się oficjalną polityką USA, ale za chwilę są odwoływane. A w relacjach z Chinami najważniejszą wartością jest wiarygodność. Xi Jinping oparł całą swoją karierę i polityczny wizerunek na budowaniu wiarygodności wewnątrz chińskiego systemu, ale też w relacjach międzynarodowych.

Donald Trump preferuje inny model.

Prezydent USA co chwila zmienia zdanie. Wycofał się z ceł, wycofał się z rzekomych celów wojny z Iranem, a w kwestii restrykcji eksportowych na technologię do Chin zaczął od twardego stanowiska, a teraz wygląda na to, że Jensen Huang, szef koncernu Nvidia, przekonał go do zawężenia listy objętych nimi układów scalonych. Wskutek tego nieustannego meandrowania amerykańska administracja zachowuje się tak, jakby nie była w stanie wziąć pod uwagę długofalowych konsekwencji własnych działań.

Trump i jego ludzie szli jednak po władzę, zapowiadając konfrontację z Chinami: ostra polityka handlowa, cła, relokacja żołnierzy z Europy na Pacyfik… Nominacja Colby'ego miała być tego dowodem.

Oprócz Colby'ego warto wymienić też Marco Rubio, który wywodzi się z nurtu neokonserwatywnego, tradycyjnie sceptycznego wobec Chin. A mimo to nie mamy spójnej ostrej polityki, lecz chaos i sprzeczności. W przypadku Chin ta administracja nie działa zgodnie z jakimś szeroko pojętym interesem strategicznym USA, ale bardziej przypomina – jak twierdzi politolog Abraham Newman – dwór wokół Trumpa.

Wystarczy spojrzeć na wspomnianą już politykę przemysłową i eksportową. Dwóch biznesmenów z otoczenia Trumpa, Jensen Huang i David Sacks, było w stanie przekonać prezydenta do poluzowania amerykańskiej kontroli eksportu układów scalonych do Chin, co oznacza odkręcenie ośmiu lat nieustannych restrykcji. Jeśli więc rzeczywiście USA nie mają jasno zdefiniowanych celów w relacjach z Pekinem, to znaczy, że ich podejście jest krańcowo odmienne od chińskiego.

U Chińczyków wszystkie elementy takiej relacji – polityka handlowa, zagraniczna, działania kontrwywiadowcze, kwestie technologiczne – są analizowane przez pryzmat całości stosunków z konkretnym krajem. W chińskim aparacie państwowym jest mnóstwo inteligentnych, świetnie wykształconych ludzi, którzy spędzają masę czasu na holistycznym studiowaniu takich państw jak USA. A po drugiej stronie mamy zdziesiątkowaną amerykańską biurokrację, zwłaszcza w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa, skąd ewakuowała się większość ekspertów do spraw Chin. To nierówne starcie.

Jakim cudem ktoś taki jak Colby, od dekad przygotowujący się do reorientacji amerykańskiej polityki zagranicznej, w pół roku przegrywa starcie z paroma biznesmenami?

Amerykańskie firmy technologiczne postrzegać należy jako rozwijające się małe imperia. Mają olbrzymie zasoby finansowe, które wykorzystują chociażby na lobbing w skali wcześniej niespotykanej. Prowadzą zaawansowane, zniuansowane operacje wpływu w Waszyngtonie i w innych centrach amerykańskiej władzy. Za prezydentury Joe Bidena tego nie było.

Co więcej, liderów technologicznych łączy z Trumpem więź tożsamościowa. Pochodzą z tej samej klasy społecznej. Są bogaci, swoje relacje opierają na transakcyjności, są moralnymi agnostykami, nie kierują się wartościami, tylko interesem. Dlatego to, co stało się w polityce względem Chin, jest przykładem szerszego zjawiska: transformacji amerykańskich elit, przesunięcia i przekształcenia centrum władzy w Ameryce. Pyta pan o porażkę Colby'ego. Biorąc pod uwagę nieprzewidywalność Trumpa, może być jeszcze za wcześnie, żeby mówić o ostatecznej porażce, ale dotychczasowa polityka wobec Chin, a ostatnio i wojna w Iranie, mogą świadczyć o tym, że wpływy Colby'ego zostały przyćmione przez klasę ludzi, których Trump postrzega jako bliższych sobie niż intelektualnie wyrobiony establishment z Waszyngtonu. ▶

eprasa.pl 7f01362802

▶ Czego więc można się spodziewać po spotkaniu Xi–Trump? Po ubiegłorocznym starciu celnym wiemy już, że Chińczycy mają znacznie wyższy próg bólu, niż się wszystkim wydawało.

To trafna uwaga, bo dobrze obrazuje stosunek USA i całego Zachodu do Chin. Śledzę chińskie źródła, także oficjalne partyjne organy prasowe. I wnioski są następujące: Chiny postrzegają demokratyczny, kapitalistyczny Zachód jako dekadenckie imperium u schyłku swojej wielkości, w prawdziwie marksistowskim znaczeniu tych słów. Xi uważa nawet, że Zachód ma „słabe kości", co ma dowodzić chińskiej przewagi. W Pekinie dominuje przekonanie, że dzięki całkowitej centralizacji aparatu państwowego, edukacji socjalistycznej, militaryzacji społeczeństwa i przewagom przemysłowym czy technologicznym Chiny przetrzymają wszystkie uderzenia Zachodu – i jeszcze oddadzą. Mają wyższy próg bólu – i nie jest to odkrywcze stwierdzenie.

A co się zmieniło?

Przede wszystkim podejście do USA, zwłaszcza po pierwszej i podczas drugiej kadencji Trumpa. Za pierwszym razem Chiny potraktowały wojnę celną bardzo poważnie, bo rzeczywiście były narażone na spore straty. Być może nawet to był pierwszy moment, w którym Xi znalazł się w defensywie. Jednak Chiny wyciągnęły z tego lekcję, wykorzystały czas, kiedy Trump nie był u władzy, i przygotowały się na jego powrót. Odgórnie określono czuły punkt w amerykańskiej strukturze – metale ziem rzadkich. Tu nie było żadnego przypadku, tylko pełna koordynacja. Państwo przejęło kontrolę nad tymi zasobami, stworzyło przedsiębiorstwa specjalizujące się w tym sektorze, dzięki czemu powstał jeden centralny ośrodek koordynacyjny.

Proszę pamiętać, że w kwestii restrykcji na eksport metali ziem rzadkich panuje celny rozejm, który teoretycznie dobiega końca w październiku. Zostało więc kilka miesięcy i jeśli nic się nie zmieni, to restrykcje wrócą. Administracja Trumpa się zorientowała, że ma problem, próbuje zmobilizować własny przemysł, szuka kluczowych zasobów u sojuszników, ale tak złożony plan nie zostanie wprowadzony w życie przed październikiem. Sytuacja jest więc poważna. Chiny będą starały się wykorzystać swoją kontrolę nad metalami ziem rzadkich, żeby wymóc na Trumpie ustępstwa. Bo niby dlaczego miałyby tego nie zrobić?

Czy Ameryka ma jakiś atut w rozgrywce z Chinami?

Z jednej strony Chińczycy agresywnie próbują uniezależnić się od dostaw amerykańskiego sprzętu i technologii, z drugiej – jeszcze daleka droga do tego. Ograniczenia w eksporcie mikroprocesorów Nvidii to wciąż element łańcucha dostaw, w którym Chiny są narażone na straty. Drugim punktem zapalnym jest Tajwan, zwłaszcza dostawy amerykańskiego uzbrojenia na wyspę, które Chiny chciałyby ograniczyć. I po trzecie – dolar, a także wtórne sankcje nakładane przez Amerykanów na kraje handlujące z Iranem czy Rosją. Chińska gospodarka wciąż jest w ogromnym stopniu zależna od dolara – to w zasadzie ostatnie imperialne narzędzie w rękach Waszyngtonu. Nie ulega wątpliwości, że Trump mógłby go użyć, zwłaszcza w przypadku wtórnych sankcji, co mocno zabolałoby Chińczyków.

Sumując to wszystko, jak dzisiaj Chiny patrzą na Amerykę?

Dominuje narracja o fragmentacji i końcu Zachodu. Zresztą o tym mówią sami zachodni przywódcy, jak Ursula von der Leyen czy Mark Carney i wielu innych. Często interpretuje się te słowa jako upadek powojennego porządku światowego, ale w istocie – co zresztą jest dobrze rozumiane w Chinach – chodzi o rozkład globalnego systemu sojuszy zbudowanego wokół Stanów Zjednoczonych. Moim zdaniem na tym właśnie polega długoterminowa strategia Chin wobec USA.

Nie zapominajmy też, że amerykańska obecność wojskowa była czynnikiem stabilizacyjnym dla wielu elementów globalnej gospodarki – marynarka wojenna USA była swego rodzaju gwarantem bezpieczeństwa żeglugi międzynarodowej. Tymczasem Trump korzysta ze swojej potęgi wojskowej w sposób całkowicie nieprzewidywalny i nieodpowiedzialny, destabilizując cały ten system.

System, z którego korzystały też Chiny…

No właśnie, bo przecież Chiny to również imperium handlowe. Dobrobyt Chińczyków i rozwój chińskiej gospodarki opartej na eksporcie zależy od stabilności systemu międzynarodowego i sytuacji wewnątrz krajów czy całych kontynentów. To widać na przykładzie Iranu, skąd Chiny importują ropę naftową na masową skalę. Dlatego, moim zdaniem, chińskie elity odpowiedzialne za strategię doszły do wniosku, że ich kraj musi teraz rozwijać swoje zdolności w zakresie bezpieczeństwa i również „przepychać" swoje interesy za granicą – czy to się komuś podoba, czy nie.

W miejsce interesów USA?

Tak. Dlatego, że wycofywanie się USA z zaangażowania międzynarodowego w różnych częściach świata wywoła próżnię i Chiny będą musiały ją w mniejszym lub większym stopniu wypełnić. Choćby na Bliskim Wschodzie. Jestem przekonany, że Xi został uprzedzony przez Irańczyków o planach zamknięcia cieśniny Ormuz. Widać było gołym okiem, że po doświadczeniach z 2025 r. i amerykańsko-izraelskiej ofensywie Teheran spodziewał się kolejnego ataku i poinformował Pekin o swoich ruchach w takim przypadku. I dlatego już w grudniu Chińczycy zaczęli skupować i magazynować ropę i inne paliwa kopalne. Jakby byli na to przygotowani.

Jakie są chińskie plany wobec Ameryki na najbliższą przyszłość?

Xi Jinping stawia na to, że Ameryka będzie mocno podzielona, wycofana, niezdolna do działań w różnych częściach świata. Konflikt w Zatoce Perskiej pokazuje zresztą, że amerykańska baza przemysłowa i sektor zbrojeniowy nie nadążają za amerykańskimi ambicjami militarnymi. Nie mówiąc o tym, że Amerykanie nieustannie popełniają proste błędy. O tym, że Chiny mogą zablokować eksport metali ziem rzadkich, wiedzieli od kilku, może nawet kilkunastu lat, a okazali się na to zupełnie nieprzygotowani. Na razie więc widać, że chińska polityka względem USA jest niesamowicie skuteczna. Xi jest konsekwentny, dobrze przygotowany. Widzi słabość Ameryki i wie, kiedy i gdzie uderzyć, ignorując przy tym pogróżki Waszyngtonu. Sam zresztą powiedział niedawno, że Mao Zedong podniósł Chiny z kolan, Deng Xiaoping uczynił kraj bogatym, a jego celem jest to, żeby Chiny były silne.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI



© AN

Samuel Chetwin George – badacz polityki chińskiej i stosunków chińsko-amerykańskich, ekspert think tanku Asia Society. Wcześniej związany z Hoover Institution na Uniwersytecie Stanforda. Publikuje m.in. w „Foreign Affairs" i Project Syndicate.

eprasa.pl 7f01362802



© SANTOSH KUMAR/HINDUSTAN TIMES/GETTY IMAGES

Indie patrzą w lustro

Trwa największy w dziejach spis ludności. Indusi odpowiadają na pytania o to, kim są i jak żyją. Obraz, który wyłoni się z tego wielkiego badania, zmieni ich codzienność i politykę.

PAULINA WILK

To coś więcej niż gigantyczne ćwiczenie ze statystyki. Dane zbierane właśnie przez 3 mln urzędników – od potężnych indyjskich megamiast po maleńkie ukryte w dżunglach wioski – przełożą się na realne funkcjonowanie najludniejszego państwa na świecie. Od 2023 r. to właśnie Indie, z populacją przekraczającą 1,4 mld ludzi i średnią wieku 28 lat, są największym na globie narodem. Pozostają też wspólnotą głęboko podzieloną, w której 1 proc. najzamożniejszych kumuluje 40 proc. bogactwa kraju.

Szczegółowe informacje ze spisu wpłyną więc na dostęp do pomocy społecznej, miejsc pracy i edukacji, dadzą reprezentację polityczną kobietom, przerysują wyborczą mapę kraju. Jak dokładnie? Oto jest pytanie – a w zasadzie 33 pytania, na które od początku kwietnia do końca września nad Gangesem odpowie ponad miliard ludzi.

Jakie zboże jesz najczęściej? Masz smartfon czy zwykły telefon komórkowy? Czy w domu jest internet? Z czego zrobione są ściany, dach, podłoga twojego domu? Kto jest jego właścicielem? Ile par małżeńskich żyje w twoim gospodarstwie domowym? Czy masz dostęp do wody pitnej? Czy masz gdzie się kąpać? Czy posiadasz dostęp do toalety, jeśli tak – jakiego typu? Są też pytania o rodzaj używanego opału, posiadanie radia, telewizora, roweru czy innych pojazdów.

Tak wygląda pierwsza faza spisu. Druga, ta ważniejsza, odbędzie się wiosną przyszłego roku – wtedy zostaną zebrane informacje dotyczące wieku, płci, wyznania, wykształcenia, związków małżeńskich, wykonywanych zawodów, doświadczenia migracji, używanych języków i przynależności kastowej. A ponieważ ten drugi etap spisu niesie ze sobą głębsze implikacje społeczne, a także badawcze kontrowersje, dokładna lista pytań nie została jeszcze opracowana, o jego przebieg spierają się zaś eksperci, urzędnicy i politycy.

Na razie na misję przepytania wszystkich dorosłych Indusów wyruszyła armia ankieterów. Większość z nich to nauczyciele i pracownicy lokalnej administracji. Po raz pierwszy wyposażeni w aplikację, która rejestruje dane nawet bez dostępu do sieci. Każdy dorosły może też sam wypełnić ankietę online po otrzymaniu unikatowego kodu od ankietera. Dane są zbierane w 16 różnych językach, w 36 stanach i terytoriach unijnych (zarządzanych ze stolicy w Delhi). Do udziału w badaniu nie są potrzebne dokumenty tożsamości, ankietowani mogą być niepiśmienni. Koszt przeprowadzenia spisu indyjski rząd oszacował na 1,24 mld dol.

Badanie zakończy się 31 marca 2027 r., a wynikająca z niego wiedza ukaże portret błyskawicznie zmieniającego się ▶

eprasa.pl 7f01362802

▶ społeczeństwa. On z kolei co najmniej przez kolejną dekadę będzie realnie kształtował politykę, decyzje ekonomiczne i codzienne życie ludzi.

Na trwający właśnie spis Indusi musieli czekać ponad 15 lat – w realiach społeczeństwa szybko rosnącego, migrującego i zmieniającego style życia to cała epoka. Poprzedni spis, z 2011 r., odsłonił kilka zaskakujących prawd. Mieszkańcy Indii dowiedzieli się wówczas, że w ciągu dekady przybyło ich aż 181 mln – mniej więcej tyle osób żyje w całej Brazylii. Nietrafnie przewidywano wówczas, że Indie przeskoczą populację Chin w 2030 r., stało się to aż siedem lat wcześniej. Spis zrodził też wątpliwości: co, jeśli fali młodych nie uda się zatrudnić i wykształcić? Czy staną się demograficzną bombą, zapalnikiem politycznych frustracji?

Z południa na północ

Na tej obawie zasadza się współczesna indyjska polityka, a rządzący krajem od 2014 r. Narendra Modi i jego prawicowa Indyjska Partia Ludowa (BJP) bez wątpienia korzystają ze znajomości statystycznych trendów, by skutecznie zarządzać nastrojami – co pokazują zakończone w ubiegłym tygodniu ich spektakularnym sukcesem wybory lokalne m.in. w Bengalu Zachodnim, dotąd rządzonym przez komunistów i populistyczną lewicę.

Spis z 2011 r. zadziwił też Indie ponurym obrazem nierówności płciowych: okazało się, że na każdy tysiąc mężczyzn w społeczeństwie przypada zaledwie 914 kobiet. A to objaw głębokiej i utrwalonej dyskryminacji: aborcji żeńskich płodów, zabójstw nowo narodzonych dziewczynek, systemowego niedożywienia, gorszej opieki medycznej, kulturowej pogardy. Dlatego wiele organizacji kobiecych, a także sam rząd Modiego, który skutecznie kusi kobiety programami pomocowymi i progresywnymi zmianami w prawie, z niepokojem czeka na nowe informacje o tym, czy wdrażane działania cokolwiek zmieniły na lepsze.

Dane z ostatniego spisu powszechnego do dziś decydują o tym, kto dostaje zasiłki, racje nafty i ryżu, kto może liczyć na gwarantowane zatrudnienie. A ponieważ w ciągu 15 lat setki milionów ludzi się przemieściły, przeprowadziły do miast na stałe lub przyjęły system wahadłowego życia i prac sezonowych, wysłały dzieci do szkół, zmieniły zawód, rower na samochód, można założyć, że znaczna część polityk społeczno-ekonomicznych trafia kulą w płot.

Spis powszechny powinien się odbyć w 2021 r., ale odroczono go z powodu pandemii. Tyle że gdy życie wróciło do normy, premier Modi ogłosił, że odkłada badanie do odwołania – z powodów politycznych, aby nowy spis powiązać z przeorganizowaniem kluczowych kategorii społecznych i okręgów wyborczych. Z jednej strony takie urealnienie mapy administracyjnej i jej adekwatne powiązanie z ordynacją wyborczą ma uzasadnienie wynikające z migracji i zmian w populacji. Z drugiej – indyjski rząd wykorzystał ten czas, by przyszykować grunt pod przemeblowanie rozkładu sił politycznych w parlamencie.

I to jeden z trzech powodów, dla których trwający spis powszechny budzi niepokój i krytykę. Drugim jest coraz mniejsza wiarygodność zbieranych w Indiach danych, a trzecim – pierwsze od 95 lat uwzględnienie w badaniu kategorii kasty. Ale po kolei.

Indyjską politykę kształtują dwie statystyczne boginie: demografia i migracja. Populacja nadal rośnie i przemieszcza się, obecnie szacuje się, że już 600 mln Indusów, ponad 40 proc. społeczeństwa, migruje wewnątrz kraju co najmniej sezonowo – z powodu pracy albo zawarcia małżeństwa. Główna autostrada wędrówek prowadzi z obszarów wiejskich w kierunku dużych miast i megamiast, jak Delhi, Mumbaj czy Kalkuta.

Tu jednak objawiają się istotne różnice między regionami kraju. O ile wysoka dzietność notowana jest na północy i tam stany takie jak Uttar Pradesz czy Bihar populacyjnie puchną, a ich mieszkańcy pozostają relatywnie ubodzy, o tyle na południu, np. w Kerali czy Tamilnadu, tendencja jest inna – tam rośnie stopa życiowa, ludzie są zamożniejsi, ale rodzi się mniej dzieci, populacja spada.

Tam też leży jedyna niepodbita politycznie przez prawicową BJP kraina. Zanurzone w osobnych tradycjach cywilizacyjnych, mówiące innymi niż hindi językami południe kraju utrzymuje własną, specyficzną kulturę polityczną. Np. w Tamilnadu w ubiegłotygodniowych wyborach lokalnych znów wygrał popularny gwiazdor filmowy, a jego kampania wyborcza odwoływała się do haseł sprawiedliwości społecznej i przebiegała w stylu kinowych przebojów o superbohaterach pokonujących demony nierówności.

Południe wydaje się impregnowane na metody stosowane przez rządzącą już w znakomitej części Indii partię Modiego. Jednak wkrótce może zapłacić za to systemowo potwierdzoną marginalizacją. Bo choć sam spis powszechny nie ma nic wspólnego z polityką ani ustrojem, już wiadomo, że wynikające z niego dane staną się argumentem podczas próby nowego przyporządkowania mandatów do okręgów wyborczych. Nie bez powodu Narendra Modi zarządził kilka lat temu wybudowanie nowych budynków dla obu izb władzy ustawodawczej. Najpewniej myślał już o – zapowiadanym teraz otwarcie – zwiększeniu liczby członków Lok Sabhy, niższej izby parlamentu, z 543 do 850 osób. Mandatów ma przybyć, ale też zmienić się mają proporcje, dając faktyczną przewagę stanom północnym, w których BJP ma swoją bazę wyborczą.

Rejestr podejrzanych

Zgodnie z konstytucją liczba mandatów przydzielana jest stanom adekwatnie do populacji, a wszystkie okręgi wyborcze mają mniej więcej tę samą liczbę mieszkańców. To oznacza, że po każdym spisie powszechnym ich granice powinny być przerysowywane zgodnie ze zmianami liczby ludności. Było tak w 1951, 1961 i 1971 r., potem przekształcanie okręgów wstrzymano.

Teraz na przerysowaniu okręgów straci południe: Karnataka, Andra Pradesz, Tamilnadu, Kerala, Telangana, gdzie żyje – w lepszym zdrowiu i w większej zamożności – ok. 20 proc. obywateli. Tamtejsi politycy nie chcą być karani za wyższą stopę życiową wiążącą się (jak na całym świecie) z niższą dzietnością. Ale cenzus potwierdzi, że więcej ludzi żyje na północy, co da Modiemu argument, aby upierać się, żeby mandatów przybyło tam, gdzie jest więcej (jego) wyborców.

Niejasne jest, dlaczego liczba miejsc w parlamencie ma wzrosnąć akurat do 850, bo nie wynika to proporcjonalnie ze wzrostu populacji. Nie wiadomo również, w jaki sposób mandaty miałyby zostać przypisane konkretnym grupom mającym zagwarantowane parytety. To nie tylko członkowie ujętych w załącznikach do konstytucji kast i plemion chronionych przed wykluczeniem, lecz również – na mocy nowo przyjętej legislacji – kobiety, którym teraz przysługuje w parlamencie 33 proc. mandatów.

eprasa.pl 7f01362802

Poza przerysowaniem mapy wyborczej prawicowy indyjski rząd – lansujący wizję Indii jako hinduskiego monolitu osadzonego w hinduistycznej religii i kulturze, zupełnie na kontrze do wielokulturowej i świeckiej idei z czasów powstawania niepodległej republiki w 1947 r. – postanowił utworzyć Narodowy Rejestr Populacji. Ma on identyfikować osoby przebywające w kraju od co najmniej sześciu miesięcy – w tym wskazywać podejrzanych przybyszów, którzy muszą udokumentować legalność swego pobytu i pochodzenie.



Kampania społeczna promująca spis ludności, Nowe Delhi

Dodatkowo rządząca koalicja przeforsowała też w parlamencie poprawkę do ustawy o obywatelstwie, która zdaniem obserwatorów jest narzędziem dyskryminacji muzułmanów. Bo daje szybką ścieżkę legalizacji obywatelstwa imigrantom z Pakistanu, Bangladeszu i Afganistanu – pod warunkiem że nie są muzułmanami. Chroni ich jako uchodźców przed prześladowaniami religijnymi. Wyklucza natomiast ok. 200 mln osób wyznających islam, które na skutek migracji w regionie znalazły się na terenie Indii.

Indie pierwsze

Polityczna instrumentalizacja badań i obawy o wolność profilowanych obywateli to jeden wymiar. Ale szczególny indyjski paradoks polega na tym, że w epoce *big data* – w której na całym świecie zbieranych jest coraz więcej informacji – wielka demokracja pozostaje w tyle: indyjscy badacze alarmują o kryzysie wiarygodności metod badawczych i instytucji, a także braku adekwatnych narzędzi. I to w kraju, który *de facto* jest matką współczesnych wielkich badań statystycznych.

Wkrótce po uzyskaniu niepodległości Indie, zainspirowane radzieckim centralnym planowaniem, postanowiły wdrożyć podobny model i w tym celu dokładniej zbadać społeczeństwo. Pierwszy premier Jawaharlal Nehru zarządził utworzenie narodowego biura statystycznego i już w 1953 r. Indusi przeprowadzali badania na tak wielką skalę. Pierwsze statystyczne ekspedycje do najdalszych zakątków kraju dostarczały bezcennych danych. Wiedza o tym, co uprawiają, co jedzą, w co wierzą mieszkańcy całego subkontynentu, fundamentalnie zmieniła myślenie o zarządzaniu, przede wszystkim gospodarczym. A testowane wówczas metodologie zostały przyjęte przez międzynarodowe organizacje.

I tu paradoks: dziedzina, w której Indie – kraj rozwijający się – odniosły tak wyjątkowy sukces, zmaga się dziś z kryzysem zaufania, a spory wokół drugiego etapu spisu powszechnego są tego dowodem. Największe emocje budzi kwestia przynależności kastowej i – szerzej – uznawania kasty za kategorię społeczną w ogóle. Ostatni spis, w którym zapytano o nią Indusów, był przeprowadzony w 1931 r. Konstytucja z 1950 r. zakazywała dyskryminacji ze względu na przynależność do kasty, wskazywała osoby urodzone w nieuprzywilejowanych warstwach społecznych jako te, którym gwarantowane będzie wsparcie m.in. w dostępie do edukacji, rynku pracy, zasiłków.

Dlatego też od 1951 r. spisy kast nie były już prowadzone. I przez lata indyjscy politycy, w tym rządząca obecnie BJP, byli zgodni, że już samo badanie kastowości mogłoby prowadzić do szkodliwego umacniania jej istnienia w świadomości społecznej i zasilania nierówności. Teraz jednak rząd zmienił zdanie i zapowiedział, że w przyszłorocznej ankiecie znajdzie się także pytanie o przynależność do kasty.

Pytanie o kastę

Spór dotyczący tego, czy o kastę pytać, czy nie, dzieli Indie na dwa główne obozy. Zwolennicy uważają, że kastowość wciąż kształtuje hierarchię społeczną, wpływa na rozdział przywilejów i profesji, organizuje związki małżeńskie i obyczajowość. I że niedotykalność nie jest abstrakcyjną figurą z przeszłości, ale praktyką nadal skutecznie wykluczającą wielu ludzi ze ścieżki awansu i dostępu nie tylko do przywilejów, ale i do godnego życia. Przykładem niech będzie to, że czyścicielami kanalizacji w Indiach są – z pokolenia na pokolenie – osoby urodzone w kastach najniżej usytuowanych na drabinie społecznej. Nieujmowanie kastowości w badaniach może więc tworzyć pozory neutralności, ale nie pozwala rozpoznać faktycznych nierówności i wdrażać rozwiązań je niwelujących.

Przeciwnicy z kolei podkreślają, że nadawanie kastowości wymiaru statystycznego tylko wzmacnia taką identyfikację, może posłużyć do politycznej polaryzacji i prowadzenia polityki opartej na tożsamości, a także zwiększać ryzyko politycznej agresji. Niektóre badania nad przemocą wskazują, że do ataków motywowanych przynależnością kastową dochodzi dziś w Indiach coraz częściej, nawet częściej niż do ataków ze względu na wyznanie czy płeć. Wybitny znawca kastowości Anand Teltumbde uważa, że kasta jest kategorią, która nie poddaje się reformowaniu i jest niemożliwa do statystycznego zmierzenia, a włączenie jej do spisu powszechnego da jej nowe życie, zamiast ją pogrzebać.

W 1881 r., gdy w brytyjskich Indiach po raz pierwszy przeprowadzano ogólnopaństwowy spis, na pytania o życie i codzienność odpowiadało 250 mln ludzi. I tak od prawie 150 lat, średnio raz na dekadę, rosnąca populacja powtarza ćwiczenie ze spoglądania w statystyczne lustro. Tym razem istnieje wyjątkowe ryzyko, że politycy zechcą je zmienić w krzywe zwierciadło.

PAULINA WILK

© SANCHIT KHANNA/HINDUSTAN TIMES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7f01362802

Pierwszy żołnierz Trumpa



Generał Dan Caine ma najtrudniejsze zadanie na świecie: musi przekładać strumień świadomości prezydenta USA na precyzyjne działania zbrojne.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Uszczelnił granicę USA z Meksykiem. Deportował wojskowymi samolotami migrantów. Zniszczył penetrującymi bombami potencjał nuklearny Iranu. Zablokował przerzut narkotyków z Karaibów. Porwał prezydenta Wenezueli Nicolasa Maduro i zabił najwyższego przywódcę Iranu Alego Chameneiego. W brawurowej akcji za linią wroga uratował dwóch zestrzelonych w Iranie pilotów myśliwca. Wreszcie – zablokował cieśninę Ormuz.

57-letni gen. Dan „Raizin" Cain zdaje się kroczyć od zwycięstwa do zwycięstwa – w ślad za prezydentem Donaldem Trumpem. Na tle rozemocjonowanych polityków, takich jak sekretarz obrony Pete Hegseth, gen. Caine emanuje spokojem i dyscypliną, unika obrażania dziennikarzy i nie wrzuca do internetu głupawych filmików. Stara się być „dorosłym w pokoju" – jednym z nielicznych, którzy zostali u boku Trumpa.

Przy takim prezydencie USA sytuacja „pierwszego żołnierza Ameryki", usiłującego wyjaśniać i uzasadniać nawet najbardziej niespójne, sprzeczne i ryzykowne posunięcia, jest jednak nie do pozazdroszczenia. Politycy z prezydentem na czele widzą go raczej w roli statysty niż wizjonera. Gen. Caine w pewnym sensie ma za swoje, bo świadomie wszedł w samo centrum politycznego cyklonu.

Caine poznał Trumpa kilka lat temu, gdy w czasie jego pierwszej kadencji był jednym z dowódców odpowiedzialnych za operację „Inherent Resolve", czyli koalicyjną walkę z tzw. Państwem Islamskim (ISIS). W karierze Caine'a – podobnie jak w przypadku wielu współczesnych amerykańskich oficerów – wojna z terrorem miała znaczenie formacyjne.

Zamachy z 11 września 2001 r. zastały go w bazie sił powietrznych Andrews pod Waszyngtonem, która okazała się nieprzygotowana na taki atak. Poderwane z opóźnieniem myśliwce Gwardii Narodowej Lotnictwa nie miały nawet uzbrojenia, więc ich piloci dostali zadanie taranowania potencjalnych celów zagrażających stolicy. Ostatecznie nic takiego nie było potrzebne, a Caine za sterami F-16 tego dnia nie zasiadł.

Miesiąc później był już na Bliskim Wschodzie. W ramach przygotowań do ataku USA na Irak planował polowanie na irackie wyrzutnie rakiet balistycznych. To było specyficzne zadanie, łączące wsparcie sił powietrznych i gwałtowne działania naziemnych grup bojowych. Wracając na chwilę do współczesności – sposób eliminacji irańskich rakiet, zastosowany w ostatnich tygodniach, to także efekt analiz Caine'a sprzed 20 lat. Z czasem stał się najlepszym specjalistą od współpracy sił powietrznych z tzw. specjalsami.

Trump poznał go właśnie przy tej robocie i był pod wrażeniem – spotkany w Iraku Caine zapewnił go o możliwości pokonania ISIS w tydzień. W swoim stylu Trump chwalił się też uwielbieniem, jakim darzyć go miał wojskowy. Ale legendarnej czerwonej czapeczki z napisem MAGA, którą rzekomo Caine zakładał, nie wypatrzono na żadnych zdjęciach.

W ogóle od polityki Caine starał się trzymać z daleka, bliżej było mu do biznesu. Mimo że jest synem pilota walczącego w Wietnamie, nie chciał iść ścieżką typowej wojskowej kariery – od porucznika do generała. Do wojska trafił z uczelni jako oficer rezerwy. Po kampanii bliskowschodniej związał się z funduszem inwestycyjnym, a przed spodziewanym

© ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7f01362802

końcem kariery pracował jako dyrektor do spraw kontaktów wojskowych w CIA. Oznaczało to wejście jeszcze głębiej w świat największych tajemnic.

To również musiało robić wrażenie na Trumpie, który – choć ma awersję do „wiecznych wojen" – lubi demonstrować siłę, ceni wojskowe tajemnice i błyskawiczne działania bez strat. Wszystko to dziś oferuje mu Caine – w odpowiedzi na kolejne prezydenckie pomysły generał przedstawia ambitne sposoby ich realizacji. Po atakach na Wenezuelę i Iran widać dokładnie, jak osobiste doświadczenie tego oficera kształtuje obecne operacje wojskowe USA, które są gwałtowne, dynamiczne i zrywają z wcześniejszymi schematami.

Caine do Pentagonu trafił w lutym 2025 r., miesiąc po ponownym zaprzysiężeniu Trumpa. W departamentach rządu federalnego szalał wówczas Elon Musk z ekipą DOGE, ścinając bez opamiętania wydatki i wyrzucając ludzi na bruk, a sekretarz obrony Pete Hegseth wyciskał pompki między tłumaczeniem się z zarzutów o nałogi i przemoc a ograniczaniem swobody pracy dziennikarzy w największym resorcie federalnym.

Dan Caine trzy miesiące wcześniej przeszedł na wojskową emeryturę w stopniu trzygwiazdkowego generała sił powietrznych. Państwo gwarantowało mu apanaże w wysokości 150–200 tys. dol. rocznie, ale prywatny biznes mógł mu zapewnić fotel wiceprezesa w firmie zbrojeniowej, eksperta poważnego think tanku, wykładowcy szacownej uczelni lub choćby płatnego komentatora.

Mógł więc Caine dołożyć do wojskowej emerytury co najmniej drugie tyle – z dala od dramatycznych decyzji podejmowanych pod polityczną i medialną presją. A jednak przyjął ofertę Trumpa i został naczelnym wojskowym doradcą prezydenta USA. Nie przeszkodziło, że prasa miała wątpliwości. Wszak Caine nie ma za sobą ani typowej kariery, ani wymaganego na tym stanowisku najwyższego stopnia: czterogwiazdkowego generała. Ale drobiazgowe przesłuchanie w senackiej komisji przeszedł gładko.

W rewolucyjnej atmosferze początku drugiej kadencji Trumpa wszedł w politykę, czym w praktyce jest objęcie stanowiska przewodniczącego kolegium połączonych szefów sztabów (Chairman of the Joint Chiefs of Staff). To specyficzny organ, który trudno bezpośrednio porównać do europejskich rozwiązań.

Szefowie sztabów zostali połączeni w 1947 r., wcześniej reprezentowali samodzielne i nieprzepadające za sobą siły zbrojne: armię, czyli wojska lądowe, marynarkę wojenną i lotnictwo, podległe wówczas siłom lądowym. Ich współdziałanie przy prezydencie okazało się niezbędne w czasie drugiej wojny światowej, ale nie miało jeszcze wymogu współpracy między wojskami i ich szefami. Lata powojenne pogłębiły nawet tę odrębność – zwłaszcza lotnictwa, które po wydzieleniu z armii na dwie dekady stało się głównym dysponentem broni jądrowej i rdzeniem nuklearnych sił strategicznych.

„Szefowie" wojsk (odwołanie do wodzów – chiefs) zostali połączeni nieco przymusowo i sprowadzeni do obecnej roli dopiero w 1986 r. na mocy ponadpartyjnej ustawy Goldwater-Nichols, wyznaczającej zwierzchnikom wojsk rolę doradczą i nadzorczą, ale nie dowódczą. Również ich przewodniczący, mimo miana pierwszego żołnierza Ameryki, jest naczelnym doradcą prezydenta i sekretarza obrony (a teraz wojny), ale nie wydaje nikomu rozkazów.

Dowodzenie siłami zbrojnymi USA jest bowiem funkcją politycznej władzy wykonawczej. Na szczycie tej hierarchii, zgodnie z konstytucją, stoi prezydent jako głównodowodzący armii i marynarki wojennej (dziś i innych *services*). Władza wojskowa prezydenta przekłada się przez sekretarza obrony bezpośrednio na dowódców regionalnych (odpowiedzialnych za różne obszary świata) i funkcjonalnych (kierujących różnymi systemami wsparcia wojsk operacyjnych: transportem strategicznym, siłami specjalnymi, nuklearnymi itd.).

Osobna, jeszcze krótsza ścieżka kierowania i dowodzenia dotyczy arsenału nuklearnego. Generałów będących na krótkiej linii z prezydentem jest 11, ale szef kolegium połączonych sztabów znajduje się poza tym łańcuchem. W ramach wojskowego doradztwa i opiniowania rozkazów prezydenta może mu przekazywać poglądy własne oraz rady otrzymane od członków kolegium .

Jeśli jednak wierzyć amerykańskim mediom, gen. Dan Caine wziął sobie do serca, że ma jedynie doradzać, a nie wpływać na decyzje prezydenta Trumpa. Jednocześnie jego brak „wykonawczości" sprawia, że bezpośredniej odpowiedzialności za decyzje prezydenta nie ponosi. I pewnie po akcji z Iranem w duchu za to dziękuje.

„New York Times", opisując, jak doszło do rozpętania przez USA i Izrael wojny z Iranem, przedstawia Caine'a jako krytyka Izraelczyków, którzy przekonywali Trumpa, że będzie „łatwo, szybko i przyjemnie". Caine, mając za sobą niezliczone dyskusje z izraelskimi służbami i wojskiem, ocenił, że „przedstawiają sytuację jednostronnie, a ich plany są jak zwykle niedopracowane".

Miał poważne obawy co do angażowania się USA w wojnę. Zwłaszcza jeśli jej celem miałaby być „zmiana reżimu" w Teheranie. Ostrzegał, że intensywne bombardowania Iranu szybko wyczerpią amerykańskie zapasy cennej amunicji precyzyjnej, potrzebne przecież na innych terenach działań. Zwracał uwagę na ryzyko zablokowania cieśniny Ormuz z konsekwencjami trudnymi do przewidzenia. Przyjął jednak bierną postawę. Pytał jedynie: „I co wtedy?", ale nie starał się powstrzymać wojowniczych zamiarów Trumpa.

Gdy padł rozkaz do ataku, kampania powietrzna poszła wzorowo, choć olbrzymim kosztem. Skazą na ofensywie było – wciąż czekające na wyjaśnienie – zbombardowanie szkoły i ponad setka cywilnych ofiar. Fatalnie poszło też z ochroną baz USA w regionie – życie stracili żołnierze, zniszczono cenny sprzęt. Największym wyzwaniem taktycznym była na pewno akcja poszukiwania i uratowania załogi myśliwca F-15E, ale jej powodzenie dało wojskowym powody do dumy.

Dla gen. Caine'a najtrudniejsze jednak okazało się lawirowanie między precyzyjnym językiem operacji wojskowych a luźnym potokiem świadomości, jaki wylewa się z ust i wpisów prezydenta Trumpa. Kluczył, gdy trzeba było reagować na oświadczenia o „zniszczeniu cywilizacji". Poprawiał sekretarza obrony, gdy padały pytania o branie na cel cywilnych elektrowni i mostów. Korygował zapowiedzi dotyczące amerykańskiej blokady Ormuzu.

Na razie udaje mu się utrzymać wiarygodność amerykańskich sił zbrojnych i etos oficera. Nawet jeśli nie wiadomo, kto wygrał wojnę i kto kogo bardziej blokuje. Ale im dłużej trwa ta nibywojna, tym bardziej gen. Caine staje się „generałem Trumpa", twarzą kolejnego niezrozumiałego konfliktu. ■

eprasa.pl 7f01362802

W każdym porcie wirus



Pechowy rejs MV Hondius nie ściągnął na świat kolejnej pandemii. Zwraca jednak uwagę na ponury aspekt masowej turystyki – wzrost liczby zgonów na statkach.

MARCIN ŻYŁA

Wróciła trauma z początków pandemii covidu, wspomnienie o maseczkach i testach PCR, a nawet długo nieużywane słowa: „kwarantanna", „ognisko zakażeń", „okres inkubacji". Oraz stoicka, lecz kojarzona z kiepskimi newsami twarz szefa Światowej Organizacji Zdrowia (WHO). W czwartek 7 maja Tedros Adhanom Ghebreyesus uspokajał media: przypadki hantawirusa wykryte na statku wycieczkowym MV Hondius – który w niedzielę, już po zamknięciu tego numeru POLITYKI, po podróży z Ziemi Ognistej miał przybić do portu na Teneryfie – WHO klasyfikuje jako „niskie ryzyko". „To nie covid, to nie grypa; rozprzestrzenia się zupełnie inaczej" – wtórował mu prezes Brytyjskiej Agencji Bezpieczeństwa Zdrowotnego. Trzy laboratoria sekwencjonują genom wirusa, można się spodziewać kolejnych potwierdzonych przypadków – to jednak standardowa procedura, a więc bez paniki.

Tym bardziej że zakażenia hantawirusowe występują też w Polsce. – *W ubiegłym roku było to 19 osób* – mówi prof. Krzysztof Korzeniewski, kierownik Zakładu Epidemiologii Medycyny Tropikalnej Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie. – *Najczęściej dochodzi do nich wśród pracowników oczyszczalni ścieków, zakładów kanalizacyjnych, a na Podkarpaciu także wśród pilarzy i leśników – tam, gdzie można wejść w przypadkowy kontakt z wydzielinami gryzoni*. I choć, jak zastrzega, południowoamerykańska odmiana hantawirusa może powodować groźniejsze skutki, zagrożenia pandemią nie ma.

Co może kapitan

Na MV Hondius wszystko zaczęło się 6 kwietnia, pięć dni po opuszczeniu portu w Ushuai, gdy u jednego z pasażerów, 70-letniego Holendra, wystąpiły pierwsze grypopodobne objawy. Zmarł 11 kwietnia. Trumnę z jego ciałem zniesiono z pokładu na Wyspie św. Heleny (południowy Atlantyk), tu wysiadło też kilkudziesięcioro pasażerów, w tym 69-letnia wdowa po zmarłym. Dwa dni później, już w RPA, zmarła także ona. Trzecią ofiarą śmiertelną wirusa jest pasażerka z Niemiec. Służby w kilku krajach zidentyfikowały pasażerów, którzy opuścili statek. Śmigłowcem ewakuowano trzy osoby, a na Wyspach Zielonego Przylądka, ostatnim przystanku MV Hondius przed powrotem do Europy, na pokład weszło kilku epidemiologów.

Na samym pokładzie w razie stwierdzenia obecności potencjalnie groźnej choroby kapitan ma kilka możliwości. Może skorzystać ze zdalnej porady lekarza najbliższej grupy poszukiwań i ratownictwa (SAR), skonsultować się z armatorem lub samodzielnie zdecydować o wyborze nowego portu. To ostatnie bywa jednak ryzykowne. – *Państwo portu, do którego statek się w takiej sytuacji uda, może odmówić przyjęcia jednostki, jeśli na pokładzie są osoby zainfekowane wirusem nieznanego pochodzenia* – tłumaczy kapitan żeglugi wielkiej zatrudniony w Polskiej Żegludze Morskiej (chce zachować anonimowość, nie konsultował wypowiedzi z armatorem). I dodaje, że przed ewentualnym wejściem do portu w takiej sytuacji standardem są dwutygodniowe kwarantanny. Śmigłowcami ewakuuje się tylko pojedynczych chorych, u których zagrożone jest życie. Tak się właśnie stało w przypadku MV Hondius.

Kapitan mówi, że ewakuacje medyczne zdarzają się stosunkowo często. Podczas niedawnego dwumiesięcznego postoju na redzie w Maroku z samych tylko polskich statków obserwował aż trzy. – *Izolacja, podawanie posiłków do kabiny, zakaz przebywania w pobliżu innych pasażerów, poinformowanie armatora i ubezpieczyciela* – wymienia czynności do podjęcia w takiej sytuacji. – *Wszystko na piśmie, w mailach. Chodzi głównie o kwestie ubezpieczeniowe – w Stanach Zjednoczonych zdarzają się później roszczenia cywilnoprawne wobec kapitana. Do tego dochodzą koszty postoju, bo przecież statek, aby zarabiać, musi pływać.*

Co może państwo

Obecność na pokładzie wirusa zakaźnego podejrzanego pochodzenia zmienia jednak sytuację. Widać to na przykładzie Hiszpanii, gdzie sprawa MV Hondius podzieliła kraj. Fernando Clavijo Batlle, premier Wysp Kanaryjskich – gdzie wciąż pamięta się dramatyczny przebieg pandemii covidu, a także dba się o wizerunek bezpiecznego miejsca przed szczytem

eprasa.pl 7f01362802



© MISPER APAWU/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

sezonu turystycznego – zapowiedział, że nie przyjmie statku. 7 maja jego decyzję uchylił rząd w Madrycie. Powołując się na względy humanitarne i to, że wśród pasażerów jest wielu Hiszpanów, statek skierowano na Teneryfę.

– *W tej sytuacji nie istniał obowiązek wpuszczenia do portu. W przepisach dotyczących bezpieczeństwa życia na morzu jest on rozumiany w specyficzny sposób: łączy się z kolizjami, sytuacjami nagłymi* – mówi dr Dominik Zając z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. – *W przypadku MV Hondius nie mamy do czynienia z sytuacją nagłą.* Dr Zając tłumaczy, że gdyby wpuszczono ich na terytorium jakiegoś państwa, jego pasażerowie byliby izolowani w podobny sposób jak na statku. Co więcej, choć z ich perspektywy taka „niewola" może wydawać się przekleństwem, dla urzędników odpowiedzialnych za zdrowie publiczne czy dla WHO jest to „wybawienie" – zamknięta przestrzeń i możliwość niemal stuprocentowej kontroli.

Przyjęcia pasażerów MV Hondius odmówiły m.in. władze Republiki Zielonego Przylądka, uzasadniając to tym, że ich infrastruktura nie pozwala zajmować się tak dużą liczbą ludzi. – *Gdy człowiek wypada za burtę, nakaz udzielenia pomocy oznacza np. rzucenie mu koła ratunkowego. Ale w sytuacji MV Hondius nakaz udzielenia pomocy konkretyzuje się w postaci bardzo wyspecjalizowanej opieki medycznej. Nie każde państwo może sprostać takiemu wyzwaniu* – przypomina dr Zając. Jego zdaniem nie można nawet wymagać, żeby biedne państwo zapewniło np. odpowiedni poziom zorganizowania swojego wybrzeża. – *Na Wyspach Zielonego Przylądka wszystko, co można by zaoferować pasażerom, to zamknięcie w porcie i zablokowanie wokół ruchu.*

Sytuację komplikuje też to, że mimo standardowych procedur w różnych państwach, a czasem nawet w różnych portach tego samego państwa, „podejrzane" statki traktuje się czasem zupełnie inaczej. Kapitan żeglugi wielkiej: – *Marokańskie porty Casablankę i Jorf Lasfar dzieli ok. 80 km. W każdym obowiązują inne przepisy. Coś, co nie przejdzie w jednym, może się udać w drugim. Podczas pandemii covidu pływałem na Florydę. W Port Canaveral dostaliśmy zakaz opuszczania statku. Ale gdy popłynęliśmy do Tampy, urzędniczka się zdziwiła. „Ja bym was wpuściła"* – powiedziała.

Kapitan dodaje, że po pandemii covidu we wszystkich portach można odczuć większy lęk przed powtórką. Jednak załogi pływające do portów północno-zachodniej Afryki doskonale zdają sobie sprawę, że np. urzędnicy marokańscy to służbiści. Że jeśli szukać swojej szansy, to albo w Dakarze, albo na portugalskiej Maderze, gdzie przyjmowaniu takich statków sprzyja też względne odizolowanie wyspy.

Co może turysta

Do zakażeń pasażerów MV Hondius doszło tuż przed zaokrętowaniem w Ushuai. Chorzy podróżowali wcześniej po Argentynie, Chile i Urugwaju. Nie wiadomo, jaki był ich stan zdrowia, czy nie byli obciążeni chorobami przewlekłymi. Poza tym w medycynie znane są dwa zakażenia hantawirusowe o różnych skutkach: gorączka krwotoczna z zespołem nerkowym i hantawirusowy zespół płucny, z którym prawdopodobnie mamy tu do czynienia.

Prof. Korzeniewski: – *To nie jest tak, że ten wirus może wszystkich zakazić i doprowadzić do ciężkiego stanu klinicznego i zgonu. Proszę zauważyć, że na 150–160 osób na pokładzie zmarły trzy. W hantawirusowym zespole płucnym okres wylęgania jest krótki, wynosi zaledwie kilka dni, więc gdyby była to wysoce zaraźliwa choroba, przypadków na pokładzie byłoby dużo więcej.* Zwraca też uwagę na nowy, socjologiczny aspekt zgonów na statkach. Zdaniem profesora coraz więcej osób, często obciążonych chorobowo, decyduje się na podróże do takich miejsc jak Antarktyda, w podeszłym wieku. Do zgonów związanych wyłącznie ze starością, np. z przyczyn krążeniowych, dochodzi raz na kilka tygodni.

– *W minionym sezonie minąłem na morzu MV Hondius* – opowiada. – *Całe szczęście, że to stosunkowo nieduży statek ekspedycyjny. Proszę sobie wyobrazić, że do takiej sytuacji dochodzi na statku z 3 tys. pasażerów. Mielibyśmy powtórkę z 2020 r.* Co więcej, takie sytuacje będą się zdarzać coraz częściej. Z prostej przyczyny: międzynarodowy ruch podróżnych przyrasta w postępie geometrycznym. Na początku lat 90. na Antarktydę przypływało turystycznie kilkaset osób w roku. W sezonie 2023–24 było to już ponad 120 tys. turystów. Nie da się teraz uniknąć tłumów, a szczególnie na niewielkim pokładzie wycieczkowca. Prof. Korzeniewski zwraca uwagę, że statki wycieczkowe to wyjątkowo trudne miejsce do szybkiej ingerencji i rozwiązywania problemów zdrowotnych, co było widać podczas ostatniej pandemii. Swoim pacjentom zawsze powtarza: gdy podróżujecie po świecie, zabierajcie ze sobą maseczkę. ■

eprasa.pl 7f01362802

Zazdrość i ewolucja

Jak naukowcy i naukowczynie zajęli się miłością i co się z tego urodziło, opowiada psycholożka dr Marta Kowal.

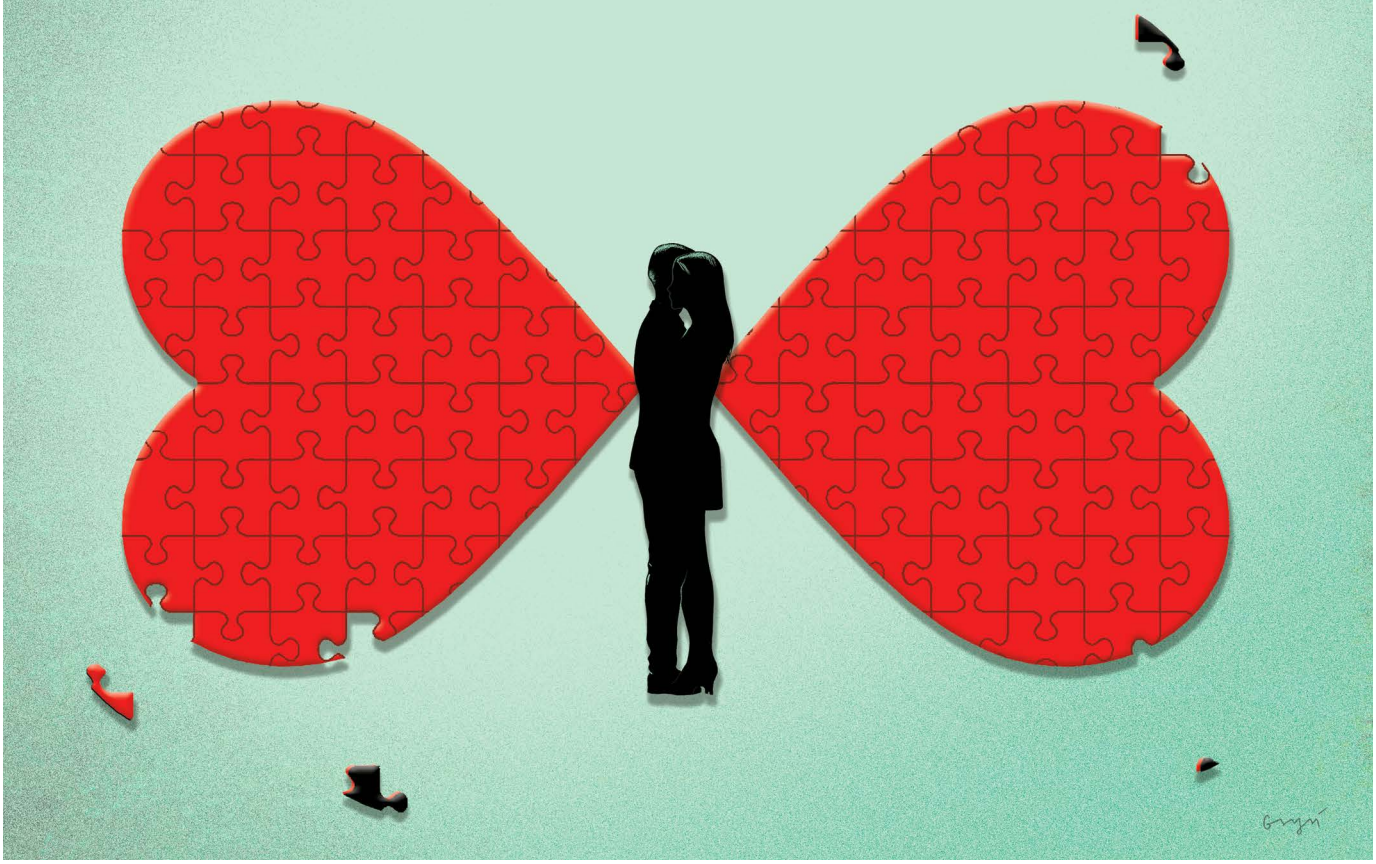

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

KASPER KALINOWSKI: **– Miłość musi być ślepa?**

MARTA KOWAL: – To przekonanie głęboko zakorzenione w naszej kulturze. Szekspir w „Kupcu weneckim" pisał, że miłość jest ślepa, a kochankowie nie dostrzegają „uroczych głupstw", jakie popełniają. Również nasi badani często przyznają, że noszą taki obraz miłości. Szczególnie na początku. Sporo w tym racji, ale mechanizm jest bardziej złożony. Psychologia od lat przygląda się „błędowi pozytywnego nastawienia" (ang. *positivity bias*), czyli tendencji do interpretowania cech i działań ukochanej osoby w korzystnym świetle. To kredyt zaufania, który dajemy partnerowi, interpretując jego zachowania. Partnerzy, u których zjawisko to jest silniejsze, tworzą zazwyczaj bardziej satysfakcjonujące relacje. Czy jednak zakochani nie widzą wad? Nasze badania pokazują coś przeciwnego. Nawet w początkowych fazach związku potrafimy bez problemu wskazać wady partnera, ale ta świadomość nie osłabia uczuć.

Czyli miłość bywa realistyczna?

I tak, i nie. Jeśli chodzi o wady partnera, bywamy zaskakująco realistyczni, ale różowe okulary sprawiają, że stajemy się dosłownie ślepi na inne osoby. Badania potwierdzają, że osoby zaangażowane w relacje często poświęcają mniej uwagi atrakcyjnym nieznajomym. Miłość nie działa jak filtr, który blokuje negatywne informacje o partnerze, lecz raczej jak mechanizm zaangażowania, który pozwala trwać przy ukochanym mimo niedoskonałości. Z kilkoma wyjątkami.

Co więc szkodzi miłości?

Przede wszystkim agresja i zdrada. Osoby, których partner dopuścił się niewierności lub stosował przemoc, deklarowały niższy poziom miłości. Ma to sens z perspektywy ewolucyjnej. Po pierwsze, agresja stanowi bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia i życia. Po drugie, zdrada zagraża sukcesowi reprodukcyjnemu i inwestycji w potomstwo. W takich momentach obojętność na wady może

eprasa.pl 7f01362802

przestać działać. Warto pamiętać, że zdrada często bywa oznaką kryzysu w relacji.

Obie płcie reagują tak samo na zdradę?

Obserwujemy wyraźne różnice międzypłciowe. Mężczyźni reagują silniej na zdradę seksualną, a kobiety na emocjonalną. Kobieta zawsze miała pewność macierzyństwa, bo to ona rodzi, a mężczyzna musiał polegać na wierności partnerki. Testy DNA to dopiero wynalazek ostatnich dekad, więc panowie są bardziej wyczuleni na sygnały niewierności seksualnej. Z perspektywy ewolucyjnej jednym z najgorszych scenariuszy dla mężczyzny jest inwestowanie zasobów i energii w cudze potomstwo. Tu warto podkreślić, że sytuacje, w których mężczyźni nieświadomie wychowują cudze dzieci, nie są tak powszechne, jak głoszą miejskie legendy. Szacunki wskazują, że ten odsetek waha się zazwyczaj od 0,5 do kilku procent.

Z kolei dla kobiet największym zagrożeniem było odejście partnera. Wiązało się to z utratą wsparcia i zasobów, co drastycznie obniżało szanse na przetrwanie potomstwa. Nasz zespół pod kierownictwem prof. Piotra Sorokowskiego kończy właśnie metaanalizę badań roli ojców w społecznościach, w których współczesne środki antykoncepcyjne nie były dotychczas znane i rozpowszechnione. Wstępne wyniki wskazują, że obecność ojca wiąże się z wyższą przeżywalnością dzieci. Żadna zdrada nie sprzyja miłości, ale zazdrość, która często jej towarzyszy, może paradoksalnie pełnić funkcję ochronną. Wyniki naszych badań na ponad 50 tys. osób z ponad 50 krajów sugerują, że wyższy poziom zazdrości bywa skorelowany z większą intensywnością miłości. Trudno stwierdzić, co jest przyczyną, a co skutkiem.

W starożytności pojawiał się pomysł wpisania stanu zakochania na listę chorób.

Wiele społeczności miało takie poglądy! W niektórych grupach, jak Oneida czy Shakersi (utopijne wspólnoty religijno-społeczne działające niegdyś w Stanach Zjednoczonych – przyp. red.), próbowano zakazać miłości. W innych kulturach, jak kolektywistyczne Chiny, gdzie dobro grupy stoi zazwyczaj wyżej niż dobro jednostki, miłość długo traktowano jako siłę, która może zburzyć sojusze polityczno-matrymonialne. Wydaje się jednak, że dziś postrzeganie miłości w wielu krajach zbliża się do perspektywy zachodniej. W jednym z naszych ostatnich badań, przeprowadzonym w 90 krajach, zaobserwowaliśmy, że ludzie na całym świecie traktują miłość jako warunek niezbędny do zawarcia małżeństwa.

Czego obie płcie poszukują u partnerów?

Taką listę stworzył jeden z najbardziej znanych psychologów ewolucyjnych, David Buss, badając 37 kultur na wszystkich zamieszkanych kontynentach. Pierwsze miejsce na liście zarówno męskiej, jak i kobiecej zajęła... miłość. Zaraz za nią znalazły się niezawodny charakter, stabilność emocjonalna i przyjemne usposobienie. To baza, która pozwala nam często budować relacje. Gdy spojrzymy głębiej, ujawniają się statystyczne różnice międzypłciowe. Inteligencja i atrakcyjność zajmują inne miejsce na liście męskiej i kobiecej. Dla kobiet ważniejsze mogą być status społeczny, inteligencja czy ambicja, a dla mężczyzn ważniejsza bywa atrakcyjność fizyczna.



Dr **Marta Kowal** pracuje w Instytucie Psychologii na Uniwersytecie Wrocławskim. W kręgu jej zainteresowań znajduje się miłość romantyczna widziana z perspektywy międzykulturowej. Prowadziła badania terenowe wśród różnych społeczności, m.in. Majów w Gwatemali, członków plemienia Dani w Papui, Maorysów na Wyspach Cooka czy Aborygenów z Australii.

Jeśli chodzi o cechy fizyczne, kobiety często zwracają uwagę na wzrost. W jednym z badań wskazywały, że idealny partner powinien być od nich wyższy o ok. 21 cm. Mężczyźni chcieli, żeby ich partnerka była o ok. 8 cm niższa. Kobiety nie wzgardziłyby partnerem silnym i muskularnym. Niedawna analiza prawie stu badań wykazała, że spośród wielu męskich cech to właśnie muskulatura najsilniej wiąże się z sukcesem reprodukcyjnym. Nie chodzi jednak o sylwetkę kulturysty! Kobiety raczej preferują atletyczną budowę w kształcie litery V: szerokie ramiona, rozbudowaną klatkę piersiową i dość wąską talię. To tzw. wskaźnik WCR (ang. *waist-to-chest ratio*). Sygnał zdrowia, dobrych genów i zdolności do obrony zasobów (w tym partnerki i potomstwa).

A czego pragną mężczyźni? Na liście wysoko plasuje się kobiece „wcięcie" w talii, tzw. wskaźnik WHR (ang. *waist-to-hip ratio*), czyli stosunek obwodu talii do bioder. Dla mężczyzn najbardziej atrakcyjny jest wynik w okolicach 0,7. Te proporcje bywają dla oceny atrakcyjności ważniejsze niż masa ciała. Do tego dochodzą sygnały młodości i zdrowia: gładka cera, lśniące włosy czy duże oczy, które sygnalizują wysoki potencjał płodności.

Mamy więc receptę na miłość?

Gdyby to było takie proste! Żadna pojedyncza cecha ani ich kombinacja nie gwarantują miłości. Sprawę utrudnia fakt, że słabo znamy sami siebie. Nasze ostatnie badania międzykulturowe pokazują, że deklarowane preferencje często rozmijają się z rzeczywistymi wyborami. Brakuje też badań eksperymentalnych. Opieramy się głównie na analizach przekrojowych i korelacyjnych, bo trudno zamknąć ludzi w laboratorium i sterować ich życiem.

A małżeństwa aranżowane? Tam partnerzy nie mają wyboru, a często takie związki okazują się trwalsze. To argument przeciw miłości?

Ależ w małżeństwach aranżowanych bywa bardzo dużo miłości, chociaż jej dynamika wygląda tu inaczej. W jednym z naszych badań przeprowadzonych w społecznościach, gdzie takie związki są normą – m.in. u Tsimane w Boliwii, Meru w Tanzanii czy Igbo w Nigerii – porównaliśmy poziom odczuwanej miłości przez osoby ze związków aranżowanych oraz tych, które powstały „z miłości".

W tych drugich poziom namiętności na początku jest zazwyczaj bardzo wysoki, ale z czasem spada. W małżeństwach aranżowanych startujemy z niższego pułapu, ale z czasem te różnice się zacierają. Co ciekawe, poziom zaangażowania czy intymności w obu typach związków po pewnym czasie może być zbliżony. Pamiętajmy też, że aranżowane małżeństwo rzadko jest „suchym" kontraktem. Rodziny, swaci czy starszyzna często biorą pod uwagę dopasowanie charakterów przyszłych małżonków. A jeśli chodzi o trwałość? Statystyki i nasze badania z ponad 90 krajów pokazują, że w kulturach kolektywistycznych pary rzeczywiście ▶

© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 7f01362802

▶ rozchodzą się rzadziej. Jednak mniejsza liczba rozwodów nie musi wcale oznaczać większej miłości czy szczęścia.

Czy w takim razie miłości może doświadczyć każdy?

Większość ludzi na świecie posiada mechanizmy fizjologiczne i psychologiczne, które z dużą dozą prawdopodobieństwa umożliwiają wywołanie tego, co nazywamy miłością. U zakochanych mamy do czynienia z koktajlem neurochemicznym. Oksytocyna i wazopresyna odpowiadają za przywiązanie, dopamina napędza układ nagrody, a endogenne opioidy (w tym beta-endorfiny) dają poczucie błogostanu.

Z badań z użyciem neuroobrazowania wiemy o aktywności konkretnych obszarów mózgu u zakochanych, takich jak brzuszne pole nakrywki, jądro półleżące czy ciało migdałowate. Aktywność mózgu u zakochanych pod wieloma względami przypomina mózg matki patrzącej na swoje dziecko. To jeden z najsilniejszych argumentów za hipotezą, że miłość romantyczna ewolucyjnie wywodzi się z o wiele starszej, pierwotnej więzi matka–niemowlę. Z kolei z dociekań genetycznych wiemy, że chociaż nie ma jednego genu, który decydowałby o miłości, to pewne warianty mogą nas na nią uwrażliwiać.

Co z psychologią?

Kiedyś sądzono, że rodzaj przywiązania do innej osoby (np. bezpieczne, unikowe czy lękowe) zależy od doświadczeń życiowych i wychowania. Obecnie wiemy, że duży wpływ mają również geny. Osoby posiadające jedną z wersji receptora mu-opioidowego (OPRM1) mogą odczuwać odrzucenie społeczne i miłosne znacznie dotkliwiej niż pozostałe, niemal jak ból fizyczny. Z kolei wariacje w genie transportera serotoniny (5-HTTLPR) bywają łączone z tendencją do obsesyjnego myślenia o obiekcie westchnień. Pamiętajmy jednak, że geny rzadko mają charakter deterministyczny. Badania sugerują, że miłość romantyczna jest doświadczeniem niemal uniwersalnym i większość ludzi doświadczy jej przynajmniej raz w życiu. Istnieje jednak pewien odsetek ludzi (ok. 1 proc. populacji), którzy identyfikują się jako osoby aromantyczne. Rośnie również liczba osób, które pozostają singlami.

Jeszcze 100 lat temu w pojedynkę żyło mniej niż 5 proc. populacji. Dziś proporcje wywróciły się do góry nogami. W naszych studiach międzykulturowych zwykle obserwujemy, że średnio ok. 30–40 proc. badanych nie jest w związkach. Te dane pokrywają się z innymi źródłami. W USA odsetek osób niebędących w związkach małżeńskich ani partnerskich sięga już 42 proc. Z kolei ostatni spis powszechny pokazuje, że w Polsce co trzecia osoba powyżej 15. roku życia jest singlem. Jeszcze 100 lat temu takie życie było ekstremalnie trudne ekonomicznie, a społecznie – nie do pomyślenia. Dziś, zwłaszcza w krajach rozwiniętych, jesteśmy w stanie utrzymać się samodzielnie. Do tego dochodzi mniejsza presja społeczna. Ludzie częściej stawiają na samorealizację i edukację, co przesuwa moment małżeństwa.

Osoby w związkach deklarują nieco wyższy poziom szczęścia i dobrostanu, ale lepiej być singlem, niż męczyć się w nieszczęśliwym związku. A niektóre badania wskazują, że związek między szczęściem a posiadaniem partnera zależy od kultury. W społecznościach indywidualistycznych, gdzie ceni się niezależność, single radzą sobie psychicznie zazwyczaj lepiej niż w społecznościach kolektywistycznych, gdzie presja rodziny bywa silniejsza. Single często kompensują brak drugiej połówki silniejszymi więziami z innymi bliskimi osobami, takimi jak przyjaciele czy rodzina.

A jeśli ktoś chce być w związku, ale nie może znaleźć życiowego partnera?

Dotyczy to np. inceli (ang. *involuntary celibates*), czyli mężczyzn, którzy są singlami z konieczności. To poważny problem społeczny, ale badania nad nim dopiero nabierają rozpędu. Tacy ludzie czują się ofiarami, mają wysoki poziom lęku i depresji, za swoje niepowodzenia winią system, kobiety czy geny, co prowadzi do radykalizacji. Wybitny badacz ewolucji kulturowej Joseph Henrich uważa, że poziom przemocy w społeczeństwie jest bezpośrednio skorelowany z liczbą młodych samotnych mężczyzn. Narzucona przez Kościół około tysiąca lat temu monogamia była znaczącą rewolucją społeczną. Nawet najpotężniejsi władcy zmuszeni zostali do posiadania tylko jednej żony, co „uwolniło" kobiety dla mężczyzn o niższym statusie. To drastycznie zmniejszyło pulę sfrustrowanych singli i – być może – przyczyniło się do spadku przestępczości i liczby wojen.

Miłość byłaby więc odpowiedzią na te problemy?

Chciałabym w to wierzyć. Miłość jest pięknym uczuciem i potrafi uskrzydlać. Oczywiście ma jednak ciemną stronę – gdy jest nieodwzajemniona albo gdy druga osoba przestaje ją odczuwać. Wciąż wiemy jednak zbyt mało na ten temat. W wielu kulturach znajdziemy zapiski o eliksirach, totemach czy magicznych rytuałach, które miały zmusić kogoś do miłości. Współcześnie proponowano podawać donosowo oksytocynę lub manipulować poziomem serotoniny, by wywołać stan przypominający zakochanie.

Sprawa jednak nie jest taka prosta. Przebadaliśmy osoby przyjmujące tzw. antydepresanty, czyli leki z grupy SSRI, zwiększające poziom serotoniny. Okazało się, że poziom miłości oraz obsesyjnych myśli o ukochanym był u nich podobny jak u tych osób, które ich nie przyjmowały. Warto też wspomnieć, że najczęstsza ścieżka do miłości wiedzie przez przyjaźń. Jedno z ważniejszych badań wykazało, że aż 68 proc. par rozpoczęło tak relację.

Single powinni rozejrzeć się wśród swoich znajomych?

Jest to obiecująca droga, ale pozostałe 32 proc. par z tego badania również było nastawionych na poszukiwanie drugiej połówki. Dziś ludzie coraz częściej zwracają się ku aplikacjom randkowym. Analizy z ostatnich lat pokazują, że coraz więcej par poznaje się w sieci. To otwiera wiele możliwości, ale i niebezpieczeństw. Zaobserwowaliśmy na przykład, że osoby, które zawarły znajomość online, charakteryzowały się nieco niższą satysfakcją ze związku i niższym poziomem miłości niż pary, które poznały się w tradycyjny sposób. Różnice nie były jednak duże.

A co z walentynkami? Warto celebrować czy niekoniecznie?

To kwestia nastawienia. Wspólne robienie nowych rzeczy spaja relację i zwiększa namiętność, co przekłada się na jakość związku. Musimy jednak pamiętać, że związek i miłość buduje równie mocno, a nawet mocniej, codzienność. Nasze badania prowadzone pod kierownictwem Agnieszki Sorokowskiej w 45 krajach pokazały, że codzienne gesty czułości, jak przytulenie czy pocałunki, były silnie powiązane z miłością. To może sprzyjać miłości skuteczniej niż wielki bukiet raz w roku.

W badaniach nad szczęściem mówi się o „bieżni hedonistycznej" (ang. *hedonic treadmill*). Do dużych przyjemności błyskawicznie się przyzwyczajamy. Jeśli wydamy fortunę na randkę, poziom szczęścia wystrzeli w górę, ale szybko wróci do poziomu bazowego. Zdecydowanie lepszą strategią jest rozbicie tego kapitału – zamiast jednego fajerwerku bardziej mogą się opłacić mniejsze, ale regularne gesty. To one sprzyjają miłości.

ROZMAWIAŁ KASPER KALINOWSKI

eprasa.pl 7f01362802



Żadnej pracy się nie bały

Czy nierówność między płciami istniała zawsze? A może to tylko jedna z wielu możliwych wersji ludzkiej historii – najlepiej udokumentowana, bo spisana później?

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Figurka kobiety z kultury Halaf (płn. Mezopotamia, ok. 6 tys. lat p.n.e.)



„Ranna Amazonka", rzeźba J.-F.-T. Gechtera z 1839 r. Poniżej: syberyjscy Chantowie na rycinie z początku XVIII w.



Spór o miejsce kobiet w pradziejach trwa od XIX w., gdy uczeni zaczęli rekonstruować pierwsze formy organizacji społecznych. W silnie patriarchalnym świecie ogromną popularność zdobyła hipoteza szwajcarskiego historyka prawa Johanna Jakoba Bachofena. W „Das Mutterrecht" (Prawo matki) z 1861 r. twierdził, że pierwotnie to kobiety odgrywały w społecznościach centralną rolę. Dla wielu była to wizja równie niepokojąca, co dla starożytnych Greków opowieści o Amazonkach. Mimo to przez dekady inspirowała filozofów i socjologów.

Z czasem jednak wahadło wychyliło się w drugą stronę. Ponieważ archeolodzy nie znajdowali dowodów na uniwersalny matriarchat, prehistorię zdominował obraz „mężczyzny łowcy" (*Man the Hunter*). Kobiety – nawet kiedy wprowadzono pojęcie „zbieraczek" (*Woman the Gatherer*) – pozostawały na drugim planie. Powrót do bardziej egalitarnych wizji przyniosły dopiero lata 70. XX w. i prace Marii Gimbutas – amerykańskiej archeolożki pochodzenia litewskiego.

Kto wędrował, kto zostawał

Na podstawie analizy figurek kobiecych i neolitycznych osad badaczka stwierdziła, że pierwsi rolnicy czcili wielką boginię i tworzyli pokojowe, egalitarne społeczności, zdominowane później przez Indoeuropejczyków, czyli patriarchalne ludy stepowe. Jej teorię wyśmiewano, bo figurki kobiet nie musiały świadczyć o matriarchacie. Poza tym badania kości i pochówków dowodziły, że w początkach neolitu pozycja kobiet zaczęła raczej spadać, a nie rosnąć. Z czasem pojawił się bardziej zniuansowany obraz: podział ról był zmienny, a dominacja mężczyzn nie wydawała się już tak oczywista. Przez ostatnie lata przeważało przekonanie, że nierówności narastały wraz z rolnictwem i rozwojem złożonych społeczeństw.

Tę narrację podważa jednak francuska badaczka Anne Augereau. W wydanej w tym roku książce „Une préhistoire des femmes" (Prehistoria kobiet) przekonuje, że korzenie nierówności sięgają znacznie głębiej – aż do paleolitu. Według niej dane izotopowe, analizy DNA i badania mikrourazów kości wskazują, że przewaga ▶

© DESMOND MORRIS COLLECTION/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES, HERITAGE ART/HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES, PRINT COLLECTOR/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7f01362802

▶ mężczyzn ma związek z organizacją pracy i mobilnością już w społecznościach łowiecko-zbierackich. Ważną funkcję miała tu pełnić patrylokalność – sytuacja, w której to kobiety częściej zmieniały miejsce zamieszkania, a mężczyźni pozostawali „u siebie", kontrolując zasoby.

Abstrahując od tego, że patrylokalność nie musi dowodzić dominacji mężczyzn, nic nie wskazuje, by praktykowano ją w paleolicie. Co prawda wedle najnowszych badań pojawiała się w niektórych późnych społecznościach łowiecko-zbierackich, jednak zazwyczaj następowało to w wyniku kontaktów z rolnikami. Nie mamy zatem do czynienia z „odwiecznym" modelem społecznym, lecz z wynikiem interakcji i przenikania się różnych tradycji. Co więcej, są dobrze udokumentowane przypadki odwrotne, takie jak społeczności z I tys. p.n.e. w Dorset – tu analizy genetyczne wskazują na model matrylokalny. Pominięcie takich przykładów sprawia, że obraz proponowany przez Augereau staje się jednostronny.



Rodzina starożytnych germańskich myśliwych (rycina z XIX w.). Poniżej: **dogu – neolityczna figurka kobieca z Wysp Japońskich (ok. 15 tys. lat p.n.e.)**

Kto polował, kto gotował

Drugim filarem argumentacji Francuzki jest podział pracy. Kości mężczyzn częściej noszą ślady urazów po polowaniach lub walce. Kości kobiet – po ręcznej obróbce roślin. Co sugeruje, że już w najstarszych społecznościach mogły istnieć struktury sprzyjające przewadze mężczyzn. Tyle że tu również obraz zaczyna się komplikować. Coraz więcej danych dowodzi, że kobiety także polowały. Augereau wspomina co prawda grób zmarłej 9 tys. lat temu na polowaniu nastolatki z Wilamaya Patjxa w Peru, pochowanej z zestawem narzędzi łowieckich. Podkreśla jednak, że „kobiety polujące zapewne istniały, ale pozostawały w mniejszości". Tyle że analizy podobnych pochówków z obu Ameryk wykazały, że kobiet myśliwych było znacznie więcej, niż dotychczas zakładano.



Bardzo istotne są też ślady zużycia zębów, które wykorzystywano od zawsze jako „trzecią rękę". Różne typy pracy pozostawiają odmienne ślady: podłużne rysy i silne starcie po obróbce skór, drobniejsze mikrorysy i polerowanie po działaniach z włóknami, a nieregularne uszkodzenia po trzymaniu twardych materiałów. W wielu społecznościach (m.in. u Inuitów) wzorce zużycia są podobne u obu płci, co może świadczyć o współdzieleniu czynności. A jeśli nawet są różnice, to nie można na ich podstawie uznać dominacji mężczyzn nad kobietami.

Augereau odwołuje się do koncepcji włoskiej antropolożki Paoli Tabet, która twierdziła, że różnice między pracami kobiet i mężczyzn to nie kwestia kompetencji ani biologii, lecz dostępu do narzędzi i technologii. To kontrola nad środkami produkcji – od broni po bardziej zaawansowane narzędzia – stawia mężczyzn na pozycji uprzywilejowanej. Kobiety, nawet jeśli wykonują ciężką i czasochłonną pracę, często robią to przy użyciu prostszych technik lub gołymi rękami, co ogranicza ich sprawczość i możliwości akumulacji zasobów. Dlatego podział pracy staje się mechanizmem strukturalnej nierówności. Augereau twierdzi, że wraz z pojawieniem się koła garncarskiego czy pługa mężczyźni podejmowali się prac wcześniej kobiecych. Materiał archeologiczny rzadko pozwala jednak przypisać konkretne technologie do jednej płci, nie mówiąc o momencie ich „przejęcia". Co więcej, niemal wszystkie przykłady, na które się tu powołuje badaczka, dotyczą neolitu. Wyjaśnienie na tej podstawie relacji między płciami w paleolicie jest nieuzasadnione.

Kto katem, kto ofiarą

Augereau w urazach kości czaszek i twarzy u kobiet widzi skutki przemocy domowej. Były one – dowodzi więc badaczka – bardziej narażone na kontrolę i przemoc ze strony partnerów lub członków wspólnoty. Swoją teorię znów opiera jednak w większym stopniu na obserwacjach etnograficznych, według których to mężczyźni częściej stosują przemoc, bo polując, mają kontrolę nad bronią, a przede wszystkim charakteryzują się większą siłą i skłonnością do agresji. Tymczasem ślady na kościach rzadko pozwalają jednoznacznie określić przyczynę urazu, który może być wynikiem wypadku, polowań czy konfliktów międzygrupowych. W przeszłości to mężczyźni mieli większą liczbę obrażeń, częściej bowiem uczestniczyli w polowaniach czy bójkach. Przejście od obecności przemocy do wniosku o systemowej dominacji jednej płci to kolejny skrót interpretacyjny.

Teza jakoby nierówność płci miała korzenie w paleolicie jest archeologicznie nie do udowodnienia. W materiale bardziej jednoznacznie da się ją zauważyć dopiero wraz z przejściem na rolnictwo i osiadłym życiem. Wówczas bowiem zwiększyła się zależność od ziemi i dziedziczenia, doszło do kumulacji dóbr, a zatem kontrola nad reprodukcją kobiet zaczęła mieć większe znaczenie. To wszystko sprzyjało utrwaleniu struktur patriarchalnych.

Kto uogólnia, kto interpretuje

W 2009 r. ukazała się książka „The Invisible Sex" (Niewidzialna płeć). James M. Adovasio, Olga Soffer i Jake Page zwracali w niej uwagę, że problem nie polega na braku danych o kobietach, lecz na tym, jak je interpretujemy. Przez

eprasa.pl 7f01362802

dekady archeologia skupiała się na kamieniach, broni, narzędziach, a więc na śladach aktywności częściej przypisywanej mężczyznom. Tymczasem wiele kluczowych technologii – od produkcji odzieży po wytwarzanie sieci czy pojemników – pozostaje niemal niewidocznych w zapisie archeologicznym, choć mogły mieć fundamentalne znaczenie dla przetrwania i ekspansji *Homo sapiens*. Nowe badania, na które powołuje się Augereau, niewątpliwie poszerzają naszą wiedzę, ale – jak słusznie zauważył Brian Fagan, emerytowany profesor University of California i autor kilkudziesięciu książek popularnonaukowych o prehistorii – „i tak wiele pytań o relacje między kobietami a mężczyznami w pradziejach pozostaje poza naszym zasięgiem".

Badacze od zawsze uogólniają i tworzą jednowymiarowe modele. Tymczasem coraz więcej badań pokazuje, że przeszłość była raczej mozaiką społeczności o różnych sposobach organizacji życia i relacji między kobietami a mężczyznami. Ta różnorodność może być najbardziej charakterystyczną cechą ludzkich dziejów przed pojawieniem się wielkich cywilizacji. David Graeber i David Wengrow w „Narodzinach wszystkiego" podkreślają, że ludzie przez tysiące lat potrafili zmieniać struktury społeczne w zależności od warunków środowiskowych, sposobu gospodarowania czy lokalnych tradycji.

Francuska archeolożka uważa, że obraz egalitarnych pradziejów to bardziej „projekcja współczesnych wyobrażeń niż wniosek wynikający z danych". Nawet jeśli ma rację, to jej argumenty nie są przekonujące. W niewielkich rodzinnych społecznościach łowiecko-zbierackich egalitaryzm był nie tyle jakąś odgórną ideologią, ile warunkiem przetrwania, bo w obliczu zagrożenia wypadkiem lub śmiercią najbliższych każdy dorosły musiał radzić sobie sam. Czy fakt, że kobiety w paleolicie były samodzielne i „żadnej pracy się nie bały", wystarczał, żeby nigdy nie odczuwały przewagi siłowej swoich partnerów? Pewnie nie. To, jak radziły sobie z tą fizyczną asymetrią, pozostaje jednak jedną z tych kwestii, których nie da się jednoznacznie rozstrzygnąć na podstawie samego materiału kostnego.

Kto stwierdza, kto pyta

W wielu współczesnych społecznościach łowiecko-zbierackich podział ról bywa bardzo elastyczny – panie polują, panowie opiekują się dziećmi. W przeszłości zatem dopiero wraz ze wzrostem liczebności grup, pojawieniem się trwałych osad czy rozbudowanych sieci współpracy społecznej różnicowanie ról stawało się wyraźniejsze. Tyle że nie we wszystkich wspólnotach prowadziło to do podporządkowania kobiet, choć naturalnie większa agresja i rywalizacja między mężczyznami z pewnością wpływała na dynamikę relacji społecznych.

Historia kobiet przez stulecia była pomijana jako mało istotne tło wielkich dziejów. Nic więc dziwnego, że także prehistoria stała się przestrzenią, w której szukamy odpowiedzi na pytania o źródła nierówności, o podział ról i o to, co w ludzkich relacjach było historycznym wyborem, a co biologicznym ograniczeniem. Interpretacje dotyczące kobiet budzą wiele emocji, ponieważ nie chodzi w nich wyłącznie o to, czy polowały, dziedziczyły, odprawiały rytuały albo zajmowały wysoką pozycję w swoich wspólnotach. Rzecz w tym, czy nierówność między płciami jest czymś „odwiecznym", czy raczej układem społecznym, który przybierał bardzo różne formy i zmieniał się w czasie.

W tym sensie archeologia wpływa na to, jak opowiada się początki naszego świata i jakie miejsce wyznacza w tej opowieści kobietom. Im silniej te pytania trafiają do debaty publicznej, tym większa pokusa, by z danych archeologicznych wydobywać nie tyle złożoność przeszłości, ile gotowe odpowiedzi na współczesne spory. Prehistoria uczy jednak ostrożności wobec prostych narracji.

Anne Augereau, chcąc rozprawić się z naiwnymi wyobrażeniami o pradawnym matriarchacie, momentami przesuwa wahadło zbyt daleko w drugą stronę. Fakt, że często powołuje się na te same przykłady, które innym służyły, by dowodzić egalitarności i równości płci, pokazuje, jak bardzo wnioski w archeologii zależą od zadanych pytań. Te zaś zmieniają się z czasem. Dlatego spór o kobiety w prehistorii raczej się nie skończy – będzie wracał jak bumerang, za każdym razem w trochę innej formie.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© FLORILEGIUS/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES, DE AGOSTINI/GETTY IMAGES

REKLAMA

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!
Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!
26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI
Formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia
Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaKS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl 7f01362802

Królowie królów



Szach Iranu Mohammad Reza Chan Pahlawi z trzecią żoną Farah i synem Rezą w ceremonialnych strojach

eprasa.pl 7f01362802

Sto lat temu na perskim tronie zasiadła dynastia Pahlawich. I wciąż nie może się uwolnić od biało-czarnego portretu, jaki narysowała jej islamska rewolucja.

ŁUKASZ WÓJCIK

Korona Pahlawich to jeden z najsłynniejszych klejnotów koronacyjnych, które przetrwały do współczesności. Pierwszy raz publicznie spoczęła na skroniach Rezy Chana sto lat temu, 25 kwietnia 1926 r. Zdobiona 3380 diamentami o łącznej wadze prawie 300 g. Największy, 60-karatowy żółty brylant otoczony jest promieniami z białych diamentów. Poniżej ułożonych w trzech rzędach 369 białych pereł. Całość wysoka na ok. 30 cm, szeroka na 20 cm, waży ponad 2 kg.

Sama uroczystość była skromna. Persja wciąż nie wygrzebała się z powojennego chaosu. Teheran bardziej przypominał półpustynną stanicę niż miasto stołeczne. Przywieziona jeszcze przez Brytyjczyków kareta przejechała niemal puste ulice do Pałacu Kwiatów w centrum miasta, gdzie w Sali Pokoju wyłożonej lustrami, które ucierpiały podczas ostatnich amerykańskich nalotów, rozpoczęła się historia najkrótszej, ale być może i najważniejszej dynastii w historii Persji i Iranu.

Przy okazji obecnej wojny w Iranie w internecie zawrotną karierę robią czarno-białe zdjęcia z „dawnego kraju". Przełom lat 50. i 60. XX w., sala wykładowa Uniwersytetu Teherańskiego, w której mężczyźni i kobiety siedzą obok siebie ubrani po europejsku. Dziewczyny na teherańskiej ulicy w miniówkach i krótko przyciętych włosach. Szach Mohammad Reza Pahlawi w eleganckim garniturze u boku swojej trzeciej żony Farah, która promienieje urodą.

Wszystkie te popularne przedstawienia nie są zmyślone, ale bardzo wybiórcze. Odegrały rolę w stworzeniu wyidealizowanego obrazu nowoczesnego Iranu, rzekomo wydartego mułłom na 54 lata, gdy krajem władała dynastia Pahlawich (1926–79).

Wyzierająca z tych zdjęć estetyka jest fascynująca dla współczesnego odbiorcy z Zachodu, któremu Persja, a potem Iran, zupełnie inaczej się kojarzy. Przywołane zdjęcia ukrywają jednak rzeczywistość dyktatorskiego reżimu, który torturował dysydentów, podczas gdy jego monarchowie biesiadowali z europejskimi elitami i zajadali się deserami z najlepszych paryskich restauracji, dowożonymi lotniczo do Teheranu.

Zwolennicy i krytycy Pahlawich zdają się do dziś podkreślać, że byli oni bezkompromisowymi zwolennikami okcydentalizmu. Oraz że siłą próbowali zwrócić Iran w kierunku Zachodu. To bardzo wygodne poznawczo, biało-czarne jak te zdjęcia, od których zaczęliśmy. I pasuje do późniejszej opowieści o Pahlawich tworzonej już po islamskiej rewolucji, która ich obaliła. Tyle że to wspomnienie (i wrażenie) jest fałszywe.

Na początku XX w. Persja była de facto kolonią dzieloną przez dwa mocarstwa – Imperium Rosyjskie i Wielką Brytanię. W kraju nominalnie rządziła dynastia Kadżarów blisko skoligacona z rosyjskimi bojarami. Nad jej bezpieczeństwem czuwała Perska Brygada Kozacka – wówczas jedyna zorganizowana jednostka wojskowa w kraju. Jej kadrę oficerską stanowili Rosjanie, którzy bardziej niż Kadżarów słuchali swoich petersburskich zwierzchników. Niższe szarże nosili jednak Persowie – niejednokrotnie była to dla nich najszybsza droga awansu społecznego. I w tym miejscu pojawia się przyszły szach Reza Chan. Jako kilkulatek stracił ojca, również wojskowego. Wtedy matka zabrała go do Teheranu, pod opiekę brata, który był podoficerem u Kozaków.

Reza szybko wpisał się w charakter jednostki składającej się z ludzi nieco szalonych, często brutalnych, niestroniących od alkoholu. Jak pisze historyk Michael Axworthy, długo nie przejawiał politycznych ambicji, ale piął się szybko w strukturze brygady. Gdy po rewolucji październikowej w Rosji brygada ▶



Szach Reza Chan z dziećmi: Mohammadem Rezą (po lewej)**, księżniczką Szams** (w środku) **i księżniczką Aszraf** (po prawej)**, 1928 r.**

© UIG/GETTY IMAGES, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 7f01362802

▶ poszła w rozsypkę, Reza zaczął zbierać lojalne mu pododdziały. Po zakończeniu wojny był już najsilniejszym dowódcą w pogrążonym w chaosie kraju.

W lutym 1921 r. Reza ze swym oddziałem zajął Teheran, a dwa lata później przekonał kadżarskiego szacha, że grozi mu śmierć i skłonił do wyjazdu za granicę. W kraju natychmiast rozgorzała dyskusja – podkręcana przez Rezę – na temat wprowadzenia republiki. Sprzeciw duchownych był jednak zbyt silny. Gdy jesienią 1925 r. szach chciał wrócić do kraju, Reza zorganizował przeciw niemu protesty. Ostatni Kadżar się poddał, a wkrótce potem parlament intronizował nową dynastię, która na początku wcale nie nazywała się Pahlawi.

Nowy szach nie miał nazwiska, co nie było wówczas niczym niezwykłym w Persji. Reza postanowił więc, że będzie się nazywał Pahlawi, co w języku staroperskim oznacza wojownika. Jest to również nazwa języka tzw. środkowego perskiego, używanego w czasach Jezusa, co ważne – przed panowaniem arabsko-islamskim.

Z tym nazwiskiem związana jest anegdota. Otóż gdy Reza pojechał do urzędu zarejestrować się jako Pahlawi, okazało się, że już ktoś wybrał to nazwisko. Szach odnalazł tego człowieka i kazał mu je oddać. Ten „pierwszy Pahlawi" ostatecznie musiał ulec, ale zapowiedział, że nie wymyśli nowego, i do końca życia nazywał się Mahmud Mahmud.

Wychowany w kozackim siodle Reza tuż po koronacji odrzucił wszelkie przejawy przepychu. Ascetyczny z charakteru i wyglądu (zawsze w mundurze) narzucił podobny styl całemu dworowi – potrafił ukarać służbę za to, że zużywa za dużo herbaty, a dotykanie go bez rękawiczek uważał za zniewagę. „Za Rezy pałac zamienił się w koszary" – jak pisze Ali M. Ansari, autor książki „Iran. Historia współczesna".

Jednocześnie dbał o materialne podstawy nowej dynastii. Od jednego z uciekających książąt kadżarskich „odkupił" za grosze ogromną działkę na wzgórzu górującym nad Teheranem (dziś to wzgórze jest w centrum miasta) i postawił tam kompleks 18 pałaców. Potem tę metodę „odkupu" stosował wobec innych swoich poddanych, przejmując ogromne areały i nieruchomości, hotele, fabryki itd.

Najstarszy syn Rezy, Mohammad Reza, był jego przeciwieństwem. Już w wieku sześciu lat został wysłany do akademii wojskowej, ale zupełnie tam nie pasował. Nieśmiały samotnik i marzyciel nie wykazywał cech przywódczych. Jako nastolatek trafił do Szwajcarii, do szkoły z internatem pełnej przyszłych monarchów. Zaprzyjaźnił się jednak z synem francuskiego ogrodnika, wielbicielem poezji. którego rodzinę potem ściągnął do Teheranu. Po stolicy krążyły plotki, że było to coś więcej niż przyjaźń, co doprowadzało ojca do szału.

Niepowodzenia w reformowaniu syna szach rekompensował sobie reformowaniem państwa. Wbrew dwóm wpływowym siłom społecznym – duchownym i kupcom – na siłę próbował zmieniać obyczajowość poddanych. Mężczyznom zakazał noszenia turbanów, kobietom nakazał ściągać czadory, co nawet świeccy poddani uznali za przejaw wyjątkowego zamordyzmu. Gdy wybuchły protesty, szach wysłał wojsko, które w pościgu przeszukiwało nawet meczety.

Kobiety nadal noszące czador nie miały wstępu do kin ani łaźni publicznych, a kierowcy taksówek i autobusów mogli zostać ukarani grzywną za ich przewożenie. Gdy jeden duchowny skrytykował żonę szacha za to, że odsłania włosy, jej mąż, nie zdejmując butów, wpadł do meczetu odważnego mułły i na oczach osłupiałych wiernych zbił go batem.

Reza Szach próbował wyrwać Iran z geopolitycznego potrzasku między Wielką Brytanią i Związkiem Radzieckim. Szukał niezależności wobec dwóch byłych okupantów i wydawało mu się, że znajdzie ją we współpracy z hitlerowskimi Niemcami. Wbrew późniejszym oskarżeniom ze strony Londynu i Moskwy w kontaktach Teheran–Berlin bardziej niż o ideologię chodziło o rozwój gospodarczy.

Gdy jednak rozpoczęła się druga wojna światowa, a Teheran ogłosił neutralność, sytuacja w okolicy stała się napięta. W sierpniu 1941 r. Brytyjczycy i Sowieci weszli z dwóch stron do Iranu i znów podzielili się strefami wpływów. Irańska armia nie stawiała oporu, poddani nie chcieli umierać za szacha, a sam Reza został zmuszony do abdykacji na rzecz syna.

Młody Mohammed Reza Pahlawi w pierwszym odruchu chciał razem z ojcem udać się na emigrację, ale Reza Szach ostatecznie przekonał go do pozostania (sam zmarł w Johannesburgu w 1944 r.). Axworthy opisuje nowego szacha jako „niechętnego monarchę, gotowego oddać tron, gdy tylko na horyzoncie pojawiło się poważne zagrożenie".

Mohammad Reza w zasadzie nie rządził krajem przez pierwsze lata panowania. Przełomem był nieudany zamach na jego życie w 1949 r. – napastnik strzelił pięć razy, po czym zaciął mu się pistolet. Tylko dwie kule dosięgły celu: jedna przeszyła ramię, druga policzek, druzgocąc zęby. Ale jeszcze tego samego dnia Mohammad Reza przemówił do narodu – sam siebie określi wówczas jako narzędzie Boga.

To poczucie misji u młodego władcy spotęgowało się jeszcze, gdy Amerykanie wsparli zamach stanu, który w 1953 r. obalił rząd Mohammada Mosaddegha. Odsunięty premier chciał znacjonalizować przemysł wydobywczy, wyrzucając z Iranu zachodnie, głównie brytyjskie, firmy naftowe. Wtedy Amerykanie postawili na Mohammada Rezę, który – zdaniem historyka Scotta Andersona, autora książki „King of Kings" (Król królów) – stał się w ten sposób więźniem historii.

Potem Waszyngton nie miał już wyboru, ponieważ obalenie Mosaddegha wyeliminowało wszelkie realne alternatywy dla szacha. Mohammad Reza awansował na najważniejszego sojusznika USA w regionie – a także kluczowego dostawcę ropy naftowej i głównego nabywcę amerykańskich systemów uzbrojenia.

Zamach na jego życie i obalenie Mosaddegha przekonały Mohammada Rezę o jego wyjątkowej roli. Biografowie kilkakrotnie wspominają, że jako dziecko miewał religijne wizje, twierdził, że przemawia do niego „boski umysł". Ojciec, który nigdy nie był człowiekiem religijnym, wyśmiewał te opowieści, ale religijna matka utwierdzała syna w przekonaniu o jego boskiej misji.

Paradoksalnie ta natchniona religijność Mohammada Rezy, która miała głównie emocjonalne – a nie intelektualne – podłoże, szybko doprowadziła go do konfliktu z szyickim duchowieństwem. Był przekonany, że nie potrzebuje pośrednictwa duchownych w kontaktach z nadprzyrodzonym. I tu leży całe nieporozumienie związane z wizerunkiem szacha wytworzonym przez rewolucję islamską. Mohammad Reza nie był antyreligijny ani bezbożny, jak mówił o nim Ruhollah Chomeini. Był antyklerykalny.

eprasa.pl 7f01362802

Najważniejszym uderzeniem w „kler" była tzw. biała rewolucja z 1963 r. W dużym stopniu rozmontowała ona feudalny system społeczny, w którym seniorami byli głównie duchowni. Wywłaszczył wielkich posiadaczy ziemskich, w tym fundacje religijne, pozbawiając ich nie tylko majątku, ale też władzy sądowniczej i politycznej. Uwłaszczył również bezrolnych chłopów, rozdając im niewielkie działki ziemi, choć w ramach spółdzielni przypominających radzieckie kołchozy.

Skończyło się to zapaścią ekonomiczną, bo nowi właściciele nie byli w stanie efektywnie produkować żywności, ale pierwszy raz w historii nadało im to podmiotowość i niezależność od miejscowego kleru. Zmiany w strukturze własności ziemi pociągnęły za sobą realne zmiany prawne. Cywilne kodeksy wzorowane na rozwiązaniach zachodnich zaczęły w końcu obowiązywać poza granicami kilku największych miast. Ograniczono monopol duchownych w edukacji.

Furię kleru wywołało przyznanie praw wyborczych kobietom. Na czele protestów stanął ważny duchowny z Kom, Ruhollah Chomeini, który zaczął publicznie grozić szachowi, nazywając jego rewolucję antyislamską. W czerwcu 1963 r. został jednak aresztowany, a gdy jego zwolennicy tłumniej zaczęli wychodzić na ulice, szach kazał do nich strzelać, a Chomeiniego wysłał na przymusową emigrację.

Nie zmniejszyło to oporu duchowieństwa. Dlatego szach zaczął szukać innego – już niereligijnego – źródła legitymacji. I znalazł je w przedislamskiej przeszłości Persji. Przyjął tytuł Aryamehr (Słońce Ariów) i umieścił symbole zaratusztriańskie w herbie swojej dynastii. W 1975 r. zreformował nawet kalendarz – odtąd lata liczono już nie według muzułmańskiej tradycji od hidżry (podróży Mahometa z Mekki do Medyny), ale od wstąpienia na tron perskiego króla Cyrusa.

Iran z pompą świętował 2,5 tys. lat monarchii, wznosząc na pustyni w pobliżu ruin Persepolis cesarskie miasto z namiotów. Wszystko to kosztowało krocie w zabiedzonym kraju. Wywołane w ten sposób oburzenie rozrzutnością szacha, w połączeniu z przymusowymi zmianami obyczajowymi i zamordyzmem w 1979 r., doprowadziło Iran do kolejnej rewolucji, tym razem islamskiej, która odsunęła dynastię Pahlawich od władzy.

Stworzona już po rewolucji islamskiej opowieść o Pahlawich jest biało-czarna i siłą rzeczy fałszywa. – Przedstawiciele tej dynastii nigdy nie byli jednoznacznie prozachodni ani świeccy – mówi irański historyk i socjolog Asef Bayat. – W latach 70. coraz częściej odwoływali się oni do tradycjonalizmu, islamu i mistycznych źródeł swojej legitymizacji. Byli mecenasami wielu tradycjonalistycznych myślicieli irańskich, którzy krytykowali zachodni materializm i starali się promować Iran jako państwo islamskiej duchowości.

Nie przypadkiem też na zdjęciach z „dawnego kraju", od których zaczęliśmy, jest tak wiele kobiet. Jak zauważyła amerykańska politolożka J. Ann Tickner, kobiety często symbolizują naród, a ich status jest wyznacznikiem kultury i cywilizacji. Jeśli przymusowo zasłaniana, dyskryminowana Iranka jest głównym symbolem okropności obecnego reżimu irańskiego, to zwolennicy Pahlawich zdają się uznawać za symbol nostalgii po „dawnym kraju" sukienki Diora z lat 50. i minispódniczki z lat 60.

W tym kontekście do roli najwyższego symbolu urasta trzecia żona Mohammada Rezy, Farah. Od 1959 r., kiedy po raz pierwszy zaręczyła się z dwukrotnie rozwiedzionym mężem, aż do 1979 r., kiedy wspólnie uciekli na wygnanie, była w centrum irańskich debat. Zwolennicy uważali ją za ucieleśnienie irańskiego postępu. Krytycy oczerniali ją jako irańską Marię Antoninę, która stara się odwrócić uwagę od korupcji i okrucieństwa Pahlawich.

Zwolenników obalonej monarchii – a szczególnie kobiety – późniejsza rewolucja islamska nazwie *gharbzadegi*, co można przetłumaczyć jako „zaczadzonych Zachodem". Tyle że to słowo pochodzi z książki wydanej w 1962 r. przez Ahmada Fardida, irańskiego intelektualistę krytykującego zachodni sekularyzm i nowoczesność, opowiadającego się za powrotem do szyickiej autentyczności. Zanim Fardid stanął po stronie islamskiej rewolucji, był nadwornym filozofem Pahlawich.

I właśnie w tej roli ostrzegał on przed niebezpieczeństwami powierzchownej modernizacji, obawiał się też o irańską młodzież zachwyconą wszystkim, co zachodnie: „Pewne powierzchowne aspekty kultury i cywilizacji Zachodu – a nie ich prawdziwe wartości – mogą być niezwykle niebezpieczne, szczególnie dla młodych ludzi, ponieważ bezmyślnie je kopiują". Jak na ironię, przypomina to krytykę, jaką opozycja, a później władze republiki islamskiej kierowały pod adresem Pahlawich: że przedkładali powierzchowną modernizację nad treść, eksponując efektowne projekty i modne kobiety, ignorując jednocześnie rzeczywiste potrzeby ludności.

ŁUKASZ WÓJCIK

REKLAMA



Zachęcamy do zapisywania się do nowego newslettera historycznego Polityki

Jakie pytania stawia nam historia dziś?

W każdą środę zaprasza Jakub Halcewicz

polityka.pl/newslettery

eprasa.pl 7f01362802

NAJLEPSZE KSIĄŻKI HISTORYCZNE ROKU 2025

Przedstawiamy laureatów Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego za 2025 r.

Wymyślone i organizowane od 1959 r. przez Mariana Turskiego Nagrody Historyczne POLITYKI po raz pierwszy zostały przeprowadzone bez Jego udziału. W zeszłym roku z Naszym Przyjacielem – zmarłym w lutym – jeszcze zdążyliśmy wymienić uwagi o pierwszych lekturach i porozmawiać o nagrodzie specjalnej.

Marian Turski zostawił nam zespół wartości, wskazań, jak obradować, jak podejmować decyzje, kogo i za co nagradzać. Jedną z jego naczelnych zasad było dyskutowanie „aż do skutku". Żadnego głosowania. Argumenty, argumenty, argumenty... Czasami dwójka jurorów stawała naprzeciw, nikt nie chciał ustąpić, wtedy przewodniczący, korzystając ze swoich regulaminowych uprawnień, przesądzał sprawę. Lub – tak też bywało – prosił innego członka kapituły, by ten podjął decyzję, od której nie było odwołania. Idziemy jego śladem.

W tym roku było co czytać. Ponad 200 książek, nieraz po 600 i więcej stron gęstego druku, czasem i w kilku tomach. A można odnieść wrażenie, że ta tendencja, żeby wydawać więcej i grubiej, pogłębia się z roku na rok. Ale też historiografia dziejów najnowszych Polski rozwija się bardzo dobrze, i to często w nowych kierunkach.

Rozszerza się historia społeczna, choćby tematyka kobiet czy pracowników folwarcznych. Pojawiają się wręcz obowiązkowe monografie, zajmujące się konkretnymi miejscowościami i regionami, opowiadające o żyjących tam ludziach i grupach społecznych. Te obrazy sąsiadują z bogatą biografistyką.

Zresztą obfitość pomysłów zdaje się nieograniczona. A to książka o kolejach, a to o tkaninach dekoracyjnych, także o zabawkach w PRL. Nadal silna jest tematyka żydowska, utrwala się też historiografia poświęcona Ziemiom Zachodnim. Pokazująca je ogólnie, jak i bardzo konkretnie. Tematem są też dzieje diaspory polskiej: Polacy poza Rzeczpospolitą. Tego typu badania operują tzw. długą falą, opisywane historie trwają nieraz dziesiątki lat i dłużej, z reguły wychodzą poza cezury dziejów najnowszych, co stwarza proceduralne kłopoty naszej kapitule Nagród.

Książki historyczne coraz częściej piszą socjologowie, antropolodzy, poloniści, dziennikarze, A to sprzyja bogactwu form i gatunków wypowiedzi.

Po okresie wydawniczej bylejakości wyraźnie widać poprawienie wartości edytorskiej książek historycznych, o co dbają i renomowane firmy, i te małe, dopiero zaczynające swoją karierę, a jest ich doprawdy dużo. Są nowe oficyny, ale też wielu nowych, młodych autorów z bardzo różnych ośrodków naukowych, bibliotek, akademii i instytutów. Można powtórzyć za prof. Henrykiem Samsonowiczem: Historia ma wielką przyszłość.

Zapoznajmy się zatem z laureatami tegorocznych Nagród Historycznych POLITYKI w głównych kategoriach. Wyjątkowo w tym roku nagrody specjalne zostaną wręczone w innym terminie – doskonałą okazją do poznania ich laureatów będą obchody setnych urodzin Mariana Turskiego, organizowane wspólnie przez POLITYKĘ, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN oraz Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny 25 czerwca.

WIESŁAW WŁADYKA

KATEGORIA: WYDAWNICTWA ŹRÓDŁOWE



Władze RP na uchodźstwie wobec Żydów obywateli polskich w ZSRS i na Bliskim Wschodzie (1941–1945) w świetle dokumentów polskich, wybór, wstęp i opracowanie Tadeusz Paweł Rutkowski, Instytut Pileckiego, Warszawa 2025

Melchior Wańkowicz napisał kiedyś, że „tematyka żydowska jest jak ten najtrudniejszy cel na strzelnicy, cel jest ruchomy, ruchem niejednostajnym, strzelca postawiono na wirującym podium i na dodatek dano mu broń strzelającą z odchyleniem". Nie ma prostych opowieści o losie Polaków i Żydów w czasie wojny i Zagłady. A nagrodzona książka jest tego dobrym przykładem. Opublikowane źródła rozbijają liczne uproszczenia, które zadomowiły się w tytułowych zagadnieniach. Dokumenty tworzą wielowątkową opowieść.

BOŻENA SZAYNOK

KATEGORIA: PAMIĘTNIKI

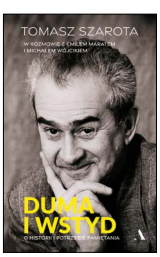

Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania. Tomasz Szarota w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025.

Emil Marat i Michał Wójcik, autorzy wielu świetnych książek historycznych, siedli naprzeciw Tomasza Szaroty, wielokrotnego laureata Nagród Historycznych POLITYKI. Porozmawiali o historii Europy i Polski. Książka jest bardzo gęsta, zawiera wiele refleksji, które przeciwstawiają się hurapatriotycznej polityce historycznej. Tomasz Szarota twierdzi, że nie można czuć się dumnym Polakiem „za wszelką cenę". Prawda jest bowiem taka: „Są w polskiej historii powody do dumy i wstydu. Fakty powinny wywoływać w nas jedno i drugie uczucie". Podaje liczne przykłady z naszych dziejów. Naprawdę warto się z nimi zapoznać.

WIESŁAW WŁADYKA

eprasa.pl 7f01362802

KATEGORIA: PRACE POPULARNONAUKOWE

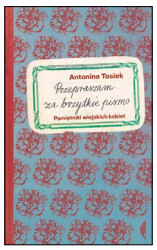

Antonina Tosiek, **Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025

Między 1933 a 1995 r. w konkursach pamiętnikarskich wzięło udział ok. 90 tys. wiejskich kobiet. Antonina Tosiek wybrała 812 świadectw i napisała przejmującą książkę o kobiecym doświadczeniu codzienności. Opowiedziała o nim tak, by nie zagłuszyć relacji samych bohaterek i nie budować obrazu „typowej wiejskiej kobiety".

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA

KATEGORIA: PRACE NAUKOWE



Karolina Panz, **Chciałabym opowiedzieć jak zginęło miasto... Zagłada żydowskich mieszkańców Nowego Targu**, Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Warszawa 2025

W sklepach cynamonowych można znaleźć ognie bengalskie, szkatułki czarodziejskie i korzeń mandragory. W sklepie Singera w Nowym Targu do kupienia były galanteria żelazna i materiały budowlane. A jednak Karolina Panz, opisując żydowski Nowy Targ przed drugą wojną światową, ociera się o magię. Wydobywa detale, które wydawałoby się, są nie do odtworzenia, postaci, o których wszyscy zapomnieli. Nikt w polskiej historiografii w ten sposób nie wyczarował żydowskiego miasta i nie opisał jego zagłady. Odnosi się wrażenie, że każdą osobę otacza swoją uważnością, śledząc jej losy i śmierć.

MARCIN ZAREMBA

KATEGORIA: DEBIUTY

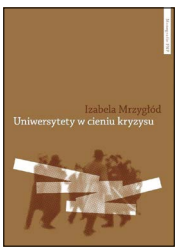

Izabela Mrzygłód, **Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, seria: Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Toruń 2025.

Praca Izabeli Mrzygłód jest dojrzałym, pionierskim dziełem naukowym przypominającym, że przywołane w 2020 r. przez Mariana Turskiego prowadzące do Auschwitz „małe kroczki" były stawiane nie tylko na berlińskiej Unter den Linden, ale też na wiedeńskim Ringu czy warszawskim Krakowskim Przedmieściu. Przez całe międzywojnie Austria i Polska znajdowały się w kryzysie. Soczewkami skupiającymi jego skutki były uniwersytety, których studenci poddawali się radykalizmom. Autorka analizuje ten proces, począwszy od haseł po przemoc fizyczną.

JERZY KOCHANOWSKI

Nominowało jury w składzie:
dr hab. Barbara Klich-Kluczewska, prof. dr hab. Jerzy Kochanowski, prof. dr hab. Dariusz Stola, dr hab. Bożena Szaynok, prof. dr hab. Wiesław Władyka (przewodniczący), dr hab. Marcin Zaremba.

Już od dekady POLITYKA podejmuje współpracę z Literackim Festiwalem w Sopocie, który odbędzie się między 20 a 23 sierpnia. Miłośnicy książki historycznej będą mogli spotkać się z wybranymi autorami książek nominowanych do tegorocznej Nagrody. POLITYKA dziękuje także prywatnym darczyńcom: pani **Barbarze Pendzich** i panu **Adamowi Heimrathowi**.

Partner Główny Nagród Historycznych POLITYKI

Enea

Partner Nagród Historycznych POLITYKI

Deutsches Historisches Institut Warschau
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

DK Dantex

za KS sprzyjamy wyobraźni

ABUR Systemy automatyki

eprasa.pl 7f01362802



film

Mitologia pamięci 4/6

Romeria, reż. Carla Simón, prod. Hiszpania, 115 min, w kinach od 15 maja

Tytułową romerię, czyli pielgrzymkę w intencji wyjaśnienia rodzinnych tajemnic, odbywa w tym niespiesznym, pozornie beztroskim dramacie 18-letnia Marina, pięknie zagrana przez **Llúcię Garcię**. Dziewczyna wychowana przez zastępczych rodziców wyrusza z Barcelony do Vigo w Galicii, aby spotkać się z bliskimi swojego zmarłego ojca, których nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Jej prozaicznym celem jest uzyskanie podpisu dziadków pod wnioskiem o stypendium na studia filmowe, jednak podróż szybko zamienia się w intymny podwójny portret: straconego pokolenia 60-latków ostro eksperymentującego niegdyś z narkotykami oraz ich dzieci poszukujących swojej życiowej ścieżki i nowej tożsamości. „Romeria" stanowi domknięcie autobiograficznego cyklu Carli Simón, autorki ulotnego „Lata 1993" i wnikliwego „Alcarràs", obecnie chyba najdojrzalszej i najciekawszej młodej reżyserki z kręgu kultury iberoamerykańskiej. Film – jednocześnie uniwersalny i osobisty – niepostrzeżenie odchodzi od małego realizmu na rzecz poetyckiej, surrealistycznej wizji, co bardzo ożywia ekranowy świat, tworząc inteligentne, angażujące emocjonalnie, na wielu poziomach satysfakcjonujące widowisko.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

serial

Nic na siłę 2/6

Ekspedycja XD, scen. Malcolm XD, reż. Maciej Bochniak, 5 odc., Canal+ online

Po „Emigracji XD" (2023 r.) i jej ciekawszej, ubiegłorocznej kontynuacji, „Edukacji XD", a przed premierą domykającej trylogię „Eskapady XD", dostajemy spin-off. „Ekspedycja XD", inaczej niż wspomniane serie, nie jest ekranizacją książek, w których autor ukrywający się pod pseudonimem Malcom XD w absurdalny sposób komentuje rzeczywistość, nie występują w niej też główni bohaterowie trylogii, Malcolm (Tomasz Włosok) i Stomil (Michał Balicki), ale



wciąż jesteśmy w uniwersum XD – w centrum historii stoją postacie poznane w „Emigracji", kierowcy tirów i kampera. A cały serial ma długość… jednego odcinka innych produkcji, bo każdy z epizodów trwa ok. 10 minut. Niby nic w tym złego – w 10 minut też można opowiedzieć ciekawą i zabawną historię, nie mówiąc już o łącznych 50 minutach. Jednak „Ekspedycja XD" to rozciągnięty na siłę, nieśmieszny skecz. Historyjka zaczyna się od pojednania tirowca pana Zbyszka z bratem bliźniakiem Wojtkiem (**Michał Czernecki** w dwóch rolach) i ich planu odzyskania domu po rodzicach, który podstępem przed laty zabrała szczwana ciotka (Dorota Piasecka). Plan jest bardzo, delikatnie mówiąc, umowny, podobnie jak cała fabuła, a pomagają go zrealizować m.in. Ferrari (Sławomir Pacek), Włodek (Mariusz Jakus) czy Bogdan (Mariusz Ostrowski). I króciutkie wstawki z przeszłości bohaterów są ciekawsze niż główny wątek. Pan Zbyszek z ekipą zasługiwali, jeśli już nie na więcej, to na pewno na lepiej. AK

Cała fabuła jest tu, delikatnie mówiąc, dość umowna...

© STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY, CANAL+, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, MP, BWA WROCŁAW

eprasa.pl 7f01362802



scena

Ambona śmierci 3/6

Prowadź swój pług przez kości umarłych, na podstawie powieści Olgi Tokarczuk, reż. Ewa Platt, Teatr Narodowy w Warszawie

Trwa festiwal prozy Olgi Tokarczuk na polskich scenach: „Empuzjon" wystawił Robert Talarczyk, po kolejne teksty noblistki konsekwentnie sięga Michał Zadara, „Prowadź swój pług przez kości umarłych" w łódzkim Jaraczu zrealizowała Lena Frankiewicz, na premierę w warszawskim Polskim czeka „Otwórz oczy" w reż. Igora Gorzkowskiego, na podstawie opowiadań. Spektakl w Narodowym miał pierwotnie wyreżyserować Piotr Cieplak, jego śmierć brutalnie pokrzyżowała plany, nową adaptację wystawiła młoda reżyserka Ewa Platt i jej tematem jest właśnie śmierć. Scenografia składa się z olbrzymiej ambony myśliwskiej (która w jednej ze scen stanie się również amboną kościelną – kazanie wygłosi z niej ksiądz-myśliwy z okazji święta Hubertusa) oraz z błota, w którym ślizgają się bohaterowie. Siadamy na widowni zbudowanej na scenie i zanim spektakl się rozpocznie, wraz z główną bohaterką Janiną Duszejko (**Dominika Kluźniak**) długo słuchamy wycia i skomlenia psa. Potem głównym dźwiękiem będą wystrzały z broni. Umierają mordowane przez ludzi zwierzęta, ale na granicy śmierci jest też sama Janina, spektaklowa akcja dzieje się w jej głowie, może być majakiem. Myśliwi się replikują, Kościół sankcjonuje każdą przemoc, tłem jest pusta, majestatyczna widownia Narodowego. Siłę temu ważnemu spektaklowi odbiera nadmiar poetyckich wizji i scen na granicy pretensjonalności (jak zakładanie butów zmarłego ojca).

ANETA KYZIOŁ

komiks

Narysować język 5/6

Jacek Świdziński, **Ideo**, Kultura Gniewu/Białostocki Ośrodek Kultury, Warszawa 2026, s. 152

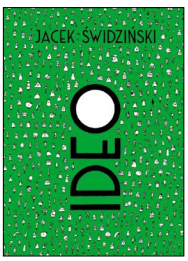

Koncepcja stworzenia języka, który przekraczałby etniczne i narodowe podziały, już w czasach Ludwika Zamenhofa nie była nowa. Ale to jego ambitny projekt przetrwał już blisko 140 lat. I choć szczytny zamysł okazał się utopijny, do dziś językiem esperanto posługuje się ok. 2 mln osób. W albumie „Ideo" Jacek Świdziński przygląda się biografii Zamenhofa i burzliwym dziejom Europy przełomu XIX i XX w., jednak zagadnienia te traktuje jako platformę do szerszego spojrzenia na mechanizmy funkcjonowania języka jako narzędzia komunikacji. To także opowieść o losach pięknej, niemożliwej idei, jej – paradoksalnie jednoczesnym – triumfie i klęsce. Esperanto jest przecież językiem żywym, a jednocześnie pozostaje reliktem przeszłości. Uparte niczym jego twórca, konsekwentnie trwa na przekór dominacji angielskiego jako metody globalnego porozumienia.
Już we wcześniejszych komiksach, w nagrodzonym Paszportem POLITYKI „Festiwalu" (o Festiwalu Młodzieży z 1955 r.), a do pewnego stopnia również w „Brzasku" (o życiu w zrujnowanej przez wojnę Warszawie), Świdziński flirtował z kategorią literackiego dokumentu, inspirację czerpiąc z relacji świadków i uczestników wydarzeń. Sam uważa „Ideo" za swój pierwszy komiks non fiction. Splata w nim elementy biografii, reportażu historycznego, eseju filozoficznego, lecz to wszystko naznaczone jest jego autorskim piętnem – błyskotliwa ironia nie wyklucza czułości wobec bohatera. Zamenhof w wersji Świdzińskiego mógłby być przodkiem profesora Filutka, stoicko znoszącego wyzwania losu, lecz z uporem dążącego do celu. I niewielu jest twórców komiksowych, którzy z równą maestrią prostymi (choć to prostota pozorna!) rysuneczkami potrafią oddać złożoność historii, zawiłości ludzkiego losu i skomplikowanej koncepcji lingwistycznej.

JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria

Szczęście i ból 4/6

Dark Paradise. Opowieści wewnętrzne, BWA Wrocław Główny, do 6 września

„Mroczny raj" (dlaczego polskie wystawy muszą nosić angielskie tytuły?) to hasło intrygujące i dające wiele możliwości interpretacyjnych. Wszak cały świat jest w gruncie rzeczy takim mrocznym rajem, w którym obietnica doczesnej szczęśliwości stale przeplata się z cierpieniem na drodze do jej osiągania. A kuszą i manipulują nami nie jakieś monstra, ale politycy, bankierzy, spece od mody i mediów, bohaterowie portali społecznościowych. I otwierający ekspozycję, monumentalny obraz Martyny Czech „Ciemność wiodąca wolność na barykady" zdaje się zapowiadać ów historiozoficzno-cywilizacyjny wątek naszej egzystencji. Niestety, kuratorki wystawy postanowiły swoją symfonię grozy oprzeć na motywie, który dziś wydaje się najbardziej popularny – by nie rzec, że już nieco ograny. I skupić – jak same wyjaśniają – „na ciele oraz jego wydzielinach – na cielesności (…) czy tożsamości niemieszczącej się w normatywnym porządku widzenia". W rezultacie otrzymujemy zestaw prac o różnej sile rażenia. Niektóre wyglądają jak rekwizyty do horrorów klasy B, inne wplątują się w zawiłe opowieści o ludziach rzuconych w opresyjny świat. Pozostaje zachwycić się wybranymi pracami, jak choćby ogromnymi kotarami zdecydowanie za mało docenianego Wojciecha Ireneusza Sobczaka, których piękne, barokowe wzory, obejrzane od tyłu, okazują się uzyskane bólem tysięcy wbijanych precyzyjnie szpilek.

PIOTR SARZYŃSKI



Nils Alix-Tabeling, „Leżanka Heliogabala" (2021 r.)

eprasa.pl 7f01362802

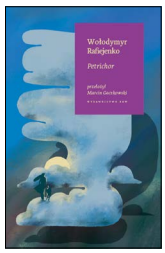

Różowa małpa 5/6

Wołodymyr Rafiejenko, **Petrichor**, przeł. Marcin Gaczkowski, Wydawnictwo KEW, Wrocław 2026, s. 206

Nikt nie pisze tak jak Wołodymyr Rafiejenko, ukraiński pisarz, autor „Najdłuższych czasów", jednej z najciekawszych powieści ostatnich lat. I nowa jego książka „Petrichor" znowu przynosi nam ten charakterystyczny „rafiejenkowski" ton – ironiczny i groteskowy, postmodernistycznie żonglujący cytatami i aluzjami, styl, w którym groza i śmiech idą razem. Bohaterowie, uchodźcy z Doniecka, trafiają do Tarnopola. Maria i jej syn Petro, zwany Petrichorem, spotykają Witię. Razem z nimi idą zmarli – mąż Marii, żona Witii, oboje utrzymują, że ich małżonkowie żyją. Jest to bowiem opowieść o obecności zmarłych, zresztą nie wiadomo do końca, kto żyje, a kto nie, żywe są również zabawki i postacie z kreskówek: Różowa Małpa, Jeżyk czy Zając. Nad całością unosi się duch baśni Andersena. Rafiejenko opowiada o wojnie i traumie w taki sposób, że łapią nas jednocześnie groza i śmiech. Odbywamy z nim całą drogę z Doniecka, czekanie na wolontariuszy, wizyty Rosjan. Dwóch z nich Witia załatwia sierpem i młotkiem. Potem ucieczka i śmierć żony. Wszystko w tej powieści istnieje jednocześnie, wielość rzeczywistości pozwala wykrzesać z koszmaru gorzki humor. Taniec śmierci jest jednocześnie tańcem miłości. A jest jeszcze taniec historii, powtarzalność: „zawsze z początkiem stulecia na Ukrainę spadają takie czy inne nieszczęścia, zawinione przez takich czy innych ludzi. Tak się składa, że ci ludzie zawsze są Rosjanami. Taka to historia". Jednak możemy też wybrać inne kluczowe zdanie: „Nikt nie jest martwy".

JUSTYNA SOBOLEWSKA



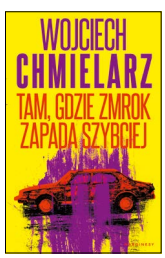

Cienie śmierci 4/6

Wojciech Chmielarz, **Tam, gdzie zmrok zapada szybciej**, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026, s. 632

Jeszcze przed premierą wydawnictwo promowało nową książkę Wojciecha Chmielarza jako horror, lecz groza dawkowana jest tu oszczędnie. To przede wszystkim solidny thriller psychologiczny, z bohaterami, jakich autor lubi: niejednoznacznymi, poturbowanymi przez życie, uciekającymi przed własną przeszłością. Taki jest Szwed, gburowaty eksbandzior, który teraz mieszka na prowincji, kręci od czasu do czasu lewe interesy i ciężką ręką próbuje (choć niezbyt się stara) wychować nastoletnią pasierbicę. Mroczne sekrety skrywa też lokalny oligarcha, którego synalek lubi dziewczynom w barze wrzucać pigułki gwałtu do drinków. I gdy chłopak zostaje brutalnie pobity, a potem umiera w tajemniczych okolicznościach, ojciec kieruje swój gniew w stronę Szweda. Między bohaterami dramatu krąży zaś istota, która karmi się nienawiścią, gniewem, resentymentem, a ludzi popycha do zbrodni. Chmielarz znów udowadnia, że ma świetny warsztat, kreuje intrygujące postacie, wie, jak utrzymać czytelniczą uwagę. Tylko po co mu horror, gdy i tak nie ucieka od gatunku, w którym czuje się najpewniej? Być może bez elementów nadnaturalnych ta powieść byłaby jeszcze lepsza: autor tego formatu nie potrzebuje fantastycznej metafory, by pisać o ludziach zdolnych do czynienia zła, za to nieumiejących się rozliczyć z błędami przeszłości.

JAKUB DEMIAŃCZUK

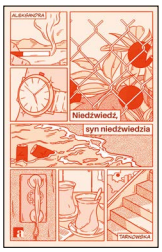

Trzask, bam, łup! 5/6

Aleksandra Tarnowska, **Niedźwiedź, syn niedźwiedzia**, Wydawnictwo ArtRage, Warszawa 2026, s. 368

Aleksandra Tarnowska nadal jest stosunkowo nowym głosem młodej polskiej literatury. Test drugiej książki zdała wzorowo, czego nie można powiedzieć o bohaterach jej powieści, chłopakach, którzy jeszcze beztrosko broją, ale już powoli muszą myśleć o przyszłości. Nazıma Kocabıyıka przymusza do tego ojciec i najbliżsi krewni, jakby w myśl zasady, że trzeba całej wioski, żeby naprostować nastolatka. W Turcji na początku XXI w. dla takich jak on, niezbyt zamożnych, opcji jest akurat niewiele. Rodzina stawia na wojsko, bo to pewny pieniądz, dyscyplina, gwarantowany szacunek w społeczności. Jednak 14-letni Nazım, nieodrodny syn swojego ojca, niespecjalnie się do tego nadaje, woli psoty i komiksy, które również pisze. Komiksowe „chlap, łup, bam" dobrze opisuje jego nastoletni, naiwnie rozbójniczy świat. Tarnowska nie zdradza, czy podołał wyzwaniom dorosłości, pozwala Nazımowi i jego drużynie – kolegom z podwórka – wyszumieć się do cna w swoim stylu. A ponieważ nigdy „nie śmierdzieli szczęściem", to wpadają głównie w tarapaty. Na pierwszym planie to zatem przygodowa powieść chłopacka, na drugim – inicjacyjna, podobnie jak debiutancki „Wniebogłos". Ale jest też warstwa społeczna, wyłaniająca się ukradkiem niczym szklane bloki w nowej, już prawie-prawie kapitalistycznej Turcji. Autorka mieszka w tych stronach od lat, więc nie bawi się w orientalizm, przeciwnie, subtelnie obala mity i stereotypy. W Polsce czyta się to znakomicie. Również dlatego, że droga tzw. społecznego awansu wyglądała i czasem wciąż wygląda tu podobnie.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© VICTOR PINCHUK FOUNDATION, DAVE SIMPSON/WIREIMAGE/GETTY IAMAGES, MP (6)

eprasa.pl 7f01362802

festiwal

Nova wielowymiarowa

35. Musica Polonica Nova, Wrocław, 14–17 maja



Tegoroczny wrocławski festiwal polskiej muzyki współczesnej będzie przebiegał pod hasłem „Zmysły". Chodzi o zaangażowanie w odbiór muzyki nie tylko słuchu, ale także wzroku czy dotyku, o dodawanie do niej elementów ruchu i przestrzeni, o zastosowanie elektroniki i wideo. Wystąpią m.in. NFM Filharmonia Wrocławska, Orkiestra Muzyki Nowej i Spółdzielnia Muzyczna Contemporary Ensemble; usłyszymy m.in. dzieła Żanety Rydzewskiej, Jagody Szmytki, Barbary Zach, Moniki Szpyrki, Marty Śniady, Wojciecha Błażejczyka, Jerzego Kornowicza, Pawła Hendricha (dyrektora artystycznego festiwalu). Szczególnie ciekawie zapowiada się spektakl teatralny na podstawie prozy Elfriede Jelinek z muzyką Błażejczyka i z udziałem Agaty Zubel (cztery pokazy), dwa seanse sensoryczne Pawła Romańczuka z Agatą Zemlą oraz Noc Muzeów w NFM, w ramach której w różnych przestrzeniach gmachu w programie „Galeria dźwięków" odbędą się różne koncerty, minikoncerty i instalacje.

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: nfm.wroclaw.pl/festiwale/musica-polonica-nova

nie przegap



Katowice Kultura Natura 2026, NOSPR, Katowice, 14–24 maja

Tegoroczne hasło festiwalu: Melancholia i ekstaza. Pomogą w ich przeżywaniu wybitni artyści: pianiści Dmytro Choni i Alexandre Tharaud, skrzypkowie Arabella Steinbacher i Johan Dalene, Modigliani Quartet, zespół wokalny La Venexiana i orkiestry – poza gospodarzami, czyli NOSPR (zagra na dwóch koncertach; na inauguracji ze swoją szefową artystyczną Marin Alsop) – Deutsche Radio Philharmonie Saarbrücken Kaiserslautern. DS



11. Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius, Wrocławski Dom Literatury/Klub Proza, 17–24 maja

Festiwal poetycki, który towarzyszy gali wręczenia Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius potrwa cały tydzień. Wśród wydarzeń m.in czytanie wierszy Urszuli Kozioł przez poetki i poetów, spotkanie z Marcinem Świetlickim i jego nową książką „Wypisy" czy z Konradem Górą, tegorocznym laureatem za całokształt twórczości, oraz z debiutującym jako poeta laureatem Paszportu POLITYKI Julem Łyskawą. Będzie też rozmowa z Serhijem Żadanem i performatywne czytanie jego dramatu. JSOB



Metallica, Stadion Śląski w Chorzowie, 19 maja

W przyszłym roku minie równo 40 lat od pierwszego koncertu Metalliki w Polsce: wtedy zagrali w katowickim Spodku, co dziś trudno sobie wyobrazić, bo zespół wypełnia do ostatniego miejsca stadiony. Nie inaczej będzie na Śląskim, gdzie Metallica pojawi się w ramach kolejnej odsłony trasy promującej wydany trzy lata temu album „72 Seasons". A publiczność przed Metallicą rozgrzewać będą amerykański Knocked Loose oraz francuska Gojira. JD

eprasa.pl 7f01362802

REKLAMA

unsound EPHEMERA

Warszawa
8–14.06.2026

Muzyka | Performance,
Sztuki Wizualne | W Brzask
Kem – Dragana Bar

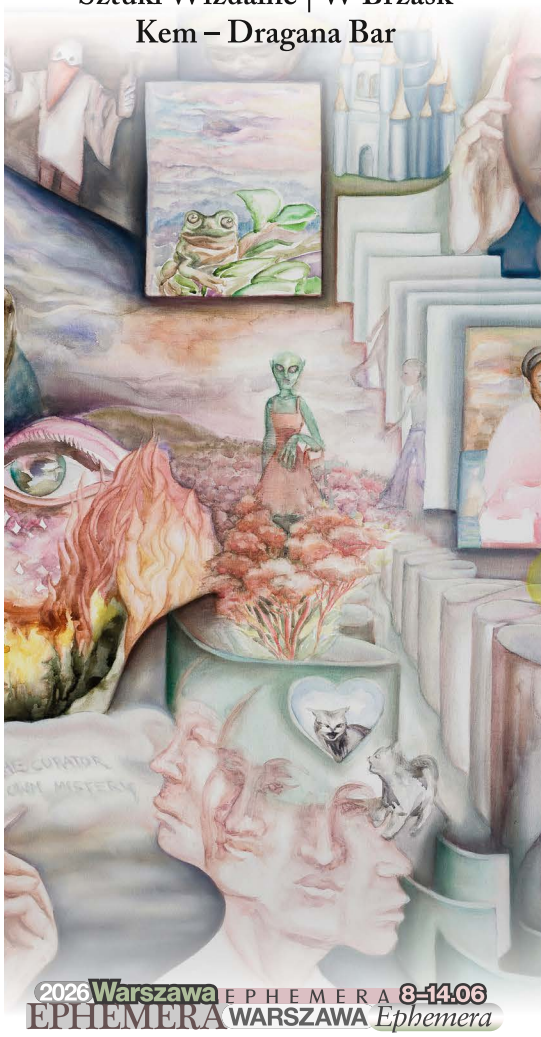

Arooj Aftab
Cabaret Voltaire
Armand Hammer
Hania Rani & Hashtag
Ensemble present *Shining*
2K88 + Bianca Scout + Lauren
Duffus + Rainy Miller
Małga Kubiak
Young Boy Dancing Group
... i wiele innych

Cień nad laguną

„Rosja zabija, Biennale wystawia” – można wyczytać na rozdawanych w Wenecji naklejkach. Od lat nie było tak upolitycznionej edycji imprezy.

PIOTR SARZYŃSKI

Otwarte właśnie w Wenecji Biennale Sztuki powinno w tym roku zmienić nazwę na Biennale Sztuki i Polityki. Tradycyjnie narozrabiali Rosjanie, a swoje dołożył Izrael. „Najważniejszy festiwal sztuki na świecie rozpada się” – alarmuje CNN. Oczywiście polityka ze sztuką mieszały się zawsze. Także tu, wśród kanałów laguny. Przede wszystkim za sprawą artystów, którzy swymi dziełami komentowali, kontestowali, protestowali, obnażali. I takie ich prawo. Czasami polityka wkraczała za sprawą publiczności, jak choćby w 1968 r., gdy na fali entuzjazmu studenckich strajków gwałtownie protestowała ona przeciwko estetycznemu skostnieniu i komercjalizacji Biennale. Lub za sprawą kuratora imprezy, który w 1974, rok po puczu w Chile, całą edycję zatytułował „Libertà al Cile”.

Gorzej jednak, gdy do grzebania w sztuce zabierają się politycy. Takie ponure czasy przeżyła Wenecja za rządów Mussoliniego, gdy sztukę w całości poddano cenzurze i włączono w promowanie faszyzmu i wojny. A pojedynczych przypadków, gdy władze poszczególnych (z reguły autorytarnie rządzonych) krajów, mniej lub bardziej finezyjnie, przemycały na Biennale sztukę będącą przedłużeniem propagandy, można by się doliczyć całkiem sporo.



Protest aktywistek z Pussy Riot przeciwko ponownemu przyjęciu Rosji na Biennale



Pawilon polski: praca „Języki z wody" Bogny Burskiej i Daniela Kotowskiego

Rosja nie odpuszcza

Najmocniejszych politycznych zawirowań wokół Biennale dostarcza w ostatnich czasach Rosja. W 2022 r., niedługo po inwazji tego kraju na Ukrainę, z udziału w imprezie zrezygnowali sami artyści oraz kurator wystawy, tłumacząc, że w tej sytuacji „nie ma miejsca na sztukę". Oburzenie środowiska artystycznego było powszechne, a solidarność z Ukrainą zbiorowa, i Rosjanie dobrze przeczuwali, że jakiekolwiek pojawienie się w Wenecji, choćby z bajkami o wilku i zającu, może wywołać jedynie burzę.

Ale już w 2024 r. Moskwa rozpoczęła testowanie, jak by tu sytuację zmienić na swoją korzyść. Wprawdzie i wówczas Rosjanie nie zdecydowali się na wysłanie do Wenecji narodowej reprezentacji, ale pawilon wystawowy otworzyli i wspaniałomyślnie przekazali w użytkowanie twórcom z Boliwii. A ponieważ międzynarodowa społeczność, w której nieco opadły antyrosyjskie nastroje, jakoś ową pigułę przełknęła, w tym roku postanowili pójść dalej. Michaił Szwydkoj, delegat Rosji ds. międzynarodowej wymiany kulturalnej, parę miesięcy temu oświadczył, że pawilon narodowy zostanie otwarty, i buńczucznie dodał: „Rosja nigdy nie opuściła Wenecji", podlewając to sosem frazesów typu „nie należy mieszać sztuki z polityką" i dekorując absurdalnymi ostrzeżeniami, że wszelkie protesty uznane zostaną za prowokacje.

Tym razem zapowiedziano projekt z udziałem 50 młodych muzyków, poetów i filozofów „z Rosji i innych krajów". Zbulwersowała sama zapowiedź powrotu, ale jeszcze bardziej fakt, że na kuratorki pawilonu wybrano – wręcz prowokacyjnie – córki dwóch sowieckich aparatczyków, silnie kojarzonych z agresją na Ukrainę. To Anastazja Karniejewa, latorośl wiceprezesa największej rosyjskiej firmy zbrojeniowej, oraz Jekaterina Winokurowa, córka Siergieja Ławrowa, ministra spraw zagranicznych w rządzie Putina.

Reakcje – co ze smutkiem trzeba przyznać – nie okazały się wcale jednoznaczne. Z jednej strony mocno zaprotestowały różne europejskie gremia. 22 ministrów kultury państw unijnych we wspólnym oświadczeniu zażądało usunięcia Rosjan z Biennale, przypominając, że inwazja na Ukrainę doprowadziła do zniszczenia lub uszkodzenia 4 tys. obiektów kulturalnych. Z kolei 37 europosłów wezwało Ursulę von der Leyen do zawieszenia lub odebrania Biennale europejskich dotacji w wysokości 2 mln euro (co też nastąpiło). Premier Włoch Giorgia Meloni publicznie zapewniła, że ona oraz jej gabinet są przeciwko udziałowi Rosji, a minister kultury Alessandro Giuli decyzję o dopuszczeniu Rosjan nazwał „niedopuszczalną" i zapowiedział bojkot inauguracji imprezy. Jedynie ultraprawicowy minister transportu Matteo Salvini wsparł Rosjan. A trzeba pamiętać, że głównie dzięki rządowym niemałym dotacjom (19 mln euro rocznie) Biennale w ogóle jest w stanie działać.

Skażenie sztuki

Jak to możliwe, że mimo tak potężnego krajowego i międzynarodowego oporu Rosjanie na powrót rozgościli się w słynnych weneckich Giardini? Sekret polega na tym, że imprezą zarządza niezależna fundacja. A jej przewodniczący Pietrangelo Buttafuoco uparł się, by kremlowscy wysłannicy mogli do Wenecji powrócić.

Buttafuoco to dziennikarz z rodziny o skrajnie prawicowych poglądach. Był aktywnym działaczem neofaszystowskiej partii MSI. Swego czasu wykonał zaskakującą woltę i dokonał konwersji na islam szyicki, czym niektórzy zresztą starają się tłumaczyć jego miłość do Rosji (której bliskim sojusznikiem jest szyicki Iran).

Oczywiście płacący rachunki Biennale włoski rząd mógłby wiele wskórać, bo pawilon w Wenecji to nie przestrzeń eksterytorialna, a Meloni ma w zarządzie Fundacji Biennale swoją przedstawicielkę, dziennikarkę i producentkę telewizyjną Tamarę Gregoretti. Sęk w tym, że ta odmówiła realizowania wytycznych ministra kultury i bezwarunkowo stanęła po stronie Buttafuoco. Rządowi pozostało więc bezsilnie przyglądać się rozwojowi sytuacji. ▶

© SIMONE PADOVANI/GETTY IMAGES, MAGDALENA MOSIEWICZ

eprasa.pl 7f01362802

▶Wydawało się, że szalę na stronę protestujących przechyli międzynarodowe pięcioosobowe jury Biennale (same kobiety), które kilka dni przed otwarciem imprezy wydało oświadczenie, iż wyklucza z możliwości ubiegania się o regulaminowe nagrody (Złote i Srebrne Lwy) pawilony państw oficjalnie oskarżonych o ludobójstwo (to nie zostało wprost powiedziane, ale wiadomo było, że chodzi o Rosję i Izrael). Ale już następnego dnia grono owe... w całości podało się do dymisji. Można przypuszczać, że nie z własnej woli. A władze Fundacji szybko zadekretowały, że nowego jury nie powoła, natomiast o przyznaniu nagród – co na tle tradycji Biennale kuriozalne – zadecyduje plebiscyt, w którym będą mogli wziąć udział zwiedzający. Przy czym można głosować na Rosję i Izrael! Ogłoszenie wyników – w ostatnim dniu Biennale, czyli 22 listopada.

Problem z Rosją nie wyczerpuje listy weneckich napięć politycznych. 200 uczestniczących w Biennale osób (artyści, kuratorzy, dyrektorzy muzeów) podpisało list otwarty, w którym domagają się wykluczenia z imprezy Izraela i wyrażają solidarność z twórcami palestyńskimi. Z kolei 70 uczestników w innym liście wezwało do wykluczenia trzech państw, które dopuszczają się zbrodni wojennych: Rosji, Izraela i USA. Izraelski MSZ skrytykował oba listy, uznając je za przykład „skażenia świata sztuki polityką". Ale ekspozycja izraelska przeniesiona została z otwartych i trudniejszych do upilnowania terenów Giardini do zamkniętych pomieszczeń Arsenale.

Pusty pozostanie także pawilon RPA. Tamtejsze ministerstwo kultury wstrzymało dotację, uznając, że planowana wystawa, będąca hołdem dla palestyńskiej poetki Hiby Abu Nady, która zginęła w izraelskich nalotach, może niepotrzebnie zaogniać sytuację. A dwa dni przed otwarciem imprezy nagle, bez żadnych wyjaśnień, wycofali się z niej Irańczycy. Powodów można się tylko domyślać.

Tymczasem Palestyna, choć własnego pawilonu nie ma (Włochy nie uznają jej jako niezależnego kraju), to ma swoją wystawę. Zorganizowana przez amerykańskie Palestine Museum nosi tytuł „Gaza – No Words" i gromadzi 100 prac wykonanych w tradycyjnej palestyńskiej technice *tatreez*. To przejmująca współczesna panorama zniszczonej nalotami strefy Gazy, przekazana za pomocą ludowego haftu krzyżykowego.

Śmierć w Wenecji

Trudno było oczekiwać, by takie napięcia osłabły nagle po otwarciu imprezy. Zaczęło się więc w środę 6 maja od spektakularnego protestu połączonych (co już jest ewenementem) formacji Rosjanek z Pussy Riot i Ukrainek z FEMEN. Były kolorowe race, śpiewy, kominiarki, skandowanie antyrosyjskich haseł. Z kolei w łotewskim pawilonie narodowym rozdawano nalepki z napisem „Śmierć w Wenecji. Rosjanie do domu" oraz „Rosja zabija, Biennale wystawia". W całym mieście pojawiły się też afisze akcji Niewidzialne Biennale za stemplem „Anulowane!" i dopiskiem: „Ponieważ artysta został zabity przez Rosję". Tymczasem w rosyjskim pawilonie zdaniem tych, którzy go odwiedzili (sam się nie zdecydowałem), strumieniami lał się szampan i wódka. Poetycko-filozoficzne święto na całego.

W kolejnych dniach sytuacja okazała się dynamiczna. Atmosferę wokół pawilonu rosyjskiego ostudziła informacja, że wraz z zakończeniem trzydniowego „preview" zostanie zamknięty. Natomiast energia protestu zdecydowanie przeniosła się na kwestie propalestyńskie. W ramach solidarności z mieszkańcami Strefy Gazy odbywały się przeróżne przemarsze i pikiety. Apogeum wydarzeń nastąpiło w piątek. Z jednej strony odbyła się całkiem liczna demonstracja, a jej uczestnicy próbowali się wedrzeć na teren Arsenale, pod izraelski pawilon. W ruch poszły pałki, nad wszystkim krążył policyjny helikopter.

Tego samego dnia do protestu włączyli się artyści, kuratorzy, personel obsługujący zarówno pawilony narodowe, jak i wystawę wiodącą. W najbardziej radykalnej formie przyjął postać jednodniowego strajku, powiązanego z całkowitym zamknięciem wystaw. Na ów krok zdecydowały się m.in. Holandia, Belgia, Austria czy Korea Południowa. W formie łagodniejszej wystawy oplakatowano hasłami „Palestyna jest przyszłością świata" oraz „Wolna Palestyna. Zlikwidować syjonizm". Polski pawilon był zamknięty w ramach protestu przeciwko wojennym agresorom przez trzy godziny.

Wydaje się, że wydarzenia w Wenecji były największą od dawna próbą wykorzystania przez reżim Putina kultury jako narzędzia propagandy. I choć Rosjanie zdecydowali się ostatecznie dobrowolnie zamknąć swój pawilon, to sukces osiągnęli. Byli, gdzie chcieli, na swoich warunkach. Z kolei Izrael, który chciał cichcem przemknąć z kompletnie nieideologicznym projektem, musiał odczuć skalę i siłę oburzenia międzynarodowego środowiska artystycznego. Czy się tym przejął? Nie sądzę. Generalnie te wydarzenia każą na nowo i ostro postawić pytania o relacje sztuki i polityki.

Polacy o klimacie

Czy zatem Biennale Sztuki znalazło się tym razem w cieniu politycznego starcia? Na szczęście nie do końca. Trudno bowiem usunąć w cień 100 (!) narodowych pawilonów i kilkuset artystów. Sztuka trwa w Wenecji obok polityki i – na szczęście – wbrew niej. Tym razem zarówno hasłem przewodnim wystawy wiodącej, jak i wskazówką dla pawilonów narodowych, było „In Minor Keys". Można (a nawet trzeba) rozumieć je dwojako. W nawiązaniu do znaczenia muzycznego jako zwrócenie uwagi na tę gamę we współczesnej sztuce, której bliskie są nastroje refleksji, melancholii, wyciszenia, skupienia. Ale też jako usłyszenie głosów płynących ze strony zmarginalizowanych, rozproszonych i stłumionych mniejszości.

Bardzo istotna okazała się polska obecność. Po pierwsze, pawilon narodowy. Tym razem z pracą „Języki z wody" duetu artystów Bogny Burskiej i Daniela Kotowskiego. Wybrany w konkursie spośród 95 zgłoszeń, oryginalnie łączy język migowy z językiem, jakim porozumiewają się ze sobą... wieloryby. Klimatyczna aranżacja wystawy, wciągające podwodne ujęcia, ale też przesłanie – wezwanie do otwarcia się na inne narracje, wrażliwość, przekraczanie granic, doskonale odpowiadają intencjom hasła przewodniego.

Drugi wyrazisty polski akcent w Wenecji to wystawa zorganizowana przez Fundację Staraków. Po raz drugi z rzędu w bodaj najbardziej spektakularnej lokalizacji miasta – na Placu Świętego Marka, w budynku dawnej prokuratorii. Tym razem z wystawą prac Tadeusza Kantora oraz Marii Jaremy, której renesans popularności przeżywamy w tym roku. Trudno o lepszą wizytówkę naszej kultury.

PIOTR SARZYŃSKI

Polecamy także zestawienie najciekawszych wydarzeń artystycznych Biennale w Wenecji na polityka.pl

eprasa.pl 7f01362802



Boris Kudlička (ur. 1972 r. w Ružomberoku) – ukończył studia scenograficzne w Bratysławie i Groningen. Współpracę z warszawską operą rozpoczął jako asystent Andrzeja Kreütza-Majewskiego; z czasem został głównym scenografem teatru. Współtwórca wielu pamiętnych spektakli, najczęściej z Mariuszem Trelińskim, ale także m.in. z Keithem Warnerem, Amonem Miyamoto i Dalem Duisingiem, dzięki którym działał na wielu ważnych scenach świata. Prowadzi też działalność architektoniczną. W zeszłym roku wygrał konkurs na dyrektora naczelnego TWON i objął stanowisko 1 września 2025 r.

Wielki może być większy

To będzie pierwszy sezon, na który mam realny wpływ – mówi Boris Kudlička, dyrektor naczelny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. I opowiada o swoich planach.

DOROTA SZWARCMAN: **– Operę Narodową czeka wiele ważnych zmian, które są jej potrzebne od lat. Pan zna to miejsce od podszewki, to bardzo sprzyjająca okoliczność: ktoś inny mógłby nie mieć odwagi, by taką rewolucję przeprowadzić.**

BORIS KUDLIČKA: – Zmiany są wspaniałym elementem naszego życia. Opera Narodowa to miejsce wyjątkowe w polskiej kulturze, więc mam świadomość ogromnej odpowiedzialności za decyzje, które będę podejmować – czy to w sprawach infrastruktury, czy też w kwestiach artystycznych. Ale równocześnie czuję, że potencjał tej instytucji jest znacznie większy niż ten, który obserwuję dzisiaj. Także jeśli chodzi o liczbę spektakli czy też różnych programów artystycznych, które mogą wzbogacić naszą ofertę. Przeprowadziliśmy ostatnio ankietę wśród naszych widzów, na którą odpowiedziało ponad 2 tys. osób, i wielu uznało, że gramy zbyt rzadko. Widzę też ogromny potencjał w zbliżeniu się ze społecznością wokół teatru, w relacjach z innymi instytucjami, w budowaniu programów edukacyjnych – nie tylko informacyjnych, ale też lekcji tańca czy śpiewu albo dotknięcia warsztatu i rzemiosła, co dla wielu jest dziś egzotycznym doświadczeniem.

Działań edukacyjnych w teatrze było już wcześniej dużo, ale teraz chyba jest więcej?

Tak i będzie jeszcze więcej. Podchodząc do planu i wizji rozwoju teatru w najbliższych pięciu latach, widzę kilka ważnych elementów. Jednym z nich jest wizja artystyczna i planowanie długofalowe, na trzy–cztery sezony do przodu. To jest po prostu niezbędne, żeby w europejskim ekosystemie mieć dostęp do artystów – nie tylko uznanych gwiazd, ale też tych wschodzących. Drugim obszarem jest logistyka. Bolączką naszego teatru, choć mieści się w tak ogromnym gmachu, jest to, że właściwie nie ma sal do prób. Kameralna Sala im. Młynarskiego, choć z takim założeniem zbudowana, jest wspaniałą performatywną przestrzenią, więc chcemy ją uwolnić dla rozmaitych wydarzeń artystycznych, a sale prób zbudować gdzie indziej. Mówiliśmy o tym niedawno na konferencji prasowej z ministrą kultury Martą Cienkowską, zapowiadając dofinansowanie tej przebudowy w ramach programu FEnIKS (Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko – przyp. red.).

Świetnie, że udało się te fundusze pozyskać.

Dowiedzieliśmy się o tej możliwości jesienią zeszłego roku. Do końca grudnia ▶

© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 7f01362802

▶ musieliśmy mieć wszystkie dokumenty: sześć pozwoleń budowlanych, konserwatorskich, analiz konstruktorskich, opinii komendanta straży pożarnej, Biura Architektury miasta. Udało się i ogromnie się z tego cieszę.

Jeden projekt może zaskakiwać: budowa dwóch nowych sal na dachu.

Była rozważana w teatrze od dobrych kilku lat. Powstał projekt. Dyrektor Waldemar Dąbrowski próbował go przeforsować, dostaliśmy nawet pozwolenie na budowę, ale nie było pieniędzy. Teraz okazja się trafiła. Jednak, choć z początku myśleliśmy, że jedna z tych sal będzie dla baletu, a druga dla opery, to są tu pewne ograniczenia. Sale będą przeszklone, więc światło dzienne będzie wspaniałe dla tancerzy. Ale dla opery byłby problem z akustyką oraz z logistyką, bo trzeba przenieść do sali prób większe elementy dekoracji, żeby oszczędzić czas na głównej scenie dla gry repertuarowej. Dlatego powstanie kolejna nowa sala, tzw. teatralno-muzyczna, w kieszeni głównej sceny, gdzie będzie można szybciej przygotować inscenizację.

Scena jest rzeczywiście tak wielka, że podobno cały gmach mediolańskiej La Scali mógłby się na niej zmieścić.

I szkoda tej przestrzeni. Jeszcze jedną, czwartą salę zaplanowaliśmy na poziomie zero, czyli pod sceną, jej najgłębszą częścią, tam, gdzie teraz parkuje obrotówka. To będzie niezależna przestrzeń, która ma służyć – jak to określiliśmy w projekcie – wielopokoleniowej edukacji kulturalnej. Będzie miała 16 na 14 m plus zaplecze dla artystów i niewielki magazyn na fortepian czy małe rekwizyty. Zresztą wszystkie nowo powstałe sale będą wielofunkcyjne: te przeznaczone na próby także będą udostępniane dla publiczności, dla różnych wydarzeń i działalności edukacyjnej.

Te projekty sal na dole są nowe?

Tak, ale zgodne z moim programem, który zaprezentowałem, przystępując do konkursu na dyrektora.

Chodził pan po teatrze i szukał miejsc, które można byłoby wykorzystać?

Miałem poczucie, że to niemożliwe, żeby w tak dużym gmachu nie znalazło się miejsce. Ja te przestrzenie czuję, a uważam, że funkcjonalność jest najważniejsza. Że magazynowanie dekoracji na tyłach sceny nie jest najlepszym pomysłem, a wykorzystanie tych przestrzeni do spotkań i programów artystycznych jest znacznie ciekawsze. W związku z tym musieliśmy znaleźć nowe magazyny. Planując długofalowo, wiemy, co zagramy za trzy sezony, więc wiemy, czego potrzebujemy w teatrze, a które dekoracje mogą być wywiezione za miasto.

Inna sprawa, równie ważna, to modernizacja tego, co jest...

...której nie było od 1965 r., od otwarcia teatru. W obecnych salach prób baletu i chóru wymienimy wentylację. Latem jest w nich bardzo gorąco, więc poprawimy komfort naszych artystów, ale też publiczności, którą i tam będziemy zapraszać. Wentylację poprawimy też w Salach Redutowych. No i akustykę, bo jest kiepska. W warsztatach Teatru Wielkiego też będzie sporo roboty. Zostały zaprojektowane na potrzeby lat 60., kiedy wszystkie dekoracje robiono z drewna. Technologia ewoluowała, drewno zastąpiła stal, a później stal zastąpiło aluminium, więc musimy powiększyć powierzchnię, na której te elementy aluminiowe będzie się spawać. Musimy też zbudować nowe podciągi, którymi podnosimy wielkie elementy dekoracji przy montażu. Z tym oczywiście wiąże się potrzeba wzmocnienia dachu.

Osobny rozdział to wymiana technologii scenicznej. Mamy w tej chwili sprzęt oświetleniowy, którego już się nie produkuje, więc nie ma części zamiennych. Poza tym nowoczesny system oświetleniowy pomaga szybciej montować dekoracje do poszczególnych spektakli, bo można go zaprogramować. To tylko jeden przykład. Już w zeszłym roku dostaliśmy pieniądze na uruchomienie przetargu na plan przebudowy i unowocześnienia sceny w Sali im. Moniuszki; konsultujemy się z kilkoma firmami, które się tym zajmują. Trzeba to dobrze przeanalizować, bo to będzie ogromna operacja. Rozważamy np., czy wymieniamy wszystkie zapadnie, łącznie z konstrukcjami, czy tylko technologię i napędy. Konsultujemy się też z przedstawicielami teatrów operowych na świecie, które przeszły podobną metamorfozę. Ale na tę fazę nie mamy jeszcze pieniędzy.

Program FEnIKS jej nie obejmuje?

Nie, bo w nim chodzi o zwiększenie dostępności teatru, a tu o bezpieczeństwo. Będziemy więc rozmawiać z Ministerstwem Kultury, jak to sfinansować. Chciałbym, aby to się udało do końca mojej kadencji, czyli do 2030 r. Oczywiście zależy mi na tym, żeby nie zamykać teatru, więc będziemy skracać sezony: kończyć w czerwcu, a kolejny rozpoczynać w październiku. Zaczynamy od budowy sal na dachu, więc na ten czas przenosimy miejsce prób baletu do Sal Redutowych – budujemy tam teraz podłogę baletową. Sala im. Młynarskiego także będzie wyłączona, bo prace na dachu będą tam słyszalne.

Do dyspozycji w następnym sezonie jest więc tylko sala główna.

Ale też współpracujemy z instytucjami zewnętrznymi. To będzie pierwszy sezon, na który mam realny wpływ, bo obecny był zaplanowany przez poprzednią dyrekcję, podobnie jak początek następnego, którym będzie nowa opera ukraińskiego kompozytora Maksyma Kołomyjca (Maxim Kolomiiets) „Matki z Chersonia" – kolejny ważny symbol naszej solidarności z walczącą Ukrainą. To dramatyczna historia porwania 25 tys. ukraińskich dzieci przez rosyjskiego agresora oraz bohaterskich matek, które z desperacją walczą o ich powrót. Opera-paradokument. U nas odbędzie się jej prapremiera 16 października, a sezon później zostanie wystawiona w nowojorskiej Metropolitan Opera – to nasz wspólny projekt. Dyrygować będzie Keri-Lynn Wilson, wyreżyseruje ją Barbara Wysocka. Oczywiście również w tym roku TWON będzie domem dla Ukrainian Freedom Orchestra; w sierpniu, po próbach i koncercie u nas, zespół ruszy w trasę europejską, a skończy ją w Nowym Jorku, w Carnegie Hall, gdzie na koncercie wystąpi z nim Lise Davidsen.

Druga premiera, 20 listopada, to koprodukcja z Nowym Teatrem: odtworzenie „Czarodziejskiej góry" Pawła Mykietyna w nowej, młodej obsadzie; będą to studenci warszawskiej Akademii Operowej. Andrzej Chyra, który i teraz będzie reżyserem spektaklu, nazywa go „Czarodziejska góra 2.0". Będzie to pokazane w siedzibie Nowego Teatru. U nas zaledwie parę dni później, 22 listopada, odbędzie się premiera „Salome" Richarda Straussa, do tego przedstawienia po raz pierwszy pozyskaliśmy renomowanego reżysera Clausa Gutha. Będzie to europejska wersja wystawienia z nowojorskiej Met, w koprodukcji z Teatro Real w Madrycie, który pokaże ją za rok. Wspaniała obsada: Gerhard Siegel, Tomasz Konieczny, młoda zdolna śpiewaczka Monika Radecka. To pierwsza produkcja, którą poprowadzi nowy dyrektor muzyczny TWON Yoel Gamzou. W grudniu premiera baletowa: „Coppelia".

Klasyka też jest potrzebna.

Choreografię stworzy Manuel Legris, szef baletu Opery Paryskiej. W styczniu wracamy do opery: „Katię Kabanovą"

eprasa.pl 7f01362802

Leoša Janáčka wyreżyseruje kolejna ważna postać – Kornél Mundruczó. To zupełnie nowa produkcja, która powstanie na nasze zamówienie. Kornél też będzie pracował u nas w operze po raz pierwszy, choć nie pierwszy raz w Warszawie. Bardzo się ucieszył na ten tytuł. Tą premierą także zadyryguje Yoel Gamzou; wśród śpiewaków znajdą się Evelyn Herlitzius oraz w roli tytułowej świetna Aušrinė Stundytė, która kiedyś śpiewała u nas w „Ognistym aniele" Prokofiewa.

Kolejnym cenionym reżyserem, jaki zadebiutuje w naszej operze, będzie Christof Loy, który wystawi dwie jednoaktówki w jednym spektaklu: „Oczekiwanie" Arnolda Schönberga i „Głos ludzki" Francisa Poulenca, pierwsza ze znakomitą Malin Byström, druga z rozwijającą swą karierę Marianne Croux. To też koprodukcja z Madrytem. Z dyrygentem Robertem Jindrą, szefem muzycznym praskiej Opery Narodowej, zetknęliśmy się ostatnio na koncercie wagnerowskim z Camillą Nylund i Tomaszem Koniecznym. Mieliśmy pewne zaległości w repertuarze wczesnoromantycznym, więc zaplanowaliśmy dawno niegranych tutaj „Poławiaczy pereł" Bizeta. To spektakl stworzony z Operą Wiedeńską, która pokazuje go teraz, a my zobaczymy go za rok. Realizację stworzył młody, ceniony artysta Ersan Mondtag – też w naszej operze po raz pierwszy – który jest również autorem scenografii i kostiumów. Ostatnią premierą operową przyszłego sezonu będą „Opowieści Hoffmanna" Jacquesa Offenbacha w inscenizacji autorstwa bardzo ciekawej reżyserki Lydii Steier; to będzie koprodukcja z berlińską Staatsoper.

Z premier baletowych zobaczymy jeszcze trzyczęściowy wieczór „Piękno i ironia" z choreografiami Katarzyny Kozielskiej, Eyala Dadona i Alexandra Ekmana oraz, jak co roku, prace młodych choreografów z cyklu „Kreacje". Będziemy też kontynuować wątek regionalny: po kaszubskiej „Wòlô bòskô" – „Ślonske Gołymbie", ale już nie u nas, tylko w Muzeum Historii Polski, a potem w Operze Śląskiej.

Yoel Gamzou zapowiadał też koncerty symfoniczne.

Będą. Zacznie od II Symfonii Mahlera już we wrześniu. Poprowadzi galę sylwestrową z muzyką angielską i polską, z udziałem śpiewaków Sophie Bevan i Tomasza Kumięgi oraz pianisty Benjamina Grosvenora. Innym pianistą, który wystąpi z naszą orkiestrą, będzie Boris Giltburg. A w ramach Wielkanocnego Festiwalu Beethovenowskiego Gamzou poprowadzi Requiem Verdiego. Szczególnie ciekawie zapowiada się wykonanie III Symfonii Pawła Kleckiego, którego przez lata świat znał jako wybitnego dyrygenta, ale dopiero niedawno odkryto, że był równie wybitnym kompozytorem. Yoelowi bardzo zależało, żeby jego utwór wykonać. Z koncertów wokalnych pozostaną tylko dwa recitale z fortepianem: po raz pierwszy zaśpiewa w naszym teatrze Jakub Józef Orliński, a także mezzosopranistka Augul Akhmetshina.

Cieszę się, że udało mi się skonstruować ten sezon, a przy tym trochę zwiększyć liczbę premier, bo miałem na to tylko pół roku. Każda z tych produkcji ma inną optykę i to powinno być ciekawe dla naszej publiczności, zwłaszcza że zetknie się z nowymi osobowościami artystycznymi.

ROZMAWIAŁA DOROTA SZWARCMAN

REKLAMA



ORGANIZATORZY

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI

eprasa.pl 7f01362802

Dużo sera

Polska gra „Mouse: P.I. For Hire”, pastiszowy hołd dla starych kreskówek i kina noir, pokazuje, jak odnieść autorski sukces w czasach ofensywy AI.



OLAF SZEWCZYK

Gra „Mysz: Prywatny detektyw do wynajęcia”, debiut warszawskiego studia Fumi Games, niewsparta żadną kosztowną machiną promocyjną, w okolicach premiery była już na listach życzeń ok. 2 mln użytkowników sklepu internetowego Steam. To w przypadku gry indie, czyli tworzonej przez małe niezależne studio, niezwykle rzadki sukces. Świetnie oceniana, wkrótce po premierze dotarła w Steam do pierwszej piątki najlepiej sprzedających się tytułów. Już w pierwszych dniach opowieść o losach mysiego detektywa nabyło 360 tys. osób, a przychód brutto szybko przekroczył 10 mln dol.

Jak to możliwe, że niewielkie studio z Polski odniosło tak spektakularny sukces?

Animacja bez AI

„Mouse: P.I. for Hire” to opowieść o steranym życiem, nadużywającym sera i hazardu prywatnym detektywie Jacku Pepperze. Rzecz dzieje się w 1934 r., w mieście Mouseburg, w czasach prohibicji, zakazującej sprzedaży serowych używek. Sprawa zaginięcia słynnego magika, którą podejmuje się rozwiązać Jack, szybko przeradza się w śledztwo sięgające najważniejszych myszy w metropolii. W oparach płynnego sera, korupcji, zbrodni i politycznych intryg Jack Pepper przemierza z mauserem – a raczej: micerem – w dłoni ciemne zaułki, bary, nocne kluby, wytworne rezydencje, odstrzeliwując przy okazji tabuny złoczyńców.

Gra jest czarno-biała, nawiązuje stylem do klasycznych pionierskich kreskówek Fleischer Studios i wczesnych produkcji Disneya, z przygodami Myszki Miki na czele. Disneyowski „Parowiec Willie” z 1928 r. jest tu nawet przywoływany dosłownie, a Jack Pepper ewidentnie inspirowany jest wczesnym wizerunkiem Myszki Miki. Ma charakterystyczne uszy i nos, nosi białe rękawiczki. Zarazem jednak jego ponura facjata, z dekadencko zwisającym z kącika pyszczka niedopalonym cygarem, mocno go od Mikiego odróżnia.

Graficy Fumi Games brawurowo, ale sprawnie, balansują na granicy naruszania praw autorskich The Walt Disney Company, która słynie z agresywnych pozwów. Fumi Studio wykorzystuje to samo prawo, które umożliwiło nakręcenie krwawego horroru z Puchatkiem i Prosiaczkiem „Puchatek: krew i miód” (2023 r.). W 2022 r. prawa do „Steambot Willie”, a co za tym idzie, do pierwotnego wizerunku Myszki Miki, przeszły bowiem do domeny publicznej. Tak długo, jak nie zostaną wykorzystane unikatowe cechy identyfikacyjne Mikiego z jego późniejszych wersji graficznych, do których Disney wciąż ma prawa, korporacyjni prawnicy mogą tylko gryźć pióra z bezsilności.

W animacjach antropomorficznych gryzoni można rozpoznać charakterystyczny styl „gumowego węża” (ang. rubber hose), spopularyzowany przez Fleischer Studios w latach 20. XX w. i przejęty przez Disneya – pozbawione stawów kończyny wiją się i rozciągają jak gumowy szlauch. Postaci są rysowane konturowo, bez akcentu na detale, poruszają się dynamicznie, ekspresyjnie wyrażają emocje. Aby osiągnąć ten efekt, możliwie jak najbardziej naturalny i zgodny z klasyką, graficy Fumi Games rysowali wszystkie animacje ręcznie, klatka za klatką – łącznie stworzyli ich ponad 54 tys. Podkreślają, że żaden kadr w grze nie został wykreowany za pomocą sztucznej inteligencji.

Fatalna myszka

Efekt przerasta oczekiwania. Gra prezentuje się pięknie, stylowo i dowcipnie. I tu skrywa się tajemnica sukcesu: Fumi Games stworzyli w 2019 r., jako nową odnogę działalności, doświadczeni artyści z cenionego FUMI Studio. A to założone w 2009 r. przez Piotra Furmankiewicza i Mateusza Michalaka studio animacji, z ponad 50 filmami animowanymi na koncie i trzycyfrową liczbą zdobytych nagród. W 2012 r. podczas Krakowskiego Festiwalu Filmowego FUMI Studio otrzymało – przyznaną po raz pierwszy w historii – Nagrodę Krajowej Izby Producentów Audiowizualnych (KIPA) dla Najlepszego Producenta Polskich Filmów Krótkometrażowych, Animowanych i Dokumentalnych.

Drugim kierunkiem inspiracji przy tworzeniu „Mouse: P.I. for Hire” było kino noir. Jack Pepper przywodzi na myśl bohaterów kryminałów Raymonda Chandlera czy Dashiella Hammetta. Z wyglądu ta mysz to przecież grany przez Humphreya Bogarta w ekranizacji „Sokoła maltańskiego” (1941 r.) Sam Spade – w filcowym kapeluszu Fedora z przekrzywionym rondem, pod ciemnym krawatem, w długim prochowcu, z papierosem w kąciku

eprasa.pl 7f01362802

ust. Twardziel, na pozór cynik, w głębi serca skłonny do afektu romantyk. Rzecz jasna, jak w każdym rasowym filmie noir, i tu znajdzie się femme fatale. Czy może raczej, z powodów taksonomicznych, jako dama gryzoń, souris fatale.

Humphrey Bogart doszlifuje ten wizerunek jako detektyw Philip Marlowe w ekranizacji powieści Chandlera „Wielki sen" (1946 r). Film Howarda Hawksa rozwinie tu także do perfekcji, jakże typowy odtąd dla kina noir, motyw monologu zza kadru, po raz pierwszy wykorzystany w „Sokole maltańskim". W polskiej grze ów monolog to jedna z większych atrakcji gry. Głosem detektywa Peppera mówi bowiem Troy Baker, jeden z najpopularniejszych aktorów dubbingowych w grach wideo, znany m.in. z głównej roli w „The Last of Us".

Udział Bakera w grze indie z niewielkim budżetem z pewnością intrygował, budując ciekawość i oczekiwania przed premierą. Zagrał mysiego detektywa z wyczuciem, ale niemniej atrakcyjne okazały się wygłaszane przez niego zza kadru refleksje i dowcipne bon moty, pełne nawiązań do rozmaitych klasyków. Gdy Pepper zaczyna patetyczny monolog: „Walczyłem na wojnie, John. Widziałem myszy rozszarpane pociskami (...)", zarówno treść, jak i sposób, w jaki Baker wypowiada te słowa, przywodzą na myśl wygłaszany przez Rutgera Hauera monolog umierającego androida w filmie „Blade Runner": „Widziałem rzeczy, którym wy, ludzie, nie dalibyście wiary. Statki szturmowe w ogniu sunące nieopodal Pasa Oriona (...)". A jako że gra jest pastiszem, mysz kończy swą wypowiedź klasycznym, wywołującym uśmiech antyklimaksem.

Gra jest naszpikowana jak keks bakaliami aluzjami do niezliczonych tekstów kultury. Wyłuskiwanie ich z niemal każdej sceny to atrakcja sama w sobie. Możemy zauważyć na ścianie obraz przedstawiający dwie myszy z widłami, czyli wariację na temat „American Gothic" Granta Wooda, czy niemniej oczywisty mysi „Krzyk" Muncha. To rozszyfrować może każdy, ale już tylko koneserzy serii gier wideo „Resident Evil" zrozumieją, skąd się wziął na komisariacie transparent witający Leona (chodzi o Leona S. Kennedy'ego, scena pochodzi z „Resident Evil 2"). Są nawiązania jeszcze bardziej hermetyczne, choćby te czytelne tylko dla Polaków. W grze pojawia się np. kod 2137. Liczba ta nawiązuje do godziny śmierci Jana Pawła II (21:37) i ma już u nas status memu.

Śmierć nie na żarty

Wszelkie te anachronizmy nie rażą, bo gra jest jednym wielkim żartem. Nie ma sensu się czepiać, że historia umiejscowiona w mysim odpowiedniku Nowego Jorku w 1934 r. nawiązuje do kina noir, które narodziło się w kolejnej dekadzie. Ani że gdy Jack zasiada do kart w barze, w tle rozbrzmiewa jazzowy standard Theloniusa Monka „Round Midnight", który po raz pierwszy został nagrany przez Cootiego Williamsa w 1944 r. Nie wspominając już nawet o „Milestones" Milesa Davisa z 1958 r. Ważne jest to, że autorzy wykorzystali sporo dobrego jazzu z epoki.

Troska o oddanie atmosfery tamtych lat sięga tak głęboko, że „Mysz..." pozwala wybrać charakter zniekształceń dźwięku typowy dla urządzenia, które go odtwarza. Inaczej brzmi zatem jazz odtwarzany przez cylinder z brązowego wosku, cylinder z czarnego celuloidu, dysk celulozowy czy winyl.

Choć gra jest kreskówką, nie należy sadzać przed nią dzieci. Akcja jest pełna strzelanin i choć dowcip sytuacyjny ma charakter typowo slapstickowy, twardziel Jack Pepper odstrzeliwuje wrażym gryzoniom łebki.

W sukcesie pomogło coś jeszcze: jedna z największych afer w świecie gier od początku roku. Po irytującej dla wielu miłośników „Myszy..." recenzji największego internetowego serwisu o grach IGN (ok. 160 mln wizyt miesięcznie), który ocenił ją na zaledwie 6/10, jeden z najpopularniejszych celebrytów growych Asmongold (4,5 mln subskrybentów na YouTube) doradził jej autorowi, aby już nigdy więcej nie pisał o grach. Podsumował, że to jedna z najgorszych recenzji, jakie widział. Materiały Asmongolda o „Mouse: P.I. for Hire" obejrzano łącznie jakieś półtora miliona razy. Jego oburzenie zapoczątkowało lawinę innych podobnych filmów wyśmiewających stanowisko IGN.

Pokłosiem „afery serowej" są do dziś dziesiątki memów i ironiczna fraza „Za dużo sera" (użyta przez IGN), którą zapewne jeszcze długo kwitować się będzie absurdalnie argumentowane krytyczne recenzje. Studio Fumi Games nie mogło sobie wymarzyć lepszej reklamy. ■

© MOUSE: P.I. FOR HIRE, MOUSE AND FUMI/FUMI STUDIOS PTY LTD

REKLAMA



Człowiek z gwiazd

Kosmiczne idee Sun Ra, który wraca dziś jako bohater filmów dokumentalnych, tak naprawdę nie były pomysłami z Księżyca, tylko wyprzedziły swój czas.

BARTEK CHACIŃSKI



Jego pierwsza pozaziemska wyprawa miała miejsce w 1937 r., podczas studiów na Uniwersytecie Rolniczo-Technicznym Alabamy. Odwiedzili go obcy, poddali zabiegowi transmolekularyzacji – tak zapisał w swoim pamiętniku, a później uparcie powtarzał – po czym w odmienionym ciele wylądował na Saturnie, wśród istot z antenkami przy oczach i uszach. „Kazali mi zaprzestać dalszej nauki" – notował jako 23-latek. „Ostrzegając przed problemami we wszystkich dziedzinach życia". Miał przemówić, kiedy świat ogarnie chaos i brak nadziei, a ludzie – według mieszkańców Saturna – mieli go słuchać.

Herman Poole Blount porzucił zatem studia i zaczął kompletować zespół jako lider i pianista. To był big band – formacja naturalna dla lat 30. A Blount szybko zyskał opinię geniusza. Nie wariata – jak wspominają rozmówcy jego biografa Johna Szweda – ale dziwaka: nie palił, nie pił, nie brał narkotyków, za to był na diecie z warzyw i suplementów diety. Twierdził, że „seks go nie interesuje", za to praktycznie nie spał i pracował cały czas. Muzyka stała się dla niego głównym życiowym celem.

W 1942 r., jak wielu innych, dostał powołanie do wojska. Próbował się wykpić stanem zdrowia, opieką nad 75-letnią ciotką, prowadzoną orkiestrą, chrześcijańską moralnością oraz pacyfizmem podchwyconym od Gandhiego. Nie dotarł do wyznaczonego obozu pracy zastępczej, po czym i tak w nim wylądował, wcześniej ponad miesiąc odsiadując w areszcie. W wysyłanych stamtąd listach pisał – jak przypomina najnowszy dokument „Sun Ra. Wizja staje się dźwiękiem" – że wolałby być rozstrzelany niż odcięty od muzyki.

Wypuszczony z obozu, wyjechał do Chicago i przyjął inspirowany starożytnym Egiptem, który uznawał za czarną kolebkę cywilizacji, pseudonim Sun Ra. Zanim to się stało – jak wylicza Rafał Księżyk w książce „Wywracanie kultury" – „przeżył pełną poniżeń młodość na rasistowskim Południu, (...) odrzucenie swoich kompozycji przez bigbandowych liderów, wreszcie zarobkową pracę akompaniatora w klubie ze striptizem".

Spektakl z dodatkami

Historia Blounta, urodzonego w 1914, zmarłego w 1993 r., to jedna z najbardziej fascynujących opowieści o muzyce XX w. I najpełniejszych, bo obejmuje praktycznie wszystkie fazy rozwoju jazzu: od Nowego Orleanu po free i awangardę, zahaczając o inne nurty, takie jak funk czy soul. Jest to też przy tym ciekawa opowieść o człowieku, który stał się prekursorem nowej kultury w praktycznie wszystkich aspektach. Dlatego jest do dziś tak interesująca i powstają kolejne poświęcone mu filmy – poza dokumentem „Wizja staje się dźwiękiem" Christine Turner, pokazywanym na trwającym Millennium Docs Against Gravity, tej samej wiosny zobaczymy w Polsce jeszcze „Sun Ra i jego magiczne miasto" o rodzinnym Birmingham w Alabamie (Krakowski Festiwal Filmowy).

Bycie obdżektorem wiele lat przed Wietnamem i falą pacyfizmu w USA to tylko jedna z wielu dziedzin, w których Sun Ra był pionierem. Po pierwsze, był jednym z pionierów grupowej improwizacji. Razem ze swoją występującą pod różnymi nazwami Arkestrą (gra słów: orkiestra w połączeniu z biblijną Arką Noego) opracował system znaków i ruchów, które umożliwiały mu dyrygowanie zespołem i przechodzenie z wykonania tematu do sekcji granej free. Nie znosił wykonywania tego samego utworu po raz drugi w ten sam sposób, zawsze zmieniał jego charakter. Przenosiło się to też na inne dziedziny życia, nigdy np. nie zamawiał po raz drugi tego samego dania w restauracji.

„Fani Sun Ra przywykli do tego, by spodziewać się niespodziewanego – i rzadko ich rozczarowywał" – pisze Ted Gioia w „The History of Jazz". „Skład jego Arkestry mógł danego wieczoru obejmować dziesięciu muzyków, ale mógł też liczyć trzydziestu. Mogli mu towarzyszyć tancerze, kostiumy, pokazy slajdów i inne dodatki". Można do tego jeszcze dorzucić deklamowanie poezji, a nawet pokazy połykaczy ognia. Występy multimedialne to kolejne novum, które wprowadził – jeszcze przed spektaklami

© ANDREW PUTLER/REDFERNS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7f01362802

Pink Floyd i innych. Zresztą o ile krytycy jazzowi w większości odrzucali jego muzykę, o tyle rockowa publiczność ją pokochała, m.in. za tę kosmiczną, psychodeliczną otoczkę.

Muzykę kosmiczną Sun Ra tworzył na długo, zanim spopularyzowali ją inni artyści, choćby Niemcy w ramach swojej Kosmische Musik. Już w 1956 r. pisarz i dziennikarz Norman Mailer zanotował opowieść Blounta o tym, że używa zwykłych instrumentów w niekonwencjonalny sposób, by grać muzykę z kosmosu.

Moonwalk przed Jacksonem

Muzykę elektroniczną Sun Ra też tworzył jeszcze przed niemiecką falą. Dokument Christine Turner przypomina, że kiedy Sun Ra poznano z wynalazcą i konstruktorem Robertem Moogiem i miał szansę wypróbować prototypowy syntezator, „był w kompletnym szoku". Słynnego Minimooga dostał w stadium testów i natychmiast nagrał na nim całą stronę płyty „My Brother the Wind vol. 2", tłumacząc, że to instrument dający możliwości, o jakich marzył – wcześniej podobne efekty próbował osiągnąć, wykorzystując organy czy pianina elektryczne.

Wątki europejskie są w tym przypadku istotne. O ile bowiem w USA ze swoją eklektyczną, wyjątkową muzyką Sun Ra miał trudności z dotarciem do krytyki i zgromadzeniem tłumów, o tyle Europa okazywała się bardziej otwarta. Duża część koncertów we Francji, w Niemczech czy Finlandii trafiła na płyty. Podobnie stało się z występem w Kaliszu, dokąd Sun Ra Arkestra przyjechała w grudniu 1986 r. na Międzynarodowy Festiwal Pianistów Jazzowych, przy czym zespół – ku zaskoczeniu widzów – zszedł ze sceny i przeparadował w szczególnej procesji dookoła publiczności. Zachowały się zdjęcia, a zapis muzyki ukazał się w 2019 r. dzięki staraniom Lanquidity Records i Sebastiana Jóźwiaka, menedżera jazzowej formacji EABS, zafascynowanego amerykańskim jazzmanem do tego stopnia, że pisał o nim pracę dyplomową na wydziale filozofii.

Arkestra – w większym, 19-osobowym składzie – wróciła do Polski rok później na festiwal Jazz Jamboree, odbywający się w warszawskiej Sali Kongresowej. Występ nagrała telewizja i okazjonalnie można go zobaczyć na antenie TVP Kultura.

Była wtedy na scenie także June Tyson, tancerka i wokalistka zespołu, która wymyśliła moonwalk Michaela Jacksona. Tyle że wtedy jeszcze się tak nie nazywał. W książce „Space Is the Place" Johna Szweda twierdzi, że ten krok wymyśliła przed koncertem Sun Ra w Carnegie Hall – żeby się płynnie przemieszczać z jednej strony sceny na drugą – i nazwała *space walk*.

I jeszcze jedna ważna kwestia, w której Blount wyprzedził cały współczesny mu świat: niezależność. Już w połowie lat 50., nauczony przykładem oszukanych afroamerykańskich muzyków, wspólnie z przedsiębiorcą Altonem Abrahamem założył własną wytwórnię płytową. Kontrolował proces wydawniczy, był właścicielem studyjnych taśm-matek i nie sprzedawał praw. To m.in. spodobało się u niego muzykom punkowym, wśród których Sun Ra miał od początku wyznawców: pionierzy nurtu, z The Stooges z Iggym Popem na czele, znali i cenili jego dokonania, grywali razem koncerty. Podobnie z grupą MC5, która w utworze „Spaceship" na debiutanckiej płycie wykorzystała nawet tekst napisany przez jazzmana.

Sun Ra wyprzedził cały nurt hiphopowy, a wcześniej funk, proponując wspólny plan dla afroamerykańskiej społeczności: migrację w kosmos, na inne planety. Stąd jego pozycja jednego z ojców afrofuturyzmu (pisał o tym Edwin Bendyk, POLITYKA 10/22). Kluczem dla społeczności czarnych Amerykanów miało być sięgnięcie do własnej przeszłości i przeniesienie tradycji w przyszłość. Dlatego tak ważny był dla Sun Ra mit – chciał stworzyć nowy rodzaj mitu dla swoich braci i sióstr. Widać to choćby w utrzymanym w tandetnym, pulpowym stylu filmie „Space Is the Place", w którym zagrał samego siebie: w charakterystycznej dla niego szacie odwiedza gettowe dzielnice, proponując ludziom wejście na pokład swojego statku. Kiedy magazyn „Esquire" poprosił go o komentarz do specjalnego wydania poświęconego lądowaniu na Księżycu, napisał tylko trzy słowa: „Rzeczywistość dogoniła mit".

Za mesjasza się nie uważał, bardziej za emisariusza, który trenuje załogę potrzebną do wykonania zadania. Jego Arkestra była rodzajem komuny, utopijnym tworem zbudowanym wokół wymyślonych przez lidera zasad. Najważniejszą było bezwzględne posłuszeństwo – niemal jak w sekcie albo w wojsku. Zresztą mówił o swoich ludziach jako o „wojownikach dźwięku". Pijaństwo czy narkotyki, które dla jazzmanów były częścią życia, tu były karane. Sun Ra karmił za to własny zespół wyimaginowaną „potrawką z Księżyca". Nie akceptował stosunków seksualnych podczas tras koncertowych. Wynagradzał ludzi według tego, jak dobrze wykonali zadania, a formy kar bywały różne: od zamykania opornych w szafie po pozostawienie na miejscu – cała ekipa jechała wtedy dalej, zostawiając ukaranego w hotelu.

Sun Ra był wymagający, a jego próby nie miały końca. „Zasypiał na chwilę przy fortepianie i wtedy muzycy wymykali się jeden po drugim" – opowiada jeden z nich w filmie Turner.

Po śmierci lidera zespół zresztą stale działa, gra koncerty, a ostatnio nawet nagrywa. Prowadzą go kolejni najstarsi stażem muzycy, których wychował jeszcze Blount. W tej chwili – 101-letni saksofonista Marshall Allen.

„Nie ma totalnej wolności bez dyscypliny – to był ten przekaz Sun Ra dla świata" – mówił Sebastian Jóźwiak w podkaście POLITYKI. „Mówił, że my jako ludzie musimy sami sobie narzucać jakieś ograniczenia, bo takie rzeczy jak niepohamowany konsumpcjonizm doprowadzą do totalnego zniszczenia". Grupa EABS, której działania Jóźwiak prowadzi od strony ideowej i organizacyjnej, zagra zresztą koncert towarzyszący festiwalowej premierze nowego filmu na Millennium Docs Against Gravity. Materiał składa się z ich wizji utworów Arkestry, które w pandemii nagrali i opublikowali na albumie „Discipline of Sun Ra".

Wieczna kreacja

Jeszcze pod jednym względem Sun Ra wyprzedził przyszłość: wymyślił siebie na scenie i konsekwentnie prowadził ten projekt. „Tyle że nie było persony Sun Ra, którą odkładałby w domu. On był w tym kostiumie sobą, 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu" – mówi w filmie „Wizja staje się dźwiękiem" Thomas Stanley, kolejny biograf muzyka.

Swoją kreację doprowadził zresztą do końca, z właściwą sobie dyscypliną. Podczas jednego z ostatnich pobytów w szpitalu, już w 1993 r., kiedy zasłabł i przewieziono go na SOR (ostatecznie okazało się to udarem), lekarz wykonywał u niego rutynowy test: Ile palców pan widzi? Który mamy rok? A wreszcie: Gdzie się pan urodził? Muzyk miał odpowiedzieć tak, jak stale opowiadał: Na Saturnie. Dyżurny wezwał więc neurologa, zebrało się konsylium. I wtedy pojawił się lekarz dobrze znający pacjenta: „O, ale to przecież Sun Ra. On jak najbardziej jest z Saturna". ■

eprasa.pl 7f01362802



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Maja, żona Krzysztofa Rutkowskiego, zafundowała sobie złote i rubinowe ozdoby na zębach. Jest zatem duża szansa, że w końcu powie coś wartościowego.

Twarzą, a może także innym wielkim organem, firmy Media Expert został kulturysta Robert Burneika, zwany Hardkorowym Koksem. To najlepszy dowód, że zaczęły się przeceny.

Kamila Kamińska pokazała w sieci zdjęcia, na których karmi piersią pięcioletnią córkę. Pamiętam takie info: „Po trzech godzinach niebezpiecznego pościgu paparazzim w końcu udało się zgubić Harry'ego i Meg".

Rafał Stec po 27 latach pracy w „Gazecie Wyborczej" trafił do „Tygodnika Powszechnego". Gratulacje. Jeśli będzie pisał o Bogu tak jak o piłce nożnej, to zostanę gorliwym katolikiem. Przed końcem pierwszej połowy.

Mateusz Banasiuk ogłosił, że został pierwszym uczestnikiem kolejnej edycji programu „Azja Express" w TVN. Może być faworytem. Aktor jest na co dzień ze starszą partnerką. Wie, co to przetrwanie.

Piotr Kędzierski zrezygnował z programu „Taniec z gwiazdami" w odcinku półfinałowym, twierdząc, że innym idzie lepiej od niego. Jeśli zrobi z tego swoją życiową filozofię, zostanie bezrobotnym.

„Max Kolonko w owym czasie był w nader zacnej formie fizycznej, co widać w momencie, w którym, stojąc w wodzie, dzierży między nogami potężną rurę". Tak „Super Express" wspomina Maxa. Co widać w momencie czytania.

Janusz Kowalski, jeden z najbardziej lubiących siebie w mediach posłów PiS, odszedł z partii. Doskonały ruch. Jeszcze tylko 187 i zostaną sami uczciwi.

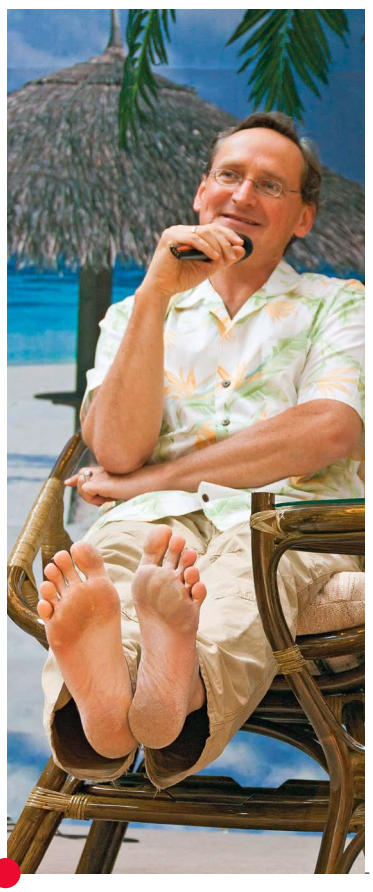

Wojciech Cejrowski, który przez lata popierał Donalda Trumpa i zarabiał na gadżetach z nim związanych, wyznał: „Nabrałem się tak samo jak państwo". Trochę to trwało, ale w końcu udowodnił, że chodzenie boso wpływa na nasz umysł.

„Tylko u nas" – krzyczy Jastrząb Post – „Weronika Schreiber o pierwszym spotkaniu z mężem". Nie dziwię się, że tylko u nich. Reszty to nie interesuje.

Bagi, nowy nabytek Polsatu, pokazał wiadomość od Edwarda Miszczaka, w której ten wysyła go do logopedy. Żeby się oduczył wymawiać słowo TVN.

Plotek donosi: „Tylko u nas! Lanberry o swej relacji z jedzeniem: Nie byłam w stanie jeść". Niektórzy tak mają z myśleniem.

Anna Dymna zaszokowała wyznaniem, że haszysz przez 12 lat był bardzo ważny w jej życiu. Jakże inaczej z tej perspektywy brzmi tytuł „Kochaj albo rzuć".

Podczas Dnia Flagi, 2 maja, na krakowskich Błoniach hymn Polski wykonała Doda. Znakomity pomysł. Teraz czekam, aż podczas Forum Ekonomicznego hymn wykona Janusz Palikot.

Kanał patostreamera Roberta Pasuta zniknął z YouTube po reportażu Polsat News. Najwidoczniej odmówił udziału w „Tańcu z gwiazdami".

Maria Prażuch-Prokop wyznała, że jej małżeństwo z Marcinem skończyło się już długo wcześniej, niż ogłosili to światu. Brawo. Jeśli zdążyli z decyzją przed zmianą czasu, to są szczęśliwsi godzinę dłużej.

94-letnia Sława Przybylska zapowiedziała finał kariery scenicznej: „Czuję, że trzeba to zakończyć". To prawdziwy fenomen. Dziś influencerki do podobnego wniosku potrafią dojść już po roku.

© ŁUKASZ GRUDNIEWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7f01362802

FELIETON

Witkowski



Uwaga! Internet istnieje

Nie uwierzycie państwo, będzie o streamowaniu. Bez obaw jednak, nie chodzi wcale o Łatwoganga, na ten temat wypowiedziało się już (na oko) 75 proc. współobywateli. Chodzi mi raczej o streamowanie o patologicznym zabarwieniu. Niezorientowanym tłumaczę: patostreaming to działalność internetowa polegająca na transmitowaniu mało chwalebnych aktywności (zażywanie środków psychoaktywnych, wulgarny język, wszelkie formy przemocy). W tle „donejty", czyli dobrowolne datki dla patostreamera, które bynajmniej nie trafiają potem na konto fundacji walczącej z nowotworami.

Nad problemem pochyliła się niedawno w materiale „Boomerzy z Sejmu" Monika Gawrońska z Polsat News. Rychło w czas, chciałoby się powiedzieć, jednak to nie dziennikarze wykazali się tu najsłabszym refleksem. W programie zaprezentowano m.in. sylwetkę Roberta Pasuta. Po wyemitowaniu materiału platforma YouTube zdecydowała się na usunięcie kanału patostreamera, w znaczący sposób utrudniając jego dalsze ruchy biznesowe. Słowem – szczęśliwe zakończenie.

Niewiele jednak brakowało, a mielibyśmy już za sobą cały łańcuch happy endów. Wystarczyło sprawdzić kalendarz i określić, który mamy rok, albo wyskoczyć w końcu z ciuchów świętoszka-hipokryty. Można się oczywiście zżymać na opóźniony zapłon Polsatu. Wszak Pasut i jemu podobni uprawiają swoją smutną, ale i kasową twórczość od wielu lat. Jak jednak określić postawę platformy, która do tej pory w beztroski, mniej lub bardziej pośredni sposób czerpała zyski z działalności patostreamera?

> Internet jest w Polsce częścią głównego nurtu, bynajmniej nie podrzędną wobec starych mediów (jeśli już, to jest wręcz odwrotnie).

Określić można by brzydko, ale zamiast bluzgów zaserwuję państwu anegdotę. W 2006 r. pojechałem ze znajomymi na bielawski festiwal reggae (każdy ma coś na sumieniu). Taksówkarz, który wiózł nas z dworca, zapomniał po zatrzymaniu wrzucić ręczny i tylne koło samochodu przetoczyło mi się po czubku stopy. Usłyszawszy moje: *Ała, przejechał mi pan po nodze!*, był autentycznie wściekły i gotowy policzyć się z winowajcą. Zapytał nawet: *Kto to zrobił?!* I tak mniej więcej jest z platformą YouTube usuwającą Pasuta.

Trudno przy tym oprzeć się wrażeniu, że osoby publiczne, gdy przychodzi im przyjrzeć się „sieci", działają z prędkością przeglądarki Internet Explorer (czyli niezbyt wysoką). Robert Biedroń nawoływał w grudniu 2025 r. do zakazania działalności Daniela Magicala, czarnej legendy patostreamingu.

Daniel Magical był dla wymiaru sprawiedliwości raczej Danielem Zwierzyńskim i od dawna miał już na koncie liczne występki, zakazy i głośne wyroki. Nie dziwi więc, że „spece" z sejmowej komisji, która ma zająć się zjawiskiem, przyznają się w polsatowskim materiale do nieznajomości tematu.

Od co najmniej dwóch dekad internet jest w Polsce pełnoprawną częścią głównego nurtu, bynajmniej nie podrzędną wobec starych mediów (jeśli już, to jest wręcz odwrotnie). A wciąż traktuje się go jak *mare tenebrarum*, ewentualnie przestrzeń alternatywną, raczej młodzieżową i nie do końca poważną. Minęło wiele lat, zanim UOKiK wziął się na poważnie za influencerów wciskających odbiorcom reklamowane produkty pod przykrywką bezinteresownej polecajki. Skarbówka dopiero od niedawna przygląda się „prywatnym" sprzedawcom odzieży używanej, którzy dzięki temu „hobby" zdążyli już postawić domy.

Internet bywa wspaniały, ale w lwiej części to przemocowy szlam. Dlatego też, aby uniknąć niepotrzebnych opóźnień i przyspieszyć niezbędne korekty, informuję zarówno polityków, jak i właścicieli platform, którzy zapewne nie mieli o niczym pojęcia, że w „otwartym", niezabezpieczonym weryfikacją wieku internecie znajdziecie patocelebryckie walki w oktagonie.

Zjawisku temu towarzyszą transmitowane w sieci konferencje, które u mnie (osoby niestroniącej od wulgaryzmów) wywołują wstydliwy rumieniec. Wśród uczestników gal MMA znajdziecie byłych lub aktywnych przestępców, a całość nosi neogitowski posmak.

Nie brak też w internecie miejsc, w których przeczytacie komentarze o „banderowcach, którzy mają wypie**alać z Polski" czy „inżynierach z Afryki". Owszem, czasem są pisane przez boty. Czasem jednak przez osoby z dobrze udokumentowaną w mediach społecznościowych biografią, np. dziadków sympatycznych wnucząt.

Dowiecie się też ode mnie, że nie wszyscy rodzice mają wystarczająco dużo rozsądku, a media społecznościowe są pełne zdjęć dzieci. Tu i ówdzie kręcą się narzędzia AI, które pozwalają na rozbieranie tychże, z czego niektórzy użytkownicy skrzętnie korzystają. O pornografii, dostępnej na dwa kliknięcia, nawet nie warto tu wspominać. Żaden ze mnie donosiciel, po prostu szkoda marnować czas. Być może decydenci tego świata szybciej skuszą się na samodzielną kwerendę, nie zasłaniając się tym, że „dla własnego samopoczucia nie chcą tego oglądać".

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 7f01362802

FELIETON

Chutnik Plebanek



Tropem czerwonego śledzia

Taksówkarz był małomówny, kiwał głową, gdy krytykowało się Donalda Trumpa, ale na słowo „Epstin" zesztywniał. – *Epsztajn* – poprawił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – *Epsztajn* – zgodziła się Grażyna, choć wiedziała, że w Stanach nazwisko to wymawia się „Epstin". Ugodowość wobec ludzi, którzy sądzą, że mają prawo instruować innych, jest zmorą, a trening do bycia miłą wychodzi bokiem, kiedy się człowiek najmniej tego podziewa. Oczywiście batalie należy wybierać, a nie rzucać się w każdą potyczkę, ale w taksówce nie zaszkodziłoby wyjaśnić, że Trump, Melania i amerykańscy dziennikarze mówią „Epstin". Tylko że kierowcy mogłoby się zrobić przykro...

Poprawiacze żerują na naszej uprzejmości. Ludzie dobrze wychowani ani się nie odwiną z ripostą, ani tym bardziej nie przyjdzie im do głowy, by samemu kogoś poprawiać. Kładą uszy po sobie i nawet cudzy koślawy „żart" podkręcą w anegdotę, byle dowcipnisiowi nie było smutno, że nikt się z jego wysiłków nie śmieje. W to graj tym ostatnim. Ośmieleni miękką akceptacją, epatują opiniami, o które nikt ich nie prosił. Kiedyś nagminnie strofowano kobiety, później głównie blondynki, dziś wciąż jeszcze wyszydza się dzieci, no i na całego obśmiewa obcokrajowców. Ale nie bogatych ekspatów, tylko biednych emigrantów. Cień obcego akcentu, odcień skóry ciemniejszy niż lokalny i już wuj dobra rada wypala z poprawką. Jak nie wie, czego się uczepić, sięga po wytrych: *Kłania się czytanie ze zrozumieniem.*

> Kto poniża innych, robi to po to, by być wywyższonym. Bo czuje się jednak mały, gdzieś tam, w swoim zakompleksionym środku.

Litanie poprawiaczy sączą się od rana: tu źle napisane, tam błąd, to nieprawda, a ja nie lubię, a ja owszem, i to bardzo. Większość ich komentarzy nie bierze się z dbałości o język, lecz z nabzdyczenia ego. Istnieje bowiem zasadnicza różnica między zwróceniem uwagi, by poprawić błąd, a wyższościowym napominaniem, które staje się teatrem upokarzania. Jak wiadomo, kto poniża innych, robi to po to, by być wywyższonym. Bo czuje się jednak mały, gdzieś tam, w swoim zakompleksionym środku.

Dyskusja to nie szarpanina z ciąganiem się za kołnierz. A widziałyśmy ich wiele, bo skończyłyśmy studia, uczęszczałyśmy na seminaria, uczestniczymy w panelach i spotkaniach mających na celu wypracowanie różnych stanowisk, często spotykamy się z osobami o odmiennych poglądach. Sztuka polega na tym, by szanować adwersarzy. No i złota zasada – atakować problemy, a nie ludzi.

Dyskusyjny savoir-vivre zapada się jednak pod naporem manipulacji rodem z mediów społecznościowych. Tam nie ma szans na wymianę poglądów, bo wszystko przekuwa się w chwytliwe bon moty, cytowane potem szeroko, ponieważ dobrze się klikają. Nawiązania do lektur, badań czy statystyk nie przebijają się w tym zgiełku, za to szczególną radość wywołują przejęzyczenia, nawet te dyskusyjne. To królestwo poprawiaczy z toksycznym zacięciem. Bywa, że w internecie wytykanie błędów, szczególnie językowych, określa się jako gramatyczny nazizm czy ortoterroryzm. Stąd do hejtu już bliziutko.

Nagminne poprawianie jest oznaką zwyczajnego braku wychowania. Podobnie jak komentowanie rzeczywistości, jakby było się samemu w domu na kanapie i oglądało telewizję. – *A ja tej pani nie znam* – dowiadujemy się, czy tego chcemy, czy nie, przy czym forma „ta pani" jest nośnikiem biernej agresji. Niby uprzejmie o kobiecie, ale jednak w stylu: „A ta flądra to kto?". Nie chcemy być złośliwe (no dobrze, chcemy), ale wyszukiwarka podsuwa odpowiedzi w ciągu sekundy, wystarczy wstukać nazwisko, a czasem nawet tylko imię.

Media społecznościowe jak na dłoni pokazują knowania użytkowników, którym nie chodzi o wymianę poglądów. Przykładem tego jest *red herring* (ang. czerwony śledź), technika manipulacyjna, która ma na celu uniknięcie odpowiedzi na niewygodne pytanie. Termin ukuto ponad 200 lat temu w Anglii, by opisać manewr zmylenia psów gończych poprzez podsunięcie im do powąchania wędzonej ryby.

Czerwony śledź wyskakuje regularnie w wymianie zdań pod postami na temat ceny na okładce książki. Wystarczy napisać, że zaledwie kilka procent idzie do kieszeni autora, podczas gdy kilkadziesiąt do wydawcy, a najwięcej do dystrybutora, by poprawiaczka pospieszyła z reprymendą, że wcale nie, bo autor dostaje więcej, a zatem jego post dezinformuje. Tymczasem w poście postawiono istotne pytanie: dlaczego wydawcy się nie skrzykną, by stworzyć razem nową sieć dystrybucji, która złamałaby w Polsce monopol. Nie ma na to odpowiedzi. Ci, którzy nie chcą przyznać, że brak inicjatywy z ich strony dobija rynek książki, śledziową praktykę mają w małym palcu. A jak to nie pomoże, zawsze działa klasyczny atak osobisty.

Poprawiaczki i manipulanci spod znaku czerwonego śledzia karmią się naszymi nerwami. Sztuczna inteligencja radzi zadać im pytanie: „W jaki sposób ta informacja wpływa na główny temat, który omawiamy?". AI nie odczuwa emocji – i takich adwersarzy trzeba manipulantom.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 7f01362802



Demokracja po krakowsku

Kraków kocham szczerze i przemierzam jego bruki zawzięcie od Krzesławickich Pagórów aż po wapienne Mydlniki. Jest mi Kraków życiem i mitem. A częścią krakowskiego mitu jest słynna krakowska demokracja. Któż nie słyszał o krakowskich CK posłach brylujących w wiedeńskim parlamencie! Ino żeby na nich głosować, trzeba było być kimś, a przy urnie dokładnie się oświadczyć, na kogo głos się oddaje, aby nie było pomyłek. Kandydat i jego pachołkowie dobrze swego interesu pilnowali.

Śmiech na sali ta galicyjska demokracja. Ale i tak jesteśmy z niej dumni. Bo naszą ona jest i basta! Tym bardziej musimy wytłumaczyć się z sytuacji, która może narazić na szwank dobre imię obywateli krakowskich. Oto bowiem część ich rzuciła wyzwanie pozostałym, domagając się od nich stawienia na referendum w sprawie odwołania obecnego prezydenta Aleksandra Miszalskiego. Jeśli się bowiem nie stawią, referendum będzie nieważne, a to oznacza, że obywatele zamiast okazać swoje przywiązanie do demokracji, swym bojkotem podetną jej skrzydła.

Na najniższym, pragmatycznym poziomie łatwo odeprzeć ten moralny szantaż. Jednakże o wiele ciekawsze jest rozpatrzenie tej sprawy na szerszym tle teorii demokracji. Zacznijmy jednak od owej pragmatyki. Po pierwsze, referendum w sprawie odwołania władz samorządowych jest instytucją powołaną na wypadek jakiejś sytuacji nadzwyczajnej, a takiej w Krakowie nie ma. Samo parcie do referendum jest nadużyciem demokracji i brakiem poszanowania kadencyjności władzy. Po drugie, skoro już referendum jest, to jego ważność uzależniona jest od frekwencji, żeby ci, którzy uważają je za bezpodstawne, mieli szansę wyrazić swoje stanowisko przez bojkot. Wydaje się to wszystko całkiem rozsądne.

> Niechaj „ci od Miszalskiego" staną do rywalizacji z „tymi od Gibały"! Takie są wszak prawa obywatelskiej wspólnoty.

Gdy rozumie się ten system, a nie chce obalać prezydenta, to zostaje się w domu. I tak zapewne *en masse* zachowają się Krakowianie 24 maja. Wieczny kandydat do prezydentury będzie musiał poczekać do kolejnych wyborów, które to pewnie znowu przegra, albowiem w polityce tak to już jest, że skoro jesteś „przegrywem", to ludzie nie robią z ciebie ni z tego, ni z owego „wygrywa". Możesz przegrać raz, a potem wygrać, jednakże nie trzy razy przegrać i wygrać za czwartym. Albowiem kto się na władzę uprze, temu lud nosa utrze (moje).

To są rzeczy przyziemne. Wznieśmy się jednakże na wyżyny filozofii polityki. Otóż świadomie lub nie, ci, którzy wezwania do bojkotu referendum (a słyszeliśmy je z ust samego prezydenta Miszalskiego) ogłaszają zamachem na demokrację, dają wyraz swemu przywiązaniu do demokracji bezpośredniej według Rousseau. W myśl tej preromantycznej koncepcji rządy ludu polegają na tym, że zebrany na placu tłum pośród rozgardiaszu i przekrzykiwań w końcu wzbiera jednym uczuciem i jednym głosem. Krzykiem oznajmia swoją wolę, a nieliczni malkontenci zostają zignorowani.

Współczesnym odpowiednikiem takiego wiecowania jest tłumne udanie się wyborców do urn, gdy tylko jakaś ich część rzuci takie wezwanie i wyzwanie. Czyż bowiem nie jesteśmy wspólnotą? Czy nie należy się to nam wszystkim, każdej i każdemu od każdej i każdego innego, że jeśli ten nasz współobywatel bądź współobywatelka wezwą nas do wyrażenia politycznej woli, to mamy obywatelski obowiązek to uczynić? Gdybyśmy nie okazywali sobie wzajem tego minimum szacunku i zaangażowania, żeby przyjąć wyzwanie do policzenia się w wyborach, to jaka by była z nas wspólnota? To byłby dyshonor, podobny do niepodjęcia rękawicy rzuconej przez jedną drużynę piłkarską drugiej drużynie. Niechaj więc „ci od Miszalskiego" – jeśli im honor i demokracja miłe – staną do rywalizacji z „tymi od Gibały"! Takie są wszak prawa obywatelskiej wspólnoty.

Cóż, są nawet takie kraje, które karzą mandatami za nieuczestniczenie w obywatelskim rytuale. Jednak ogromna większość państw nie stosuje przymusu wyborczego. Bo w nowoczesnej demokracji nie ma tego rodzaju wspólnoty, do jakiej odwołują się nasi moralni szantażyści – jest ona jedynie fantazmatem używanym czasami w retoryce nastawionej na podniesienie frekwencji bądź zmobilizowanie własnych wyborców. Demokracja liberalna jest ustrojem, który akceptuje i normalizuje głębokie antagonizmy społeczne, pozwalając, by pokojowo i bezpiecznie współżyły ze sobą różne wspólnoty, pielęgnując dzielące ich różnice.

Nie znaczy to, że partycypacja jest nieważna. Ale właśnie dlatego niepójście na wybory jest tak samo ważne jak pójście. Nie idąc na wybory, komunikujemy, że nie mamy w nich swojego kandydata albo że obaj główni kandydaci nam podobnie odpowiadają lub nie odpowiadają. W przypadku zaś referendum w sprawie odwołania prezydenta miasta nieuczestniczenie oznacza, że nie widzimy powodów, żeby przerywać kadencję tego, którego niedawno demokratycznie wybrano. W dodatku zaś nie poczuwamy się do wspólnoty z organizatorami referendum. Bo nie musimy.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 7f01362802

FELIETON

Orliński



Lem niefantastyczny

Rok temu pisałem na tych łamach o wznowieniu po 60 latach drugiego tomu trylogii Stanisława Lema „Czas nieutracony". Jest już i trzeci. Pisarz odciął się częściowo od własnego dzieła, uznając tylko pierwszy tom, „Szpital Przemienienia". W rozmowie rzece ze Stanisławem Beresiem twierdził, że pozostałe dwa na nim wymuszono z powodów politycznych i napisał je tylko celem odblokowania publikacji pierwszego.

W stalinizmie od wszelkiej sztuki, czy to literatury, czy malarstwa, oczekiwano przede wszystkim, by podnosiła obywateli na duchu i motywowała do zwiększania wydajności produkcji. „Szpital Przemienienia" tymczasem kończy się wstrząsającą sceną, w której Niemcy zabijają wszystkich pacjentów tytułowej placówki wraz z personelem, a więc zapewne także głównym bohaterem, młodym lekarzem Stefanem Trzynieckim. Po tej lekturze człowiek nie tylko nie czuje się zmotywowany do pracy, ale wręcz potrzebuje zwolnienia „kacowego".

Książka zostawia nas w niepewności, czy bohater przeżył – a jeśli tak, to jakim cudem mu się to udało. Współczesna kultura przyzwyczaiła nas do otwartych zakończeń, podejrzewam, że to w dużym stopniu zasługa popularności seriali, w których często się zostawia furtkę dla kolejnego sezonu, ale wtedy to mogło być zgrzytem dla redaktora. Doszły też rzeczywiście względy polityczne, wymuszono więc na Lemie dodanie kilku wątków, przede wszystkim pewnego sympatycznego komunisty. W kapitalizmie nazywamy to „lokowaniem produktu". Dziś w kolejnym sezonie serialu może się znienacka pojawić sympatyczny inwestor w kryptowaluty.

> Jeśli pominiemy terror, nie pokażemy prawdy o stalinizmie. Ale nie pokażemy jej też, jeśli skupimy się tylko na terrorze.

To zaburzyło narrację, więc choć pozostałe dwa tomy czytają się nieźle na poziomie pojedynczych rozdziałów, nie składają się w spójną narrację. A jednak warto je przeczytać, bo w polskiej kulturze niewiele mamy portretów codziennego życia z lat 1939–56, zwłaszcza pisanych przez naocznych świadków. Jakby wszyscy w Polsce umarli we wrześniu 1939 r., a potem niektórzy wrócili do życia w październiku 1956 r. – nie wiadomo jakim cudem, niczym bohater „Czasu nieutraconego".

Przypuszczam, że Lem odcinał się od tych dwóch tomów dlatego, że za bardzo się w nich odsłonił. Nie chciał mówić o swoim żydowskim pochodzeniu, ale chciał opisać Holokaust. W „Szpitalu Przemienienia" wyszła mu znakomita alegoria, ale w drugim tomie, „Wśród umarłych", posunął się do ryzykownego chwytu. Trzyniecki ma teraz nowy problem. Wystarczy, że lekko zaniedba swój wygląd, a zaczyna przypominać ukrywającego się Żyda. Którym oczywiście nie jest, w żadnym razie – zapewnia nas narrator. Ale my już skądinąd wiemy, że narrator różne rzeczy przed nami ukrywa. Przede wszystkim wciąż nie mówi, jakim cudem Stefan dożył do trzeciego tomu. Pod koniec drugiego trafia do komory gazowej – z czego nie miał prawa wyjść żywy. A jednak znowu jakoś mu się to udało.

Widzę w tym celowy zabieg literacki. Wszyscy Polacy przeżyli wojnę cudem. PT Czytelników odsyłam do wspomnień rodzinnych. Jeśli się zachowały, to z pewnością jest w nich jakiś motyw typu „w sąsiednim budynku wszyscy zginęli, ale nasz ocalał". Albo „już dziadka prowadzili na rozstrzelanie, ale węgierscy strażnicy pozwolili mu uciec".

O drugiej wojnie światowej nakręcono mnóstwo filmów i napisano jeszcze więcej książek, ale one przeważnie pokazują walkę. Ludność cywilna pojawia się rzadko i zazwyczaj na drugim planie. Dziś tych dzieł nie tworzą naoczni świadkowie, tylko młodzi ludzie, którzy wyobrażają sobie okupację na podstawie poprzednich książek i filmów, więc z pokolenia na pokolenie coraz silniej utrwalany jest fałszywy obraz, jakoby wszyscy walczyli (z wyjątkiem folksdojczów).

Z czasami stalinizmu jest jeszcze gorzej. Tu filmów i książek jest znacznie mniej, a te które są, traktują o polityce. Wszyscy są w nich albo żołnierzami wyklętymi, albo ofiarami prześladowań (z wyjątkiem ubeków). Gdyby to było takie proste, to kto odbudował Polskę z ruin? Odbudowali ją ludzie tacy jak Trzyniecki. Trylogia Lema przy wszystkich swoich wadach jest cenna jako próba pokazania pokolenia naszych dziadków i pradziadków. Po tym, co przeżyli, wszyscy powinni byli trafić na terapię, bo nikt z wojny nie wyszedł bez ciężkiej traumy. Zamiast tego musieli zakasać rękawy i wywozić gruz, a potem w warunkach terroru i niedostatku zakładać rodziny, szukać pracy, przywracać namiastki normalności. Tak dużo im zawdzięczamy, a tak mało o nich wiemy.

W czasach PRL mówienie prawdy o stalinizmie było niemożliwe, co zmuszało twórców do aluzji i alegorii – od „Zezowatego szczęścia" po „Człowieka z marmuru". Współczesna kultura też jednak nie umie znaleźć formuły. Jeśli pominiemy terror, nie pokażemy prawdy o tych czasach. Ale nie pokażemy jej też, jeśli skupimy się tylko na terrorze. Najbliżej ideału jest może „Zimna wojna" Pawlikowskiego, no ale raczej nie pokazuje przeciętnych ludzi. Pozostaje czytać Lema, co zawsze jest dobrym pomysłem.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 7f01362802

FELIETON

Passent



Dwa pałace

„Są dwa światy i jest nas dwoje” – pisał w szlagierze Andrzej Sikorowski. Są dwa pałace i dwa pajace – można by tak podsumować decyzje lokalowo-komunikacyjne wdrażane przez urzędy prezydenta i premiera Niepodległej. Lokator Belwederu, przez połowę Polaków nazywany Batyrem, reprezentuje najwyższy urząd, bywając na galach boksu, i wetuje ustawy szybciej, niż ja kasuję bilet w tramwaju. Z kolei pan premier, zwany przez batyrowców Rudym, publikuje infantylne filmiki z wnuczętami, pieskami i świadectwami z zielonym OZE paskiem przypominającymi Polakom, że są mieszkańcami zielonej wyspy i prymusami postkapitalistycznej produktywności.

Im mocniej przekonuje się Polaków, by cieszyli się z tego, co udało im się osiągnąć przez ponad trzy dekady, tym mocniej wzrasta w nas podejrzliwość – co ta propaganda sukcesu i samozadowolenie mają przykryć? Drożyznę, braki mieszkaniowe, zapaść demograficzną czy bierność władzy? Bo owszem, pałac wetuje, ale czy to nie jest na przykład szalenie wygodne dla lewicy? Można wiecznie grać Mrożkiem z „Indyka” i wzdychać: „Może by zreformować co, ale ten Batyr...”. Lista stu konkretów zapodziała się w najbardziej zapajęczonym kącie pawlacza.

Mamy dwie półkule mózgowe. I w ogóle lubimy duety. Czy zgoda na rządy dwóch pałaców ma neurologiczne podstawy?

Gdy do Belwederu wprowadzał się Andrzej Duda, który wsławił się ratowaniem latających hostii i doprowadzeniem małżonki do mutyzmu, część moich kolegów dziennikarzy obdarzyła go kredytem zaufania i została tzw. symetrystami. Publicysta symetrysta jojczy i ubolewa nad taką dwuwładzą i grającym na podziały społeczne systemem. Jest empatyczny dla każdego spłachetka tej ziemi niczym „polskipapież” (piszemy razem), skrupulatny jak Vladimir Nabokow kolekcjonujący motyle, chętny do dialogu z każdym jak Sokrates, a przy tym to człowiek bez PESEL-u, Piotruś Pan napędzany przekorą, która daje szybkie klikbajty. Gdy rozmawia z kimś od Batyra, to skontruje, jak to dajemy się kolonizować Amerykanom, a jak z kimś od Rudego, to wytknie, jak to Ursula nas germanizuje... Czyż krytykującym dwuwładzę symetrystom ta dwupałacowość nie gwarantuje łatwej i pewnej roboty?

System z dwoma pajacami – i pałacami może jednak zniechęcić część obywateli do polityki. Ileż można obserwować scenki teatralne, w których każda strona recytuje przekaz dnia: „Bierzmy unijny kredyt na SAFE, bo jak nie, to jesteś ruska onuca”. Albo: „Nie bierz kredytu u Niemca, Bruksela to zło, Polak sam sobie sterem, dronem, szabelką”. Od dłuższego czasu obserwuję coraz większą grupę ludzi, głównie młodych, którzy nie kryją, że brzydzą się polityką. W majówkę miałam ciekawą rozmowę z przyszłorocznym maturzystą. Bystrym, dowcipnym chłopakiem, który mówił, że będzie zdawał na dziennikarstwo. Spytałam, czy chciałby staż w redakcji. Wzdrygnął się, jakbym mu zaproponowała kopanie tunelu łyżeczką.

Nowoczesny „dziennikarz” nie interesuje się polityką? Na pewno dwupodział polityczny – na wzór głębokich kolein, w jakich umościli się czerwoni i niebiescy w USA – odpycha część ludzi, ale ogromna większość, podobnie jak nasi symetryści, urządziła w nim sobie miły kącik. Od lat się zastanawiam, dlaczego tak jest. Mamy dwie półkule mózgowe. Mówimy „podwójne życie” – żona i kochanka. I w ogóle lubimy duety: whisky z lodem, sos słodko-kwaśny... Czy zgoda na rządy dwóch pałaców ma naturalne neurologiczne podstawy?

Jeśli przyczyny nie są naturalne, to może chodzi o nawyk? Zwykle miewamy mamusię i tatusia. Jak mamusia zbije, to tatuś przytuli. Ja szalenie zyskiwałam na dwóch pałacach. Jak zły tatuś skąpił na kieszonkowe i odpalał gadkę o oszczędzaniu, to próbowałam wysępić u mamusi. Rodzice rzadko mówili jednym głosem – dziękuję losowi za tę domową bioróżnorodność. Coś się udawało wyszarpać przynajmniej u jednego z nich... Poza tym człowiek jest zwierzęciem kruchym i płochliwym. Być może ogromne i szybkie zmiany, rewolucyjne reformy interesują nas tylko jako hasła i wizje, a na co dzień wolimy siedzieć na kanapie i patrzeć, jak dwa pałace się nawalają na ustawkach, bo wystarczą nam drobne wygrane z tych igrzysk.

A co z zarzutem, że przez tę demokrację tkwimy w pacie? Gdy piszę ten tekst, potężny wizualnie i wokalnie prezes Trybunału Konstytucyjnego nie dopuszcza wybranych przez Sejm sędziów do gabinetów. Część z nas płacze nad słabością demokracji, a część zaciera ręce, bo lubi naparzankę.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 7f01362802



Efekt dzbana

Osoba posła Czarnka, kandydata prezesa PiS na premiera, przestała kogokolwiek interesować, bo jaki Czarnek jest, każdy widzi. Obecnie interesujący jest „efekt Czarnka", którego nikt nie widzi, co sprawia, że jest on o wiele bardziej ekscytujący niż Czarnek. Z sondaży wynika, że większość Polaków marzy o tym, żeby Czarnek był taki jak jego efekt, tzn. żeby go w ogóle nie było.

To, że „efekt Czarnka" nie wystąpił, może być skutkiem jego występów, i niewykluczone, że jeszcze się pogłębi, bo Czarnek straszy, że dopiero się rozkręca. Podczas występów zachęca młodych Polaków do zakładania rodzin bez niepotrzebnego czekania do momentu, aż uzbierają na mieszkanie, na które – jak wiadomo – nigdy nie uzbierają. „Bez rodziny nie przeżyjecie, choćbyście mieli po sześć mieszkań" – zapewnia.

Czarnek podkreśla, że gdyby nasi przodkowie, zamiast myśleć o prokreacji, myśleli wyłącznie o mieszkaniach, „to by nas na świecie nie było". Zamiast nas byłyby kolejne mieszkania naszych przodków, którzy w efekcie nie byliby już naszymi przodkami, bo w pogoni za mieszkaniami nie mieliby czasu począć nas ani urodzić. Zgadzam się z Czarnkiem, że Polska z wieloma mieszkaniami, ale bez nas, byłaby krajem znacznie bardziej przygnębiającym niż Polska z nami, ale bez mieszkań, dlatego, biorąc pod uwagę, że mieszkań nie urodzimy, weźmy się chociaż do rodzenia dzieci, żeby było nas więcej niż Niemców. Reszta z boską pomocą jakoś się ułoży.

W przeciwieństwie do Czarnka młodzi uważają, że z sześcioma mieszkaniami, nawet bez rodziny, jakoś by sobie poradzili. Najwyraźniej nie mają zaufania do wyliczeń „dzbana", który nawet nie umiał policzyć, czy panele na jego dachu przynoszą zysk, czy stratę i po ilu latach mu się zwrócą. Zresztą młodzi, z którymi rozmawiałem, zapewnili mnie, że nawet gdyby mieli dwa albo trzy mieszkania, też raczej nie chcieliby mieć dzieci z obawy o to, że musiałyby żyć w kraju rządzonym przez ludzi takich jak Czarnek.

Na „efekt Czarnka" prezes PiS nie ma co liczyć, ale uważam, że wciąż może liczyć na „efekt Lenza", senatora KO, który doprowadził do zoperowania swojego krewnego w państwowym szpitalu z pominięciem wszelkich procedur, a także na „efekt Króla", posła z KO, którego Prokuratura Europejska oskarżyła o branie łapówek w związku z modernizowaniem transportu tramwajowego w aglomeracji śląskiej. Obie sprawy pokazują, że chociaż decyzje personalne Jarosława Kaczyńskiego nie wywołują już żadnych efektów, to zawsze może on skorzystać z efektów wywołanych przez jego politycznych przeciwników.

GALERIA POLITYKI

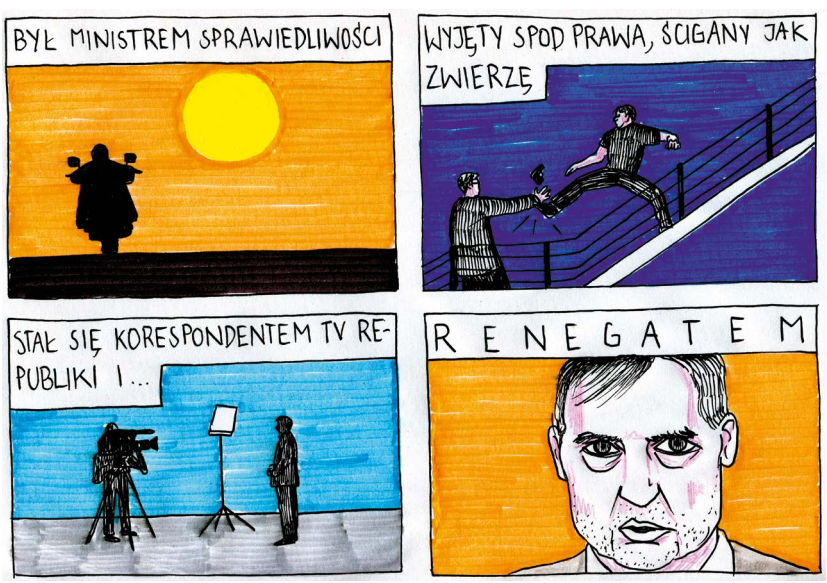

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Polmint Leipa passion process technology

eprasa.pl 7f01362802



Pulsar zaprasza w „Podróż po wiedzę"

Dlaczego wiatraki, elektrownie jądrowe i inne źródła zielonej energii budzą lęk? Jakiego rodzaju są to obawy, czy mają racjonalne podstawy i w jaki sposób – także niekonwencjonalny – można pomóc się ich wyzbyć? Dlaczego tak trudno uwierzyć, że to zmiany klimatu wymuszają transformację energetyczną – w przeciwnym razie grozi nam katastrofa? A jeśli dziś zrzucimy z siebie odpowiedzialność na młodsze pokolenia, w jakim świecie przyjdzie im żyć i z jakimi wyzwaniami się mierzyć? Czy dziś młodzi ludzie mają już jakieś prawa, dzięki którym mogą domagać się od dorosłych pilnych działań?

Odpowiedzi na te i inne pytania poznają Państwo podczas kolejnej dyskusji pulsara z cyklu „Podróż po wiedzę": „Energia przyszłości: Lęki i paragrafy", która odbędzie się w **czwartek 21 maja o godz. 18 w Centrum Nauki Experyment w Gdyni** (Aleja Zwycięstwa 96/98). Naszymi gośćmi będą: dr Robert Rybski z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego oraz opiekun Koła Naukowego Prawa Ochrony Środowiska, dr Małgorzata Osowiecka-Szczygieł, psycholożka z Uniwersytetu SWPS w Sopocie, oraz dr hab. inż. Karol Niklas, profesor Politechniki Gdańskiej.

Dyskusji towarzyszyć będą „Krajobrazowe szachy" – niekonfrontacyjna gra edukacyjna polegająca na budowie makiety przestrzeni publicznej do spotkań, zabawy i wypoczynku. Jej twórcą jest Marcin Skrzypek prowadzący Pracownię dla Edukacji o Kulturze Przestrzeni w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN", autor pulsara.

Zapisy na wydarzenie na:
experyment.gdynia.pl/wydarzenia/

Partnerem spotkania jest Centrum Nauki Experyment.
Partnerem cyklu „Podróż po wiedzę" jest Enea

Jak adoptować dziecko?

Lektura artykułu „Jak adoptować dziecko?" autorstwa Agnieszki Bąbik i Martyny Bundy, opublikowanego w 17. numerze POLITYKI, wzbudziła we mnie wiele emocji. Jestem psychologiem, od 20 lat pracuję w ośrodku adopcyjnym Towarzystwa Przyjaciół Dzieci – najpierw zajmowałam się adopcją zagraniczną, a od czasu jej istotnego ograniczenia (czyli prawie likwidacji) krajową. Nie zamieniłabym tej pracy na żadną inną. Nie zgadzam się z wieloma informacjami zawartymi w artykule i ogólnym jego wydźwiękiem, który według mnie przedstawia cały proces jedynie z perspektywy dorosłego – kandydata i rodzica adopcyjnego (któremu wszyscy rzucają kłody pod nogi), pomijając zupełnie perspektywę dziecka, która w procesie adopcyjnym jest kluczowa.

W artykule autorki używają stwierdzenia, że są w Polsce dzieci, „których nie udaje się dopasować do żadnych rodziców". Budzi to mój sprzeciw, bo jest odwrotnie: to rodziców dopasowujemy do dziecka. To dziecko jest „klientem" procesu adopcyjnego. Nie rodzice. Kiedy mówię to naszym kandydatom na spotkaniu w ośrodku, najpierw są zdziwieni i zaskoczeni, potem jednak przyznają, że to ma sens, że ośrodek szuka rodziców dla dziecka, a nie dziecka dla rodziny. I ta perspektywa towarzyszy mi każdego dnia w pracy – zależy mi, by rzetelnie przygotować naszych kandydatów do przyjęcia dziecka, którego dorośli już kiedyś zawiedli. To przygotowanie – indywidualne spotkania, rozmowy o jawności adopcji, rozmowy życiorysowe, testy psychologiczne, wywiad w domu kandydatów, szkolenie grupowe – ma służyć właśnie temu, by poznać zasoby naszych kandydatów, którzy być może kiedyś będą najlepszymi możliwymi rodzicami dla konkretnego Krzysia czy Agnieszki. Nie ma ludzi idealnych – nie oczekujemy także, że nasi kandydaci tacy będą. Mamy jednak prawo mieć wymagania dotyczące m.in. ich wieku, stanu zdrowia fizycznego i psychicznego – wynikają one chociażby z przepisów Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego oraz ustawy o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej, która od 2012 r. reguluje także kwestie przysposobienia.

Nie zgadzam się także ze stwierdzeniem, że ośrodki ukrywają informacje o stanie zdrowia dziecka – zależy nam przecież, by rodzice świadomie podjęli tak ważną dla obu stron decyzję. I nie dzieje się to w ciągu kilku godzin, lecz raczej dni. Podobnie ma się sprawa z łączeniem rodzeństwa: ośrodki mają obowiązek poinformować rodzinę, która przysposobiła wcześniej brata/siostrę, o możliwości przyjęcia kolejnego dziecka. Co więcej, ośrodki naprawdę to robią! Odkąd zaczął działać ministerialny system Adopcja, w którym umieszczone są wszystkie dzieci z uregulowaną sytuacją prawną, poszukiwanie rodzeństwa jest znacznie szybsze i nie wymaga wysłania 60 pism do każdego ośrodka w Polsce.

Zgadzam się natomiast, że planowane wzmocnienie systemu wsparcia postadopcyjnego jest potrzebne, bo rodzicielstwo adopcyjne jest zazwyczaj bardziej wymagające niż biologiczne. Chciałabym jednak przekazać optymistyczną wiadomość: proces przygotowania do adopcji trwa na ogół kilka miesięcy, liczba dokumentów jest konkretna i wynika z przepisów prawa, w Ośrodkach Adopcyjnych pracują życzliwi fachowcy (którzy są także rodzicami), a rozprawa adopcyjna jest najprzyjemniejszą częścią pracy sędziego rodzinnego. Jasne, każda historia jest inna, warto jednak próbować, bo być może Wasze dziecko gdzieś już na Was czeka?

IZABELA RUTKOWSKA, DYREKTOR OŚRODKA ADOPCYJNEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ DZIECI W WARSZAWIE

Żal i skrucha

W informacji „Żal i skrucha" opublikowanej w numerze 19. POLITYKI błędnie napisałam, że obóz nad jeziorem Ośno, gdzie rok temu tragicznie zginął nastoletni harcerz, organizował Związek Harcerstwa Polskiego. Organizatorem obozu był Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej Okręg Dolnośląski. Czytelników i ZHP przepraszam za tę pomyłkę.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl 7f01362802



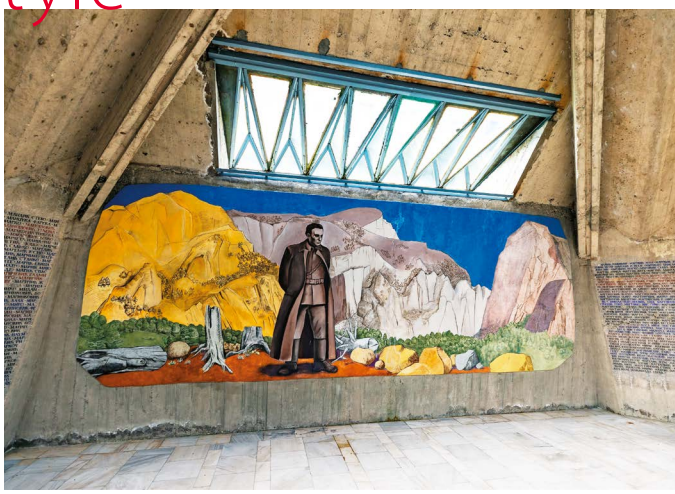

Betonowy kosmos

Socjalistyczna architektura długo kojarzyła się z szarymi blokowiskami i osiedlami z wielkiej płyty. Dziś socmodernizm i jego fantazyjne budowle rozsiane od Niemiec po Kaukaz zyskują sporą uwagę.

Socmod, jak bywa nazywany, robi furorę zarówno na Instagramie, jak i w poważnych instytucjach: w 2018 r. wystawę o jugosłowiańskiej architekturze prezentowała nowojorska MoMA. W zeszłym roku środkowoeuropejski socmodernizm można było oglądać w krakowskim Międzynarodowym Centrum Kultury. Wśród miłośników tej architektury istnieje osobna subkultura oznaczana hasztagiem #spomeniks. *Spomenik* to w językach południowosłowiańskich po prostu pomnik, ale w tym wypadku chodzi o specyficzną odsłonę – zjawiskowe modernistyczne monumenty budowane w socjalistycznej Jugosławii, aby upamiętnić walkę partyzantów z faszystami. To w ich abstrakcyjnych i monumentalnych kształtach najlepiej widoczna jest wyjątkowość tamtejszej architektury.

Naprawdę spektakularne zwykle znajdują się na obrzeżach miast, a czasem wymagają wycieczki na głęboką prowincję. Jeden z najsłynniejszych upamiętnia bitwę nad Sutjeską, starszemu pokoleniu znaną z jugosłowiańskiego filmu, w którym Titę grał Richard Burton. Aby dotrzeć do pomnika, trzeba zboczyć z głównych szlaków i dostać się do miejscowości **Tjentište** w Bośni i Hercegowinie, w pobliżu granicy z Czarnogórą. W nagrodę czekają nie tylko dwa ogromne betonowe skrzydła wyrastające ze wzgórza, ale też najstarszy park narodowy w Bośni – malownicze góry z najwyższym szczytem kraju.

Konkurencję na tatuażach i koszulkach robi mu pomnik położony na granicy Chorwacji z Bośnią w wiosce Podgarić. Dziesięciometrowy symbol wolności i zwycięstwa nad śmiercią jest jednocześnie lekki i mocno osadzony na ziemi. „Betonowa symfonia", jak mówią niektórzy, podczas gdy inni porównują go do statku kosmicznego z „Gwiezdnych wojen". Nad kosowską Mitrovicą góruje z kolei skrzyżowanie trylitów ze Stonehenge i górniczego wózka: w tym „najbardziej podzielonym mieście w Europie" pomnik symbolizuje niegdysiejsze braterstwo Serbów i Albańczyków w walce przeciwko wspólnemu wrogowi.

Lista jest długa: kompleks Kadinjača w południowej Serbii, kamienny kwiat w miejscu ustaszowskiego obozu koncentracyjnego Jasenovac, niszczejąca Petrova Gora, kwadratowa Ilirska Bistrica w Słowenii... Według szacunków partyzanckich pomników, tablic i miejsc pamięci powstało w Jugosławii ok. 15 tys. Niektóre zniszczone zostały w latach 90. w nacjonalistycznym szale, inne naruszył ząb czasu, bo nikt nie zatroszczył się o dziedzictwo nieistniejącego państwa.



Aleksandra Wojtaszek – bałkanistka, dziennikarka, tłumaczka, doktor literaturoznawstwa. Autorka monografii naukowej „Topografie przestrzeni wyobrażonych. Serbska i chorwacka fantastyka gatunkowa" oraz zbioru reportaży „Fjaka. Sezon na Chorwację" (Czarne 2023).

Jak to się stało, że wojenne zwycięstwo i ofiara zostały upamiętnione gigantycznymi betonowymi abstrakcjami? To rezultat kilku czynników, m.in. nietypowego położenia Jugosławii na mapie zimnowojennej Europy. W latach 50. tamtejsi twórcy wywrócili zimnowojenną estetykę do góry nogami, wykorzystując wysoki modernizm, kojarzony na Zachodzie z kapitalizmem, i napełniając go socjalistyczną treścią. Jugosławia nie tylko czerpała zarówno ze wschodu, jak i zachodu Europy, ale także miejsc odleglejszych: w ramach ruchu państw niezaangażowanych prowadziła intensywną wymianę kulturową z takimi krajami jak Indie czy Egipt.

Komuniści chcieli modernizować i tworzyć nowy ład, również architektoniczny. Na sztandarach nieśli „braterstwo i jedność", stąpali jednak po cienkim lodzie, bo w trakcie drugiej wojny światowej zgromadzone później we wspólnej federacji narody nierzadko walczyły między sobą. Pozbawiona na pierwszy rzut oka kontekstu abstrakcja była bezpieczniejsza niż pomnik matki trzymającej martwego partyzanta na rękach.

Dziś po niegdysiejszej wspólnocie pozostały głównie blizny, a stare konflikty powróciły z pełną mocą. To teraz siedem krajów upstrzonych niezwykłymi konstrukcjami: bardziej niż o dawnych walkach i braterstwie przypominają one o pewnym śnie, z którego wybudzenie okazało się krwawym koszmarem. ■

© SHUTTERSTOCK (2), MP, CANCER FIGHTERS

eprasa.pl 7f01362802

TECHNO

Sodowe baterie



Podczas targów motoryzacyjnych „Auto China 2026" w Pekinie pokazano niemal 1,5 tys. pojazdów, zarówno prototypowych, jak i przeznaczonych do produkcji. Pod względem progresu motoryzacji to jednak nie poszczególne modele aut czy motocykli były najważniejsze, ale baterie. Największą przeszkodą w popularyzacji elektromobilności jest bowiem cena i prędkość ładowania.

Prym w tym wyścigu wiodą dwie firmy: największy na świecie producent baterii samochodowych CATL i koncern motoryzacyjny BYD. Obie w Pekinie zaprezentowały rozwiązania, które sprawiają, że ładowanie auta zajmuje raptem kilka minut, co jest sporym progresem, bo do niedawna „szybkie" ładowanie trwało pół godziny. BYD stawia na infrastrukturę szybkich ładowarek, natomiast CATL na nowy rodzaj ogniw.

W kontrze do dominujących ogniw litowo-jonowych CATL proponuje nową technologię sodowo-jonową. Minusem jest mniejszy zasięg (firma mówi o 500 km na jednym ładowaniu) – porównywalny do starszych generacji baterii litowo-jonowych. Za to zalet jest sporo. Jak wspomniany czas ładowania (niecałe siedem minut) czy odporność na niskie temperatury (do ok. -40°C). Ale ważna jest też ekonomia i ekologia: sód jest tańszy i łatwiej dostępny od litu, co wpłynie na ceny pojazdów. Nowe baterie są także bezpieczniejsze, dzięki mniejszemu ryzyku przegrzania i zapłonu. CATL nie wycofuje się też z produkcji baterii litowo-jonowych, stawiając na dopasowanie odpowiedniej technologii do potrzeb użytkowników.

Pierwszy dostępny komercyjnie samochód, w którym zastosowano nowe ogniwa CATL Naxtra, to **Changan Nevo A06**, sedan o długości 4,9 m (na razie dostępny jedynie w Chinach, w ograniczonej liczbie). Prospekty reklamowe podkreślają jego odporność na niskie temperatury, ale kierowców przekonują kwestie ekonomiczne. Jak widać, elektromobilność rozwija się w krajach, w których stała się rządową strategią – czy to kiedy władza wspiera koncerny, jak w Chinach, czy konsumentów, jak w Norwegii.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Bez zamulania



Trwająca ponad 221 godzin akcja Łatwoganga pozostawiła ślad w języku, bo każdy kolejny gość coś tam mówił. Tydzień temu pisaliśmy w POLITYCE o kluczowym słowie transmisji, którym stało się „śrubowanie" – podnoszenie poprzeczki oczekiwań i wyzwań. Bardziej oczywisty jest sam *stream* – nadawanie na żywo. Oraz *diss* – atak słowny uderzający w nielubianą osobę, choć w tym wypadku wymierzony w nowotwór. To drugie słowo pojawiło się w podtytule piosenki „Ciągle tutaj jestem (diss na raka)", wykonanej przez rapera Bedoesa i zmagającą się z chorobą nowotworową **Maję Mecan**. Nie jest to jednak jedyny utwór, z którego dochody zostały przekazane na pomoc fundacji Cancer Fighters. W całej puli znalazło się jeszcze m.in. nagranie White'a 2115 „Rio/Na żywo", w którym trafimy na linijki: „Mogę mieć to na żywo, mam to gdzieś, jak mnie widzą/ Żyję raz, więc po co mam zamulać w domu?". Po raz kolejny pojawia się tu neologizm z przełomu wieków, kiedy słowo „zamulać" (robić coś bardzo wolno, od muła – osobnika ociężałego, nierozgarniętego) z gwary uczniowskiej wypłynęło na szerokie wody nowej młodzieżowej polszczyzny.

Szybkość utożsamiono – bardzo prędko zresztą – z czymś interesującym. Mówimy w końcu o środowisku, w którym nuda jest sytuacją niedopuszczalną. Sam w „Słownikach najmłodszej polszczyzny" opisywałem więc „rozprzestrzenianie zmuły" jako wprowadzanie marazmu w towarzystwie. A „zmulanta" jako słowo, które pejoratywnie opisuje nudziarza nowej ery.

Kojarzyło się to wszystko z używkami, po których mogła nas ogarnąć zmuła (bądź zamuła). Dziś strona miejski.pl „osobę, która przynudza i najczęściej mówi, że nic jej się nie chce" opisuje jako zamulacza. „Zamułę" definiuje jako „stan, jaki można osiągnąć poprzez bezczynność po uprzednim wypaleniu lolka" (czyli skręta z marihuaną). A czasownik „zamulać" – jako „być śpiącym, zmęczonym". „Zmulant" byłby w tym znaczeniu przeciwieństwem stymulanta. Tak jak akcja jest przeciwieństwem nicnierobienia. A walka – choćby ta ze skutkami choroby atakującej także dzieci – przeciwieństwem poddania się.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Z Mają pójdziemy na mani, pedi,
Z nami sami nasi fani,
Kiedy ciągle tańczymy i ciągle się śmiejemy
Bedoes 2115, Maja Mecan,
Ciągle tutaj jestem (diss na raka), 2026 r.
mani – manikiur, pedi – pedikiur

eprasa.pl 7f01362802



TREND

Air fryer podbija polskie kuchnie. Niby wiele ułatwia, ale czy naprawdę warto go kupować?

Kotlety z frajera

Air fryer był w ubiegłym roku hitem sprzedażowym w Polsce. Z raportu przygotowanego przez APPLiA, związek pracodawców AGD Polska, wynika, że w 2025 r. Polacy zakupili milion tego typu urządzeń – dwa razy więcej niż rok wcześniej i sześć razy więcej niż w 2023 r. Według innych badań air fryer jest też drugi na liście sprzętów marzeń, tuż za Thermomixem, którego pragnie 20 proc. badanych. Marzenie o air fryerze wydaje się łatwiejsze do spełnienia: najtańsze modele można dostać już za kilkaset złotych. I – jak podsumował w mediach społecznościowych dziennikarz kulinarny Michał Bonarowski – tak oto za ułamek ceny Thermomixa można trafić do „elity", która zna się na zdrowotno-smakowych trendach.

Żadna polska nazwa air fryera się nie przyjęła. Frytkownica beztłuszczowa? To nie brzmi modnie czy „aspiracyjnie" (jeszcze kilka lat temu producenci tzw. małego AGD tak właśnie tłumaczyli angielską nazwę tego urządzenia). „Wiatropiec" – określenie wymyślone przez Pawła Lorocha, krytyka kulinarnego i autora książek o gotowaniu – też raczej się nie utrzyma.

Dziś, głównie za sprawą mediów społecznościowych, air fryer jest przedstawiany jako poręczny, wielofunkcyjny sprzęt, który może zastąpić patelnię, garnek, a nawet piekarnik z termoobiegiem. Jest kompaktowy, więc idealny do niewielkich mieszkań oraz świetny dla singli i par, bo umożliwia szybkie przygotowanie małych porcji. Nagrzewa się w kilka minut, więc w porównaniu z piekarnikiem pieczenie w nim wychodzi taniej.

Przede wszystkim jednak uchodzi za sprzęt sprzyjający zdrowemu odżywianiu. A to dlatego, że teoretycznie nie wymaga używania tłuszczu. Maciej Malinowski, prowadzący na Instagramie konto „Elastyczna dieta", regularnie pokazuje swoje obiady „z frajera". Mówi, że owszem, to przydatne w kuchni urządzenie, które daje sporo możliwości, o ile używa się go z głową.



Grażyna Morek – dziennikarka prasowa i radiowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl", teraz w Radiu 357. Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

Małgorzata Różańska z poradni Foodarea też widzi plusy: – *Działa błyskawicznie, a krótsza obróbka termiczna pomaga zatrzymać w warzywach więcej witamin wrażliwych na temperaturę.*

Niewprawnym użytkownikom łatwo w nim jednak przypalić jedzenie, a warto wiedzieć, że substancje powstałe w wyniku podgrzewania w wysokiej temperaturze, np. akryloamid w ziemniakach, mają udowodnione działanie rakotwórcze.

Michał Bonarowski, który jest ambasadorem Fundacji na rzecz Leczenia Otyłości i jako osoba po operacji bariatrycznej aktywnie promuje zdrowy styl życia (POLITYKA 10), stawia jednak wyraźną tezę: czy tak „podejrzanie" łatwy w użytkowaniu air fryer bardziej niż kunsztowi kulinarnemu i dbaniu o zdrowie nie sprzyja jednak jedzeniu byle jak? I to, co gorsza, pod pozorem „świadomego odżywiania"? Zdaniem Bonarowskiego air fryer dla usprawiedliwiania śmieciowego jedzenia zrobił więcej niż wszystkie kampanie edukacyjne dla jego ograniczania.

„Stoi dziś w polskiej kuchni na ołtarzyku, przed którym składamy ofiary z mrożonych frytek i udajemy, że to rytuał prozdrowotny. Za jego sprawą patelnia jawi się jako narzędzie opresji z ciemnych wieków. Każdy, kto jeszcze smaży, trafi do dietetycznego piekła! To gadżet znakomicie wpisujący się w kulturę wellness, zamiast zmienić nawyki, zmieniamy sprzęt na blacie i liczymy, że reszta zrobi się sama" – przekonywał w jednym z postów na Facebooku.

Temperatura komentarzy pod wpisem Bonarowskiego jest wysoka: „Z air fryerem jak z młotkiem, to jest narzędzie, jak go użyjesz, zależy od Ciebie". „Szybciej i taniej niż w piekarniku – do tego to służy i nie ma co dorabiać ideologii". „Dobrze, że jest taki modny, bo może dzięki niemu młodzież zacznie chętniej gotować". „Młodzież umie gotować w garnku i na patelni, i robi to spektakularnie, a air fryer upośledza".

Być może air fryer to po prostu kolejny gadżet, który może w przyszłości podzielić los innych modnych urządzeń: maszyn do pieczenia chleba, robienia domowych lodów, suszenia jabłek, bananów i grzybów – czyli szybko się nam znudzi. Tylko co zajmie jego miejsce w naszych kuchniach? ■

eprasa.pl 7f01362802

KUCHNIA

Skąd wypłynął śledź

Historia serwowania śledzia w Polsce sięga czasów średniowiecza. Ale prawdziwym bohaterem został dopiero w Gdyni.

Był rok 1918. Parkiety zaczął podbijać jazz. Krew krążyła szybciej, palono papierosy w długich lufkach i jakby dla równowagi skracano spódnice. Przede wszystkim jednak budowano na potęgę. Dobre nastroje napędzały koniunkturę, mimo że sytuacja polityczna nie była różowa. Niemcy co prawda przegrały wojnę, ale w wyniku światowych porozumień, układów i układzików polski dostęp do morza, a tym samym do świata, był znikomy. Duża część wybrzeża pozostawała w niemieckich rękach, a władze Wolnego Miasta Gdańska nie patrzyły zbyt przychylnie na próby powołania do życia rodzimego portu.

Mimo to rząd nie ustawał w wysiłkach zbudowania nowej bazy morskiej na Bałtyku. W 1920 r. resort spraw wojskowych zlecił wytypowanie najlepszych lokalizacji. Tadeusz Apolinary Wenda, późniejszy projektant portu, wskazał Gdynię jako najbardziej perspektywiczne rozwiązanie, choć trzeba było do tego niemałej wyobraźni. Gdynia była wówczas nic nieznaczącą osadą nad morzem. Inżynier docenił jednak dogodną linię brzegową, niezamarzający zimą szlak wodny, bliskość linii kolejowej i głębokość zatoki umożliwiającą kotwiczenie dużym statkom.

Gdynia złapała wiatr w żagle. Prace ukończono w dwa lata, a niewielka wieś szybko przestała być miejscem, gdzie niemal wszyscy się znają. Niejako przy okazji zbudowano dworzec kolejowy. W krótkim czasie powstały wille z pokojami dla turystów, poza tym hotel Polska Riwiera i nowoczesny pawilon restauracyjno-widowiskowy Casino.

Port rozbudził ambicje. Lokalni politycy zaczęli walczyć o przyznanie Gdyni statusu miasta, a osada zaczęła się rozbudowywać na potęgę w modnym wówczas stylu modernistycznym. Nowe gmachy malowano na biało, więc Gdynię nazywano Białym Miastem.

Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej Gdynia stała się trzecim co do wielkości portem bałtyckim, a liczba jej mieszkańców wzrosła aż o 10 tys. proc.: z początkowych 1,2 tys. do 120 tys. w 1939 r. Podróż do Nowego Jorku w celu zapoznania się z dokonaniami tuzów swingu, takich jak Richard Rodgers czy Lorenz Hart, była możliwa już od 1930 r. To wtedy uruchomiono pierwszą regularną linię pasażerską Gdynia–Nowy Jork, a port stał się jednym z filarów rodzimej gospodarki morskiej. Rybacy łowili, kutry przybijały do portu, który słynął z wielkiej chłodni do przechowywania towarów, a miejscowe firmy zajmowały się przetwórstwem.

Wielkim bohaterem miasta był wówczas śledź. Soleniem i pakowaniem zajmowała się m.in. firma Mewa. Zimą, gdy połowy były utrudnione, pakowano ryby zasolone wcześniej w sporych drewnianych beczkach i wysyłano do sklepów w całej Polsce.

Historia serwowania śledzia w Polsce sięga czasów średniowiecza. Wówczas ta skromna ryba była przede wszystkim pomysłem na życie w zgodzie z wymogami kalendarza liturgicznego, w którym postne dni zajmowały niemal połowę roku. Wymyślono więc całe mnóstwo dań ze śledziem. Był wśród nich śledź w sosie musztardowo-miodowym podawany na grzance. Ta niezwykle prosta, ale bardzo bogata w smaku przekąska jest jednym z moich ulubionych sposobów na podawanie śledzi. Nie tylko w dni postne. ■





Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

Śledź w sosie musztardowo-miodowym

Składniki dla dwóch osób:

- 200 g filetów śledziowych wymoczonych w wodzie lub mleku
- 70 ml oleju rzepakowego tłoczonego na zimno
- łyżka musztardy Dijon
- łyżka miodu lipowego
- łyżeczka ziaren czerwonego pieprzu
- garść posiekanego koperku
- 4 kromki pszennego chleba

Wykonanie:

- Musztardę, miód i olej wlewamy do miski i starannie mieszamy rózgą do uzyskania kremowej konsystencji.
- Filety kroimy w kawałki i wkładamy do sosu. Odstawiamy na dwie godziny, żeby smaki się połączyły.
- Potem grillujemy na złoto kromki pszennego chleba, na każdej z nich układamy kawałki śledzia.
- Posypujemy posiekanym koperkiem i kilkoma ziarenkami czerwonego pieprzu. Podajemy natychmiast.

© SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 7f01362802

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



O rekonstrukcji konstytucji

Dlaczego Karol Nawrocki powołał Radę Nowej Konstytucji? Co mu się nie podoba w ustawie zasadniczej z 1997 r.? To temat najnowszego odcinka „Polskiego demo", podkastu POLITYKI i Fundacji Batorego. Gościmy w nim prof. Krzysztofa Urbaniaka, prawnika konstytucjonalistę i politologa, który kompetentnie ocenia, czy mamy do czynienia z realną próbą naprawy fundamentów RP, czy raczej z cyniczną grą polityczną.



Kobiety w wieku vintage

„Jeśli nie masz odwagi ubrać się po swojemu, nie będziesz mieć odwagi żyć po swojemu" – twierdzi **Dorota Świętoniowska. Szafiarką Dorką została na emeryturze, dziś jej profil śledzą setki tysięcy kobiet. POLITYCE opowiada, dlaczego to robi.** Jak mówi, kobiety „w wieku vintage" nie muszą znikać ani chować się pod byle ubraniem. „Pokażę ci, jak się ubrać, by nie wyglądać jak ciotka klotka" – ta zasada jej przyświeca.



Renesans Egiptu

Kair przeżywa turystyczne oblężenie. W podkaście „POLITYKA o historii" podpowiadamy, które z trzech tamtejszych muzeów naprawdę trzeba zobaczyć. Naszym przewodnikiem jest dr Wojciech Ejsmond z Instytutu Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych PAN, egiptolog, członek Warsaw Mummy Project. W odcinku m.in. makabryczne ciekawostki oraz cała prawda o tym, dlaczego ludzie kiedyś mumie... zjadali.

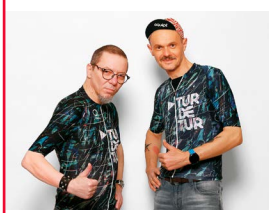

Odkrywamy tajemnice peletonu

W kolarstwie zaczął się sezon wyścigów, ekscytujących i groźnych. Zawodnicy wyprzedzają się na żyletki, łatwo o kontuzję, dochodzi do kraks. **Jak wyścigi wyglądają z perspektywy komentatora, sprawdzamy u źródła: w podkaście „Rowery, nie bajki" gościmy Adama Probosza.** „Jeśli komuś się wydaje, że to żadna sztuka, to zapraszam, żeby siedem godzin nawijał na jeden temat", zachęca gospodarz programu Juliusz Ćwieluch.

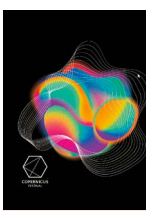

Pulsar na Copernicus Festival

Od 19 do 24 maja w Muzeum Inżynierii i Techniki w Krakowie naukowcy, artyści i humaniści będą dyskutować o największych tajemnicach świata: od kosmicznych po te ukryte w ludzkim mózgu i DNA. Hasłem tegorocznej edycji Copernicus Festivalu jest „Złożoność", w programie debaty i warsztaty. Pulsar, portal popularnonaukowy POLITYKI, objął patronat nad tym wydarzeniem. Wstęp bezpłatny, zapraszamy!

© LESZEK ZYCH (3), ARCHIWUM PRYWATNE, MATERIAŁY PRASOWE

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 7f01362802

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 7f01362802

Dla wielozadaniowców
Monitory interaktywne

SMART®



www.irs.com.pl

tel . + 48 602 336 341

eprasa.pl 7f01362802